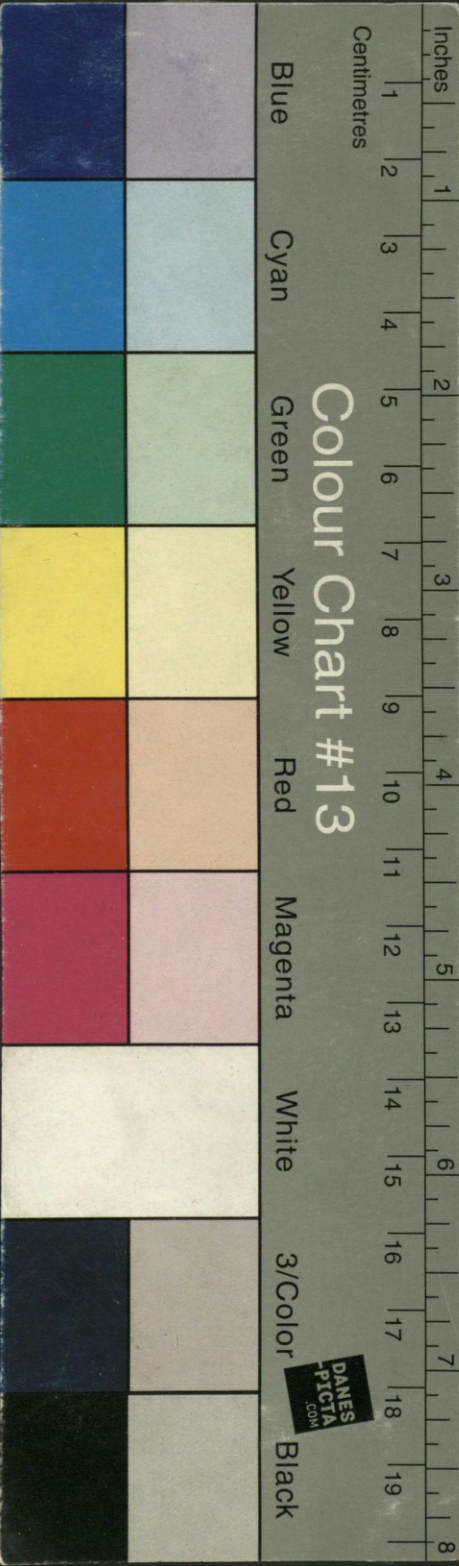
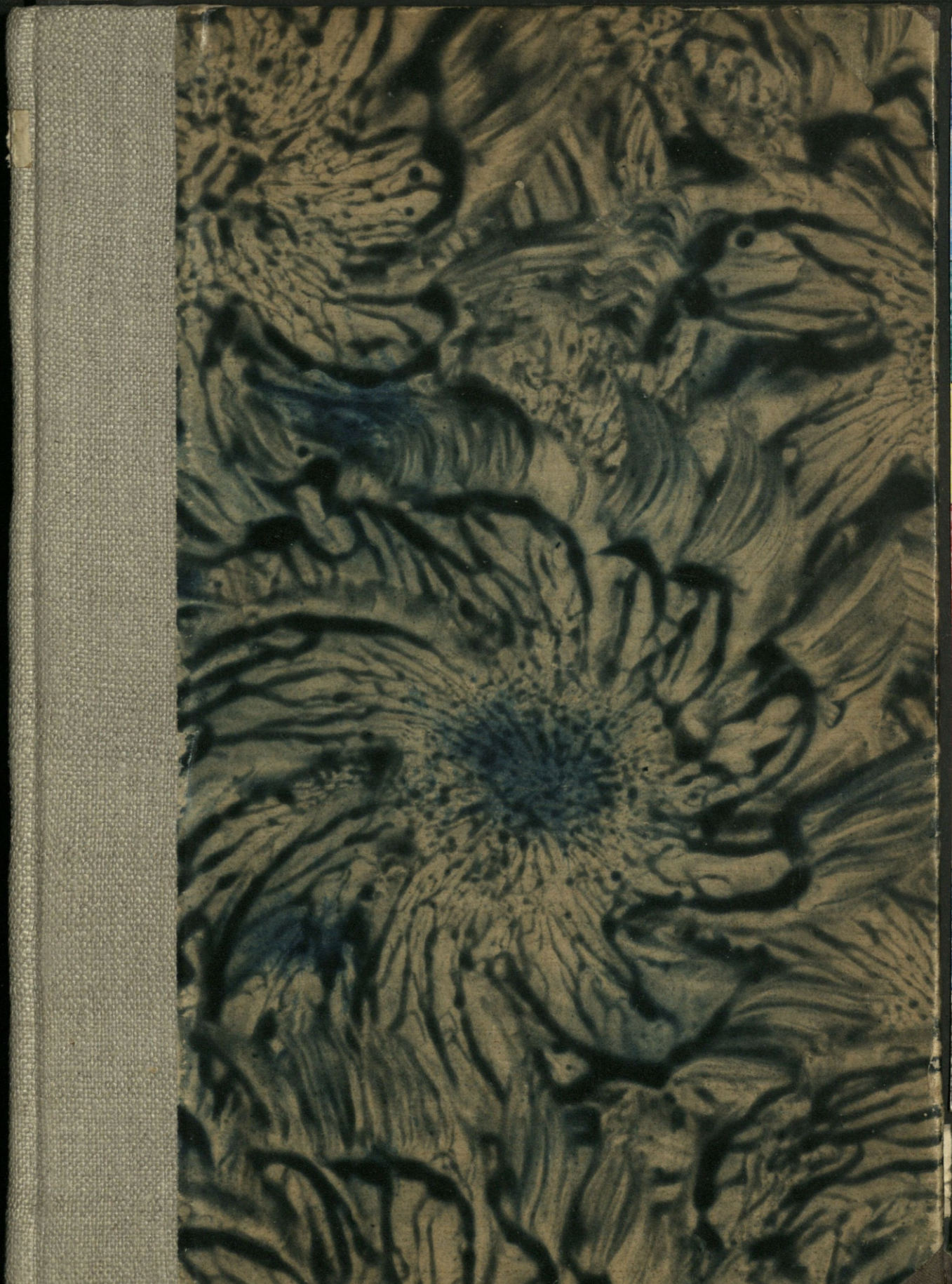
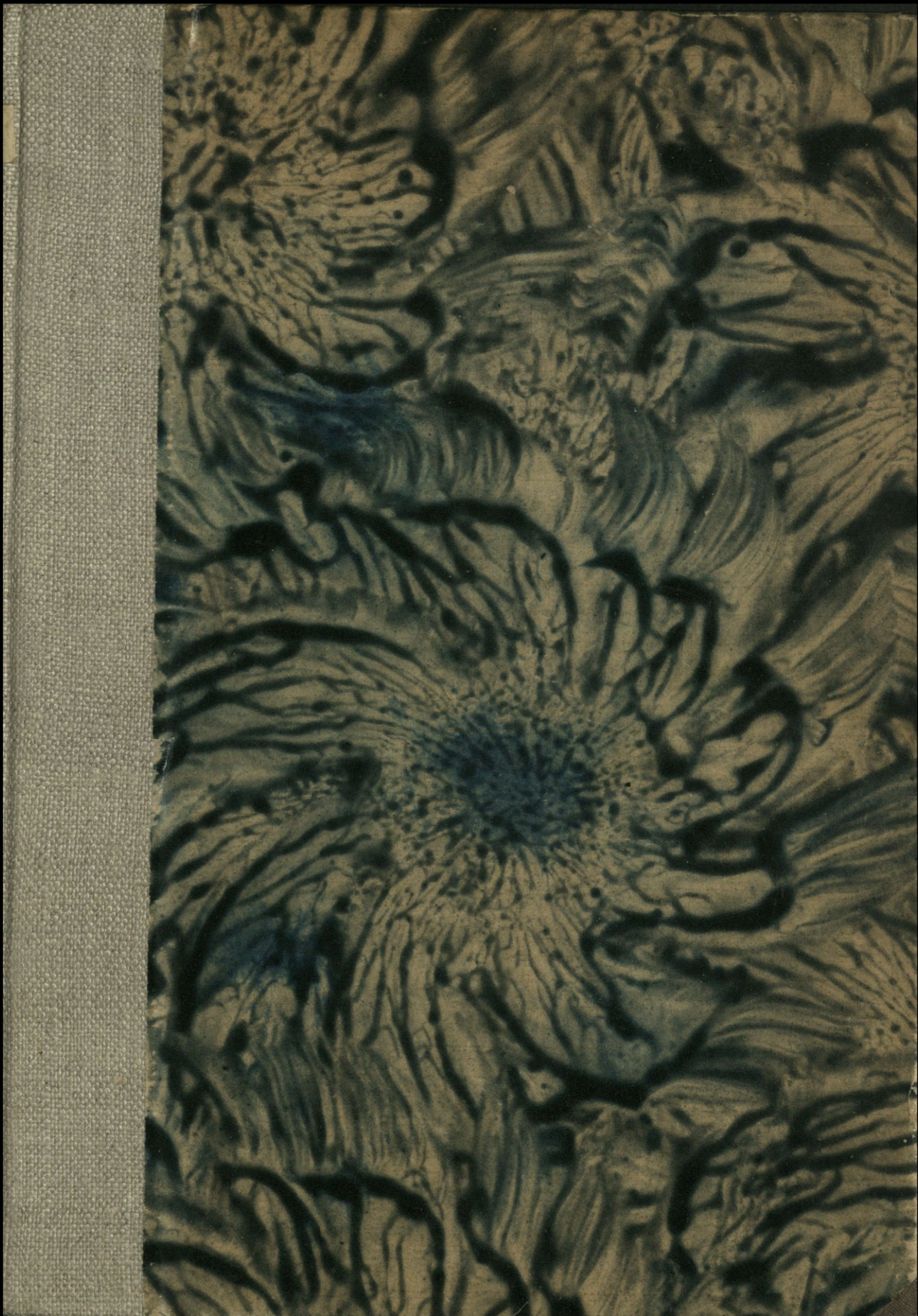


Grey Scale #13



A 1 2 3 4 5 6 M 8 9 10 11 12 13 14 15 B 17 18 19





ZMIERZCH
UNJI KOŚCIELNEJ

libl T

SH. 105.553

WALERJAN CHARKIEWICZ

ZMIERZCH UNJI KOŚCIELNEJ NA LITWIE I BIAŁORUSI

(PRZYCZYNKI DO DZIEJÓW KULTURY
POLSKIEJ NA PÓŁNOCNO-WSCHODNICH
ZIEMIACH RZECZYPOSPOLITEJ)

218
55wa

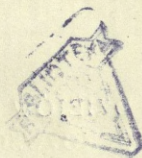
554.96
L. 580.395

S Ł O N I M 1 9 2 9

NA K Ł A D E M G R U P Y Z I E M I A N
SKŁAD GŁÓWNY W KSIĘGARNI ŚW. WOJCIECHA W WILNIE

93(438)9

BARWY NA OKŁADCE SĄ WZIĘTE Z HERBU MIASTA SŁONIMA



33409/2

WYDANO Z DUBLETÓW
Biblioteki Narodowej

POLSKA DRUKARNIA NAKŁADOWA „LUX“ WILNO, PORTOWA 7

*A. D. MDLXXIX —
MCMXIX—MCMXXIX*

*TWIERDZY NIEZŁOMNEJ
WSZECHNICY BATOROWEJ
W HOŁDZIE*

Książka niniejsza jest organicznie związana z monografią o Placydzie Jankowskim: wyrosła z niej, lecz poszła znacznie dalej i nieco w innym kierunku. Oto są zapomniane lub wcale nieznane fragmenty z dziejów kultury polskiej na północno-wschodnich ziemiach Rzplitej,—z dziejów kultury, a nie tylko Kościoła, jak dotychczas traktowano niezwykle skomplikowane zjawisko likwidacji Unji.

Utrudnione warunki pracy ze względu przede wszystkim na brak na miejscu wielu potrzebnych materiałów, nie pozwala narazie na opracowanie wyczerpującej monografii o likwidacji Unji; niech więc te luźne szkice uzupełnią choć w części dotkliwą lukę w naszej literaturze historycznej i niech przypomną o konieczności wszechstronnego oświetlenia wyjątkowego w naszych dziejach zdarzenia.

Czy w naszej przeszłości są jeszcze kwestje dotychczas niewyjaśnione i zdarzenia nieznane, mają do pewnego stopnia świadczyć zawarte w książce skromne szkice; czy zachodzi potrzeba w prowadzeniu badań — już świadczy niezwykle firma wydawnicza, zdobiąca kartę tytułową książki.

Ziemia Słonimska, na której przed dziewięćdziesięciu laty rozegrały się decydujące wypadki i która obecnie jest świadkiem dokonywanych prób ponownego zorganizowania Kościoła unickiego, domaga się od historyków i literatów oświecenia przeszłości, tak z nią związaney, i dlatego odradza zapomniane tradycje wydawnicze Słoniwa. Po głośnych niegdyś słonimskich publikacjach hetmana litewskiego ks. Michała-Kazimierza Ogińskiego jest to pierwsza książka, związana wydawniczo z prastarem księżcem miastem Słonimem; pierwsza słonimska książka w Odrodzonej Polsce.

Szczęśliwy i dumny z zaszczytnego udziału we wskrzeszaniu tradycji wydawniczych Słoniwa, składam niniejszem serdeczne i gorące podziękowanie głównemu inicjatorowi i niezmordowanemu organizatorowi wydawnictwa JWP hr. Emerykowi Hutten-Czapskiemu, jak również wszystkim osobom, które łaskawie się przyczyniły do zrealizowania wydawnictwa, a mianowicie: JJWWPP hr. Karolowej Hutten-Czapskiej, Aleksandrze i Marji Mikulskim, hr. Elżbiecie Mohlowej, hr. Krystynie Pułowskiej, ks. Janowi Druckiemu-Lubeckiemu, Jerzemu Jastrzębskiemu, hr. Antoniemu Jundziłłowi, hr. Ksaweremu, Władysławowi i Wojciechowi Pułowskim oraz Adolfowi Załęskiemu.

AUTOR

I.

Przezorna, konsekwentna i śmiała polityka Rosji wieku XVIII, dążącej zuchwale do zagarnięcia ziem, leżących poza jej zachodnimi granicami, aby w ten sposób wzmocnić swą pozycję w Europie, uwieńczyła się całkowitem powodzeniem. Po trzech rozbiorach Polski ogromne połacie ziem Rzeczypospolitej stały się własnością młodego imperjum, decydując znakomicie o jego potędze. Triumf był tem większy, że wysiłek ze strony Rosji nie należał do zbyt wyczerpujących; więcej przyczyniła się do zwycięstwa zręczna, nieprzebiegająca w środkach gra dyplomatyczna, niż czyn orężny, bo wojny, prowadzone w tym celu, nie były ciężkie i wyczerpujące i raczej wzmacniały Rosję, dając możność stałego ćwiczenia wojska, które w nagrodę za rzetelną służbę mogło wesoło i z iście rosyjskim rozmachem „pohulać” na Pradze.

Drugim momentem, podnoszącym znaczenie świetnego zwycięstwa Rosji, było to, że, jak zapewniali politycy i jak zaczęła dowodzić rodząca się literatura historyczna, przyłączone zostały ziemie rdzennie rosyjskie, których mieszkańcy w ciągu paru wieków jęczeli pod jarzmem polskiem i wyglądali z utęsknieniem tej chwili, kiedy wreszcie można będzie paść w otwarte ramiona swych braci z nad Wołgi, Oki i Moskwy. Nie było jeszcze wówczas literatury „naukowej”, wskazującej na historyczność ziem ruskich od Kamczatki aż po Odrę, nie twierdzono jeszcze, jak to zrobił znacznie później historyk rosyjski Herbersztejn, iż ziemie rosyjskie znajdowały się i rozwijały pod panowaniem trzech władców: moskiewskiego, litewskiego i polskiego, ale mówiło się i wierzyło szczerze w istnienie dwóch Rosyj: wschodniej i zachodniej, moskiewskiej i litewskiej. Ta ostatnia jakoś nie miała ścisłych granic; przesuwano je dowolnie na południe i zachód, zagarniając ziemie, które z tych lub innych względów chciało się, lub należało uważać za swoją własność. W każdym bądź razie nikt nie

wątpił, że po rozbiorach Polski wróciło do Rosji jej historyczne dziedzictwo, któremu rządzenie nie będzie przedstawiało żadnej trudności. Przecież jako najwyższy reprezentant państwa już rządził na Litwie marszałek polny, książę Repnin, który umiał w sercu Polski, przy boku króla, być czymś więcej niż królem; przecież w centrum Polski na czele wielkich armij stali: Suworow, świeżo ozdobiony krwawym wawrzynem Pragi, i Ferzen, zwycięzca Kościuszki.

Pewne siebie, spodziewając się entuzjastycznego przyjęcia, ławnych nagród i wielkich korzyści materialnych, rzuciły się na Litwę zastępy rosyjskich urzędników, wojskowych, obywateli ziemskich, popów i awanturników wszelkich stanów.

Bynajmniej nie elitę narodu wysyłała potężna carowa Katarzyna w celu objęcia władzy nad „litewskimi Rosjanami”. Jest to już zwykły los nowoprzyłączonych do jakiegoś państwa ziem, stających się nagle „kresami”, że władze centralne mogą je obsłużyć narazie elementem, który zawsze jest pod ręką w ilości nieograniczonej: urzędnikami z przeszłością kryminalną, szumowinami, szukającymi łatwego żeru, awanturnikami, żądnymi przygód i kariery, słowem, hołotą wszelakiego autoramentu.

Rosja ówczesna bynajmniej nie stanowiła pod tym względem wyjątku. Tłumy wpółanalfabetów, czyto w mundurach oficerskich, jako dowódcy zastępów niewolników, znajdujących się w szeregach obrońców ojczyzny za zbrodnie kryminalne lub ze względu na przeklęty los; czyto w mundurach urzędniczych, wkładanych z myślą o zdobyciu coraz większych rang, cudotwórczo przerabiających ludzkie bydlę na człowieka; czyto w „riasach”, które już-już miały spaść z ramion za czyny, puszczone w niepamięć pod warunkiem wyjazdu z misją apostołską na zachód; czy wreszcie w strojach przeróżnych, zależnie od rozmaitych okoliczności, — tłumy te zalały miasta litewskie, szukając pieniędzy i zaszczytów, do których droga przed nimi we własnym kraju była zdecydowanie zamknięta.

Wyjeżdżano na Litwę nie bez obawy o własne życie, bo ostatnie polsko-rosyjskie walki były zbyt świeże w pamięci, ale jednocześnie i z bestroską pewnością łatwego poskromienia obcego krajowi elementu polskiego i niezbyt trudnego rządzenia na prastarych ziemiach rosyjskich. Lecz oto już od pierwszego momentu wkroczenia na nowe tereny państwa rosyjskiego przed oczami zdumionych rzesz sług wiel-

kiej carowej zarysowywał się coraz wyraźniej kraj o zupełnie odmiennej, całkowicie obcej kulturze.

Nie chodziło tu tylko o inny język, stroje lub obyczaje; odrębność zaznaczała się we wszystkich przejawach życia materialnego i duchowego: od innych, niż rosyjskie, potraw do innej religii. W każdym ruchu, w każdym słowie, w każdym czynie, w całym układzie życia nowopozyskanych „braci Rosjan z Litwy” biła ta odrębność, która utrudniała obcowanie z nimi i poznanie ich. Nazwano ich pogardliwie „opolaczennymi”, lecz ta etykieta niewiele pomogła, gdyż zjawisko obcości pozostało nadal pomimo starannego dowodzenia rosyjskości „Litwinów”. Polskość kraju i ludzi nie była tak powierzchowna i błaha, jak przypuszczano z początku, sięgała ona głębi dusz, zaznaczała się dumnie na każdym kroku. Niesposób więc było usunąć ją zapomocą odpowiednich rozkazów, niepodobieństwem było ignorowanie jej, trzeba było rozpocząć z nią walkę. I walka ta nie mogła nie przestraszać Rosjan, znających tylko jeden najwymowniejszy argument we wszystkich sprawach: mocno uzbrojoną pięść. Teraz trzeba było rozpocząć walkę nie na pięście i nie zapomocą ślepo oddanych wodzom zastępów żołnierzy; nie, należało wykazać wyższość kulturalną, podporządkować sobie najgłówniejsze przejawy życia duchowego, porwać serca i umysły, wyprzedzić kulturę polską i zacząć prowadzić.

Zadanie to nie było łatwe. Kultury rosyjskiej na Litwie nie znano wcale, Rosjan, oprócz wojskowych i dyplomatów, nie widywano dotąd. Do jakiego stopnia rosyjskość była obca ziemiom nadnie-
meńskim dowodzi charakterystyczny fakt przesunięcia terminu przyjęcia od mieszkańców Grodna przysięgi na wierność carowej (w listopadzie r. 1794), gdyż z braku w drukarniach litewskich czonek rosyjskich manifest Katarzyny był odesłany do drukowania aż do... Berdyczowa i na czas nie był nadesłany.¹ W takich warunkach oprowadzenie sytuacji i objęcie kierownictwa nad życiem duchowym i umysłowym kraju wymagało ogromnego wysiłku mocnych intelektualnie i natchnionych jednostek, no i przede wszystkim kultury, wyższej od miejscowej. Rosja, od niespełna stu lat starająca się wejść do grona narodów europejskich, tego nie miała. Literatura, nauka, sztuka — wszystko to było dopiero w pieluchach, zaledwie stawiało pierwsze kroki, ogarniając swymi wpływami tylko warstwy najwyższe i wskutek tego nie mogąc podnieść poziomu jednostki przeciętnej. Polska

pod tym względem znajdowała się w warunkach nieporównanie lepszych, gdyż jej kultura sięgała warstw najniższych i piętno swe wycisnęła na całym narodzie. Rywalizacja Rosji z Polską na ziemiach polskich, chociażby i nazywanych „litewską Rusią”, była utrudniona dla Rosji i dlatego jeszcze, że młode imperjum nie posiadało wcale odpowiednich do pracy kulturalnej sił.

Jakich Rosjan poznała Litwa po rozbiorach Polski? Wojskowych, urzędników i duchownych. Te trzy grupy urzędowych osób miały się stać przewodnikami kultury rosyjskiej, reprezentantami potęgi duchowej Rosji. Rola wojska, siłą rzeczy, musiała być pod tym względem ograniczona: nie mogło ono brać udziału w życiu społecznym kraju, a tem bardziej — w życiu politycznym. Łączność z ludnością była czysto formalna, obcowanie z najkulturalniejszym elementem miejscowym prawie niemożliwe. Zresztą, wojsko rosyjskie, do ostatnich czasów słynne z wielkiej odwagi i wytrwałości i z jeszcze większej ciemnoty i barbarzyństwa, cechy te w w. XVIII posiadało w sposób szczególnie jaskrawy. Były to właściwie dobrze wytresowane bestje ludzkie, trzymane w ryzach zapomocą różeg i nahajów i prowadzone przez analfabetów-oficerów, słuchających ślepo rozkazów swych zwierzchników i tracących głowy w razie śmierci lub nieobecności dowódców. Rok 1794 zademonstrował przekonywująco, czym jest wojsko rosyjskie. Podczas kwietniowych walk w Warszawie żołnierze, broniący Igelstroma, porzucili swego wodza tylko poto, aby rozpocząć rabunek, upić się i polec niesławnie pod ciosami Polaków. Opisując ostatnie chwile obrony Rosjan w Warszawie, rosyjski historyk Kostomarow podaje takie obrazy:

„Dyscyplina upadła. Żołnierze trzeci dzień nic nie jedli, koło stu z nich poszło samowolnie na rabunek. Jedna banda przedarła się w nocy na Leszno, włamywała się do domów i szalała, mszcząc się na Polakach za to, co oni zrobili z Rosjanami. Wezwane przez mieszkańców wojska polskie napadły na nich i wycięły. Pistor² opowiada, że sześćdziesięciu żołnierzy wpakowało się do piwnicy, upiło się nazabój i wszyscy zostali zamordowani. Druga paczka grenadierów wytoczyła na plac beczkę z winem i tak się gorliwie nią zajęła, że nie zauważyła, jak ją całą położyły polskie kule”.³

I te właśnie wojska, tak osobliwie „roztargnione”, ginące w stanie nieprzytomnym lub haniebnie dezerterujące, pokazały w listopadzie, na Pradze, do czego są zdolne w lepszych dla nich warunkach.

Niema potrzeby specjalnego oczerniania armji rosyjskiej, która w swych szeregach zapewne miała sporo jednostek rycerskich, szlachetnych, gorąco miłujących swą ojczyznę; nie można jednak nie skonstatować, że ówcześni dowódcy z rozmysłem kultywowali barbarję żołďactwa, przeznaczając wojskom rolę niszczącej szarańczy lub dzikich zwierząt, których tylko wola zwierzchnika trzyma na uwieźi i które zawsze mogą być spuszczone z łańcucha, jeżeli zajdzie potrzeba tego. Ten sam historyk rosyjski z naiwnem uznaniem podkreśla zręczne, dyplomatyczne posunięcie posła rosyjskiego hr. Sztakelberga, który w okresie pierwszego rozbioru, aby nastraszyć społeczeństwo polskie, kazał wprowadzić wojska do Warszawy.

„To nastraszyło senatorów i posłów: wiedzieli oni, że jeżeli pozwolić żołnierzom choć na jeden dzień rozłokować się po domach miejskich, powstaną olbrzymie straty; żołďactwo wszystko zniszczy, połamie, mieszkańcy zaś padną ofiarą zniewag i gwałtów, tem bardziej, że wprowadzając wojsko do stolicy, w celu zmuszenia sejmu do uległości, poseł rosyjski przecieź chyba niewieleby dbał o spokój mieszkańców; przeciwnie, im bezczelniej i bardziej znieważająco zachowywaliby się żołnierze w Warszawie, tem korzystniejszym byłoby to dla sprawy trzech mocarstw”.⁴

Ślepe narzędzie terroru i zniszczenia — armja rosyjska, świetnie wykonywująca swą niezbyt zaszczytną rolę, nie mogła na Litwie stać się reprezentantką kultury Rosji, bo zanadto szczerze odsłaniała tej kultury strony najciemniejsze, nie wywołując wśród ludności ani szacunku, ani nawet zaciekawienia względem Rosji.

Pozostawały więc do pozytywnego działania na rzecz Rosji dwa inne czynniki: urzędnicy i duchowieństwo. Sytuacja, w której się znajdowały te dwie grupy pionierów rosyjskości w Polsce, szczególnie pierwsza, była bardzo pomyślna: tak jedni, jak i drudzy stykali się z ludnością bezpośrednio, poznawali wszystkie warstwy społeczeństwa od dołów do szczytów, reprezentowali zaś nie brutalną siłę fizyczną, jak wojsko, lecz kulturę państwowo-społeczną i religijną. Urzędnikom szczególnie łatwo było odegrać rolę łącznika pomiędzy dwoma narodami i pociągnąć do Rosji: trzeba było tylko („tylko!”) wprowadzić wzorową, lepszą od polskiej administrację i sądownictwo i zaprezentować zastępy pracowników nieposzlakowanej uczciwości, wielkiej inteligencji i żelaznej energii, z których każdy byłby kontra-

stem urzędnika dawnego, polskiego i których każdy czyn świadczyłby o kulturalnej wyższości cesarstwa wschodniego.

Naturalnie, o takim zespole urzędników nie można było nawet marzyć. Do nowoprzyłączonych do Rosji ziem pociągnęły tłumy kompletnych wyrzutków społeczeństwa rosyjskiego. Jechali tam tylko w celu łatwej kariery: posad urzędniczych nietylko nie brakowało, lecz był wielki wybór; polowano na każdą jednostkę, która zdradzała chęć włożenia urzędniczego munduru, rozdawano hojnie rangi, awansowano w sposób wyjątkowy. Na połów rang, równoznacznych w Rosji z patentem na człowieka, rzucali się ci, którym na tem szczególnie zależało: najdrobniejsza, bezrolna szlachta, najnędniesi urzędnicy lub od kilkunastu lat niefortunni kandydaci na stopień urzędniczy; do nich przyłączyli się młodzi awanturnicy, marzący o krwawych walkach, niezwykłych romansach z polskimi księżniczkami lub przynajmniej (i to najczęściej) o zręcznem napchaniu kieszeni. Takie były kadry urzędników na Litwie. Element lepszy, światlejszy zjawiał się tylko jakby na gościnne występy: parę miesięcy, najwyżej parę lat pokuty na odludziu i oto — kilka orderów na piersi, piękna ranga, zwiększona pensja i mająteczek na Litwie, który można sprzedać, aby kupić sobie kawałek ziemi gdzieś w gubernji tulskiej lub kałuskiej.

Robienie kariery było ułatwione na ziemiach polskich już chociażby dlatego, że gubernatorom przysługiwało prawo samodzielnego nadawania rang cywilnych, odpowiadających ober-oficerskim; rozdawano więc awanse na prawo i na lewo, uprawiano nawet zręczny han-delek rangami urzędniczymi. Kancelarje gubernatorów i inne urzędy były przepełnione tłumem urzędników, nie mających nic do roboty i nie kwapiących się zresztą do pracy; wszędzie panował chaos, gdyż nikt za nic nie chciał odpowiadać, lecz każdy pragnął rządzić i ciągnąć korzyści. Próżniacze życie demoralizowało jednostki dotychczas zdrowe moralnie: hulanki, gra w karty, a w związku z tem poszukiwanie łatwych zarobków i korzystanie z każdej odpowiedniej sytuacji, deprawowały wszystkich i robiły z urzędników istną plagę.

Bułgakow, pomocnik i następca Repnina, tak mówi o swych podwładnych:

„Sprawy tu rosną, ale ludzi niema. Nie mam nikogo na widoku (na stanowisko sekretarza urzędu gubernjalnego) oprócz ранego w rękę porucznika Teodora Szepiłowa, człowieka dobrego, który był sprawnikiem w Nowogródku... Byłego horodniczego (wileńskiego) trzeba

gdzieś przenieść, chociażby do innej gubernji: on jest do niczego na tem stanowisku, więc ja (gubernator) zmuszony jestem sam wykonywać obowiązki horodniczego! W powiecie trockim sprawnik Rodzewski — warjat, sekretarz Kuźmiński — oszust, oficer etapowy Wróblewski — dureń, hultaj i pijak”.⁵

Polskie brzmienie nazwisk urzędników, szczególnie dosadnie charakteryzowanych przez gubernatora, mogłoby nasuwać przypuszczenie, że tylko społeczeństwo polskie dało do kadr urzędniczych element doborowy, lecz jednak Rosjanie rdzenni górowali pod tym względem. Generał-intendent D. Mertwaho, który w r. 1801 robił inspekcję urzędów prowiantowych na Litwie, notuje obraz ponury:

„Wiele poznałem takich miejscowości, w których nie można było dostać kawałka chleba, a jednak w miastach panowały rozpustny przepych i rozkoszne próżniactwo. Żydzi są przyczyną wszystkiego złego i wszystko się robi przez nich. Rabunek podły i zuchwały. Komisarze prowiantowi wspólnie z urzędnikami gubernjalnymi, dzieląc się z wojskowymi lub oszukując ich, kradną bezczelnie śmiało. Żydzi pośredniczą i są przez wszystkich honorowani. Słowem, kompletna rozpusta”.⁶

W atmosferze złodziejstwa, pijaństwa, rozpusty i nadużyć odbywała się praca wszystkich urzędników—tych głównych przedstawicieli państwowości, prawa i ładu rosyjskiego na ziemiach polskich. Nie wpływały te bandy umundurowanych rabusiów na zmianę na lepsze stosunków administracyjnych i społecznych, były czynnikiem wybitnie destrukcyjnym, niezdrowym, odpychającym od siebie; pod względem zaś oddziaływania na społeczeństwo — nietylko bezradnym, lecz nawet poddającym się wpływowi obcym. Kultura polska nietylko nie kapitulowała przed rosyjską, lecz ją zwyciężała, wdzierała się aż pod suto złotem haftowane mundury rosyjskie. Już Repnina i wyższych urzędników otwarcie oskarżano o polonifilstwo i ledwie nie zdradę narodową, już nawet najciemniejsze rzesze drobnego urzędnictwa „europeizowały się”, co prawda, w sposób bardzo osobliwy. Tak, idąc z prądem czasu, naczelnik kancelarji gubernatora mohylewskiego zorganizował z podwładnych mu urzędników... lożę masońską! O posiedzeniach wolnomularzy mohylewskich stało się wkrótce bardzo głośno, tem bardziej, że w sposób niebywały wzrósł popyt na wino szampańskie, które wówczas kosztowało bajecznie tanio, bo 1 rubel 60 kop. butelka. Gubernator zawezwał do siebie organizatora masonerji,

radcę Alejewcewa, i zażądał wyjaśnień. Ten rozpoczął od ogólnej charakterystyki:

„Niema nic łatwiejszego jak powiedzieć prawdę. Chociaż w mojej kancelarii niema pijaków, ale swawolników i łobuzów nie brak. Wasza Ekscelencja, ze względu na swą dobroć, nie odmawia żadnej prośbie i wstawiennictwu, więc tyle się narobiło sekretarzy i protokolantów, że mamy przepełnioną przez nich kancelarię, choć do pracy niema żywej duszy. Wielu z nich byłiby dzielnymi ludźmi, gdyby nie tak łatwo stali się urzędnikami. Wasza Ekscelencja często się gniewa, że kancelarja nie może nadażyć z wykonaniem rozkazów i że często szwankuje kancelaryjna organizacja. Byłbym głupim człowiekiem i kiepskim naczelnikiem kancelarii, gdybym tego nie widział. Ale cóż mam z nimi robić? Oni słuchają mnie i chętnie mię naśladują wówczas, kiedy bywają ze mną u znajomych na ucztach, lecz pracować na swych stanowiskach i być wdzięcznymi za otrzymane bez zasług rangi, to nie ich rzecz”.⁷

Gubernator przerwał mowę urzędnika, zbyt dosadnie charakteryzującego stosunki w kancelarii. Wówczas mistrz łoży masońskiej przyznał się szczerze, iż rzeczywiście założył łożę w Mohylewie, a to z pobudek dydaktycznych, mając na względzie uszlachetnienie „braci”. Praktyki tej łoży nie były zbyt skomplikowane. Oto w punkcie kulminacyjnym pijatyki mistrz nagle wołał: „Wszyscyśmy tu bracia — masoni!”... Wówczas bracia doświadczeni zaczęli krzyczeć: „Bracie kochany, przyjm od nas pocałunek!” — i wszyscy się całowali. Tymczasem nowych członków rozbierali i powiedziawszy im, że muszą wypróbować swą wolę podług rytuału masońskiego, kładli na ławkę i bili różgami. Ofiara mogła wrzeszczeć, ile się jej podobało: nikt nie słyszał, gdyż jedni śpiewali na całe gardło pieśni ludowe, inni — wciąż krzyczeli o braterskich pocałunkach, a wszyscy popijali szampana. Po tak niezwykłym i dość bolesnym wypróbowaniu siły ducha, brat przewodnik pouczał nowego masona o jego obowiązkach służbowych, towarzyskich i społecznych, ten zaś był obowiązany podziękować wszystkim braciom za naukę i zaszczytne przyjęcie do tak zacnego grona i wszyscy wówczas pili zdrowie nowego brata.

Pan Alejewcew z dumą zakończył swe opowiadanie: „Niech Wasza Ekscelencja zechce wejść do kancelarii i spojrzeć na siedzących obok siebie trzech młodzieńców, ubranych czysto i schludnie, uczesanych i upudrowanych. Oni całemi tygodniami nie chodzili do

kancelarji i zjawiali się tylko tam, gdzie mnie zapraszali znajomi. Od onegdajszego wieczoru masońska oświata postawiła ich na nogi: oni kwitną obecnie jak mak. Na przyszłą noc znów muszę brać się do pracy. Czas już opromienić światłem masonstwa dwóch szlachetnie urodzonych łobuzów. Zresztą jest i okazja: toropecki kupiec Chabarow otrzymał w spadku 5000 rb. i nie daje mi spokoju, prosząc, abym go „uszcęśliwił”. Pójdziemy do niego: będziemy mieli trzech „szczęśliwców”. Gubernator uśmieł się szczerze po takim tłumaczeniu i powiedział: „Ja o niczem nie wiem i wiedzieć nie chcę. Ty sam będziesz odpowiadał, nie wciągając mnie, gdyby cię spotkała jaka nieprzyjemność z powodu tych warjackich figlów”.⁸

II.

Tak niezwykle edukowani urzędnicy mohylewscy stanowili element nienajgorszy, a może nawet wybrany wśród Rosjan na Litwie, lecz, naturalnie, nie na wiele mogli się przydać w pracy kulturalnej. Wpływ ich sięgał tak daleko, jak daleko było słyszeć brzęk kieliszków, to też wesołe w miastach panowało życie. Magnaci polscy wcale się nie stykali z urzędnikami poza wypadkami nieuniknionemi; natomiast mieszczaństwo, kupcy i drobna szlachta chętnie dotrzymywali towarzysztwa wesołym, a tak często potrzebnym rosyjskim kompanom.

Szlachcie drobnej, która w ilości około pół miliona stała się wówczas obywatelami państwa rosyjskiego, wyjątkowo zależało na dobrych znajomościach w sferach urzędniczych: trzeba było bronić swej ziemi i swych praw, bo często szlachtę zaliczano do chłopów i sprzedawano lub rozdawano razem z ziemią. Panowała wówczas istna anarchja w stosunkach ziemskich: rozdawano ziemię i chłopów bez miary i bez sensu, odbierano z powrotem, zamieniano, sprzedawano, — tak, że chłop często nie wiedział, kto jest jego panem i tylko jęczał pod jarzmem coraz się zwiększających ciężarów. Nieliczenie się z własnością prywatną i nieodróżnianie szlachty od chłopów zwiększało straszliwy zamęt.

W krótkim czasie, bo do połowy r. 1797 rozdano około 130.000 „dusz”; otrzymali je nietylko tacy bohaterowie, jak Suworow (13.279 dusz), Rumiancew (10.854), Zubow (28.445), Igelstrom (2.989), Ferzen (1.464), — lecz dziesiątki osób zupełnie małych i nieznanych: rozmaici sowietnicy, pułkownicy oraz dobrze urodzone, a jeszcze le-

piej ustosunkowane damy. Przez kurtuazję, wdzięczność lub względy dyplomatyczne przeszło 17.000 chłopów rozdano i Polakom.⁹

Jakiś szal ogarnął wszystkich: każdy chciał urwać, ile się da, każdy myślał o zyskach, o nagrodach za czyny bliżej nieznane. Historyk rosyjski tak charakteryzuje ówczesne stosunki:

„Najwięcej kłopotu i nieporozumień było ze sprawą, wobec której ginęły wszystkie abstrakcyjne rozważania i wzniosłe idee: ze sprawą własności i zysku. Jednym trzeba było dawać majątki, wybierając najlepsze, najsmaczniejsze kąski, innym — zwracać, za trzecich prosić. Dążenie do posiadania własności ogarnęło wszystkich: chłopów litewskich otrzymywali od nowego rządu Rosjanie, Polacy, Niemcy, Francuzi. Chłopów pańszczyźnianych rozdawał nietylko rząd, ale i ich właściciele. Tak marszałek Suworow podarował ze swego kobryńskiego majątku stu ludzi niejakiemu hr. de Pontmartin, emigrantowi, pułkownikowi francuskiej służby”. Zrobił to Suworow, nie posiadając jeszcze formalnych praw do majątku, wskutek czego powstaje sprawa, wobec której gubernatorzy, a nawet sam generał-gubernator czują się bezradni. „Tak gubernator wileński wręcz się przyznaje, iż nie śmie pisać do Suworowa w sprawie majątku kobryńskiego”.¹⁰

Można sobie wyobrazić jaki chaos musiał panować w sprawach majątków ziemskich; z chaosu tego zaczęło się wyłaniać groźne widmo katastrofy. Niezadowolenie rosło. Magnateria polska nie mogła obojętnie patrzeć na ruinę polskiej własności na Litwie, na ohydny, bezczelny handel ziemią przodków; szlachta drobna czuła wielką krzywdę, jaka jej się działa z przejściem wolnej ziemi nie do jej rąk, lecz do rąk obcych,— w wypadkach utraty wolności osobistej krzywda ta przybierała rozmiary potworne; chłop, traktowany jak bydło, mające na rynku popyt i cenę, jęczał, przechodząc z rąk do rąk, — wreszcie niezadowolenie ogarnęło nawet Rosjan. W wielkim pośpiechu rozdawano ziemię ludziom, nieposiadającym żadnych zasług i odznaczającym się tylko sprytem; kiedy zaś w coraz większej ilości zaczęli zjawiać się ludzie zasłużeni i przedstawiali rachunki za swą wierną służbę i wspaniałe wiekopomne czyny, zabrakło ziemi i „dusz”; więc się zaczęły tworzyć zastępy malkontentów, wywołujących kłótnie, intrygi, denuncjacje i fałsze.

Sam wielkorządca Litwy, potężny i niezwykle obrotny Repnin, poczuł, że grunt się chwieje pod nogami. I znowu z rosyjskiego źródła:

„Książę Repnin nie mógł nie zauważyć, że sprawa się chwieje, nie klei się, że zapomocą rozdania majątków kraju się nie przywiąże do Rosji, gdyż jego siły ekonomiczne były bardziej mocne i produkcyjne, a więc mniej podatne do asymilacji i zwyciężyć je było nie sposób; trzeba było rejterować”.¹¹

I Repnin rejterował w znaczeniu dosłownem: uciekł do Petersburga, żeby już więcej nie wracać na te ziemie, z którymi imię swe związał na zawsze. Z Petersburga wydał on w r. 1797 ostatnie, jakby pożegnalne zarządzenie, normujące warunki powrotu urzędników do Rosji. Współczując widocznie z tymi, co pozostali na Litwie, podniósł on uposażenia urzędników, dał możliwość lepszym z nich przeniesienia się do Petersburga, a wszystkich, życzących sobie wrócić do kraju, pozwalał puszczać bez przeszkód, udzielając odpowiedniej zapomogi na drogę.

Sprytny i doświadczony stary dyplomata wiedział dobrze, iż stosunki na Litwie muszą się popsuć, sielankowe polowanie na rangi i ziemię kiedyś się skończy i śpiące lub gdzieś głęboko schowane siły narodu polskiego przypomną o swem istnieniu. I rzeczywiście: śmierć Katarzyny i wstąpienie na tron cara Pawła w grudniu r. 1796 nieco ożywiły społeczeństwo polskie. Zbudziły się nadzieje, łączone z imieniem nowego cara, zaczęto wierzyć, nie bez słuszności, że gorzej, niż jest obecnie, być już nie może, więc można było przypuszczać, iż nastaną czasy lepsze. Początek nowego panowania jednak niewiele się różnił od poprzedniego i zaznaczył się tylko wzmożeniem rozdarowywaniem ziemi rozmaitym dostojnikom rosyjskim oraz mniej obchodzącym Polskę deszczem orderów i gwiazd. Jedno natomiast zarządzenie Pawła, napozór błahe, poruszyło społeczeństwo polskie i stało się przyczyną pewnych zawikłań, a wkońcu — polepszenia stosunków: było to polecenie cara, aby na jego koronacji w Moskwie, w kwietniu r. 1797, wśród innych byli i delegaci szlachty litewskiej.

Możność zetknięcia się z carem oko w oko, w okolicznościach wyjątkowo pomyślnych, bo w okresie uroczystego i radosnego dla niego objęcia wielkiej władzy, zachęciła szlachtę polską do zbiorowego wystąpienia. Musiała być przecież ogłoszona, zgodnie z tradycjami, amnestja dla przestępców politycznych i dla jeńców wojennych; powinien był nowy monarcha być szczególnie uprzejmy dla przedstawicieli stanu uprzywilejowanego; wreszcie musiał interesować się wszystkim, co się działo w rozległym państwie. Stąd jako wniosek

nasuwała się myśl złożenia na ręce cara obszernego memoriału, zarysującego sytuację polityczną i społeczną na Litwie i zawierającego słuszne, bo minimalne żądania szlachty polskiej. Myśl ta zrodziła się przedewszystkiem w Mińsku. Niejaki Daszkiewicz, prezes izby cywilnej, poruszył miejscową szlachtę, która po kilku zebraniach opracowała memoriał, wyznaczyła delegatów i skomunikowała się z Wilnem, gdzie szlachta miała zamiar wystąpić z żądaniem usunięcia z Litwy rosyjskiego wojska i urzędników. Drgnęło nawet steroryzowane przez Repnina, przygnębione pobytem koronowanego jeńca — Grodno. Jednak tylko szlachta mińska posunęła sprawę dalej. Została wybrana delegacja z sześciu najznakomitszych mińszczan: z marszałka szlachty gub. mińskiej, radcy tajnego Ksawerego Chomińskiego, generała porucznika wojsk polskich Józefa Judyckiego, kasztelana witebskiego Ignacego Korzenieckiego, byłego ministra w Anglii Franciszka Bukatego, rzeczywistego szambelana ks. Michała Radziwiłła i generała porucznika wojsk polskich Józefa Wilczyńskiego. Ci delegaci mieli reprezentować podczas uroczystości koronacyjnych szlachtę mińską, dwóch zaś, a mianowicie Chomiński i Bukaty, byli upoważnieni do złożenia memoriału.

Obszerny memoriał, charakteryzujący sytuację i zawierający słuszne dezyderaty szlachty, składał się z szesnastu punktów. Punkt pierwszy zawierał prośbę o amnestję dla jeńców polskich, znajdujących się w niewoli rosyjskiej, oraz dla działaczy politycznych, którzy wskutek rozbiorów musieli opuścić kraj. Punkty 2—9, 11—14 i 16 poruszają sprawy administracji, zarysowują w sposób ciekawy i obrazowy stan kraju. Zawarte są tam prośby o język polski w sądach i udział w nich większej ilości miejscowych obywateli, o zwrot wywiezionych archiwów, o zabezpieczenie bytu byłych wojskowych armji polskiej, o unormowanie spraw, związanych z rozdawaniem majątków, o zwrot majątków duchownych; są uwagi, dotyczące działania komisji poborowych, o konieczności zmniejszenia podatków, o niezbędnem subsydjowaniu przez rząd poczty, będącej zbyt wielkim ciężarem dla ludności etc. Największą jednak uwagę zwracają na siebie dwa punkty: dziesiąty i piętnasty. Poruszone są w nich zagadnienia pierwszorzędного znaczenia w życiu duchowem ówczesnego społeczeństwa: uprasza się o podniesienie szkół i wskrzeszenie Akademji Wileńskiej (p. 15) oraz o zwrócenie uwagi na sprawę brutalnego nawracania unitów na prawosławie (p. 10). Ta ostatnia smutna

i poważna sprawa poruszona jest w memorjale obszernie i głęboko. Mówi się o faktycznem pogwałceniu ukazu tolerancyjnego Katarzyny, o prześladowaniu wyższego kleru unickiego i gwałtach, czynionych na chłopach, zmuszanych do przyjęcia prawosławia wbrew ich woli. Wkońcu uprasza się o wyznaczenie komisji, któraby zbadała na miejscu, kto przeszedł na prawosławie dobrowolnie, kto zaś pod przymusem.

Rzeczowy, bardzo dobrze przemyślany i poważnie opracowany memorjał szlachty mińskiej podpisali marszałkowie szlachty: gubernjalny — Chomiński oraz powiatowi: miński — Wańkowicz, ihumeński — Jelski, wilejski — Wołodkowicz, nieświeski — Rejtan, dokszycki — Zenowicz, bobrujski — Osieciński oraz asesor mozyrskiego wyższego sądu ziemskiego — Jeleński.

Delegacja, mająca reprezentować szlachtę mińską i złożyć carowi memorjał, w składzie znacznie zmniejszonym wyjechała nagle a niespodziewanie z Mińska nie w marcu, lecz w lutym i nie do Moskwy, lecz do Petersburga. Stało się to wskutek tego, że ruch wśród szlachty mińskiej zaniepokoił władze, które zaalarmowały Petersburg i tam wywołały popłoch. Przerażony car delegował do Mińska generała Fiłozofowa, który tłumił bunt chłopów w namiestnictwach pskowskiem i połockiem. Fiłozofow niezwłocznie zaaresztował inicjatora petycji Daszkiewicza oraz marszałka Chomińskiego i obu wysłał pod konwojem do Petersburga. Po przeprowadzeniu jednak śledztwa ten sam Fiłozofow złożył carowi raport o tem, że buntu ani zamachu stanu wcale nie było, że tendencyj separatystycznych w postępowaniu szlachty mińskiej nie skonstatował, a więc cech przestępstwa właściwie nie znalazł.

Strach jednak, jaki ogarnął sfery urzędowe Rosji wskutek memorjału, był wielki i zaznaczył się jaskrawo w postępowaniu cara podczas jego podróży pokoronacyjnej. Po odbytej 5 kwietnia 1797 r. koronacji w Moskwie wyjechał car do Petersburga drogą okrężną przez Smoleńsk, Mińsk, Słonim, Wilno, Kowno, Mitawę i Rygę. Jechał razem z synami Aleksandrem i Konstantym w otoczeniu najwyższych dostojników państwa. Instrukcje, wydane przez Repnina gubernatorom na czas przejazdu cara, dowodzą, iż władca potężnego państwa nie miał zaufania do swych nowych poddanych i czegoś się bał. Uzyskanie audjencji było niezwykle utrudnione; przemówienia powitalne podlegały cenzurze i były dozwolone w drodze wyjątku (delegacje kup-

ców prawa głosu nie miały wcale); w domu, gdzie się zatrzymywał car, nie wolno było mieszkać nikomu oprócz gubernatorów i generałów-dowódców armij; ruch uliczny w czasie przejazdu był ograniczony itp. — Przy wyjeździe cara z Wilna pozwolono było kupiectwu zebrać się tylko przy ratuszu i Ostrej Bramie; ludność mogła w niewielkiej ilości stać na ulicach, ale nie wolno było poruszać się z miejsca; szlachta zaś miała prawo patrzeć przez okna. Trwoga cara miała swe uzasadnienie: jeżeli sam fakt pisania memorjału wywołał śledztwo i areszty, a tekst budził ponure myśli o niezbyt mocnem zespoleniu ziem Wszechrosji, to nieuniknione spotkanie się z autorami petycji lub ich krewnymi i sympatykami nie należało również do wielkich przyjemności. Bał się car może zamachu, a najpewniej — tylko śmiałego słowa, dumnej postawy, najłżejszego zaznaczenia protestu, ośmieszającego władzę i podkopującego i tak nie zanadto mocny autorytet.

Memorjał jednak miał swój wpływ na dzieje kraju: car się zapoznał z nim i wydał szereg odpowiednich zarządzeń. Zostały wprowadzone zmiany w sądownictwie i administracji, Akademia Wileńska, której losy po kasacie zakonu jezuitów zdawały się być już przesądzone, uzyskała możność egzystencji i rozwoju, korzystając z dawnych praw i ram organizacyjnych, — wreszcie w sprawie unitów polecono gubernatorowi mińskiemu przeprowadzić osobiście dochodzenie i złożyć raport bezpośrednio carowi.

III.

Memorjał miński był kijem, nieoczekiwanie wsadzonym w mrowisko rosyjskie na Litwie. Ułożony przez ludzi, dalekich od myśli o rewolucji, utrzymany w tonie bardzo poważnym, rzeczowy, spokojny i lojalny wobec władz najwyższych, przeraził on panicznie rząd rosyjski, niepewny swych losów na ziemiach „zwróconych przez Polskę” i wciąż oczekujący wojny, zamachów lub mniej krwawego, lecz również energicznego wypędzenia przez Polaków rosyjskich urzędników. Władze rosyjskie stale wykazywały wyjątkowe zdenerwowanie: r. 1794 dowiódł wielkiej energii i siły, tkwiących w ukryciu w sercach polskich, bijących nad Niemnem, Wilją i Dnieprem; pobyt króla Stanisława-Augusta był ciąglem szarpaniem nerwów przeczulonych i do nieprzyzwoitości niepewnych siebie urzędników rosyjskich; to też w wystąpieniu szlachty mińskiej dopatrywano się zdrady stanu i uważano je za

pierwszy grzmot, zwiastujący burzę. I rzeczywiście: nie przebrzmiały jeszcze echa sprawy mińskiej, nie skończyły się raporty, doniesienia, tłumaczenia się, nie zdążono wprowadzić wszystkich zmian w ustroju administracyjnym, zgodnie z wolą cara, — jak uderzył istny piorun: w Wilnie wykryto najprawdziwszy spisek polityczny, unicestwiono zamach stanu! Straszliwy ten zamach dziś, z odległości przeszło 130 lat, nie budzi ani grozy, ani zachwytu i jeżeli został w swoim czasie potwornie wyolbrzymiony przez Rosjan i pociągnął za sobą ogromne kary, to tylko wskutek wprost historycznej paniki serdecznych braci z Rusi Moskiewskiej, czujących się wciąż nieswojo na „Rusi Litewskiej”.

Osnowa sprawy była taka. Zapomocą usługowego żyda-faktora, który przyniósł gubernatorowi Bułgakowi zapomniany w jego zajęzdzie list Stanisława Judyckiego, ucznia pijarów i syna generała, niedosłego delegata mińskiego, — dowiedziano się o istnieniu w Wilnie jakiegoś politycznego zgromadzenia, które wysyłało zagranicę „dla ratowania ojczyzny” młodych ludzi, przeważnie byłych wojskowych. Nim znaleziono Judyckiego, przyaresztowano w Grodnie byłego kapitana 8 pułku wojsk polskich Sebastjana Ciecierskiego, który jechał za fałszywym austriackim paszportem. Przy rewizji w kołnierzu fraka znaleziono akt powstania wileńskiego, statut „asocjacji”, instrukcje dla członków oraz sekretny alfabet. Przyciśnięty do muru Ciecierski małodusznie wydał współników i podał szereg szczegółów, dotyczących organizacji. Asocjacja miała się dzielić na diecezje, składające się zaledwie z kilku osób. Każdy członek wpłacał do kasy minimum trzy czerwonce na wydatki i był obowiązany zwerbować nowych członków, niewięcej jednak niż trzech. Bezpośredniemi zadaniem było wysyłanie byłych oficerów do Włoch, do szeregów generała Dąbrowskiego. Duszą organizacji był ksiądz Aureljusz Dąbrowski, przeor trynitarzy w Beresteczku na Wołyniu, przedtem przełożony klasztoru trynitarzy wileńskich (na Antokolu); do organizatorów należeli: ks. Wacław Ziółkowski, kapelan klasztoru benedyktynek w Wilnie, oraz przeor dominikanów ks. Ciecierski; w charakterze członków, sympatyków lub przygodnie zamieszanych znalazło się kilkadziesiąt osób.

Trudno odtworzyć paniczne przerażenie Rosjan na wieść o „zamierzonym powstaniu”. Aresztowywano każdego, kto się tylko podwinął pod rękę; schwytanych trzymano w klasztorze bazylianów, na drugim piętrze. Przeszło siedmdziesiąt osób, po większej części Bogu ducha winnych, zapoczątkowało martyrologię narodową, związaną



z murami bazylikańskimi. Klasztor św. Trójcy, wstawiony pobytem w nim św. Józefata Kuncewicza, oraz powszechnie znany ze względu na piękną i bogatą drukarnię księży bazylijanów, klasztor ten miał się stać miejscem kaźni i cierpień dziesiątków Polaków, których jedyną winą była miłość ojczyzny. Śledztwo prowadził vice-gubernator Fryzel, który wkrótce się przekonał o kompletnej niewinności większej części zaaresztowanych; tych więc zwolniono, garstkę zaś „prowodyrów” odesłano do Petersburga, gdzie się miał odbyć sąd o zdradę państwa, gdyż sprawę przekazano senatowi. Stosunek władz do tej sprawy był nierówny i niekonsekwentny. Z jednej strony strach, a nawet pewne racje polityczne nakazywały wyolbrzymiać niebezpieczeństwo, aby zwiększyć efekt zwycięstwa i mocniej zadokumentować potęgę Rosji. Z tego więc powodu dokonano masowych aresztów (przeważnie bezcelowych), zwiększono ochronę granic i tak już pilnie strzeżonych ze względu na grasującą na Ukrainie epidemię dżumy; zaalarmowano wreszcie rząd austriacki, gdyż nici spisku prowadziły do Lwowa, do osoby poety Cyprjana Godebskiego. Jednocześnie jednak starano się zbagatelizować całą sprawę. Nie chciano pozwolić na skonstatowanie duchowej nierozzerwalności Litwy i Korony, przerażano się na myśl, że serce polskie, mocnem, swobodnem tętnem dające znać o sobie pod jasnym niebem Włoch, potężny odźwięk znajduje w zachmurzonym, dalekim, „rdzennie rosyjskim” Wilnie. Dlatego już w czasie śledztwa robiono z oskarżonych hołotę z pod najciemniejszej gwiazdy: oficerowie, wyjeżdżający do Włoch, mieli być pijakami i rozpustnikami, którzy wcale nie myśleli o jakiejś dalekiej i obcej im Polsce, lecz tylko pragnęli urwać zapomogę na wyjazd, aby dobrze się zabawić w Wilnie i Grodnie; księża byli wpółwarjatami, natrętami, prowadzącymi niewyraźną i nieczystą grę i wyłudzającymi od łatwowiernych gotówkę na cele niewiadome; wszyscy zaś byli pacholkami bliżej nieznanym magnatów, „włóczęgami, nie posiadającymi ani domu, ani własności, którzy czcili jednego tylko boga — zysk i dla których prawem były — rozpusta, grabież i mordy”.

Trudne zadanie miał przed sobą senat rosyjski, mający sędzić „zamachowców”. Z jednej strony marzenia o wolności były już zdradą stanu; łączność z Polską i dążenie do wolnych polskich szeregów — zbrodnią państwową; z drugiej zaś była to przecież niepo czytalna banda pijaków, nikczemników, rozpustników i próżniaków,

których nie należało traktować poważnie, gdyż to wprost ubliżało godności mocarstwowej Rosji. Wreszcie samo przestępstwo: wysyłanie oficerów do wojsk polskich, które, chociaż szczerze pragnęły, nie mogły walczyć z Rosją, będąc przedzielone Austrią i Niemcami, przestępstwo to, raczej jego zamiar, nie było skierowane bezpośrednio przeciw Rosji, więc zasługiwało na łagodniejszą karę. Senat jednak poszedł drogą niekonsekwencji śledztwa i opinii urzędniczej i wydał jak najohydniejszą opinię o moralności oskarżonych, lecz jednocześnie potraktował ich jako wyjątkowo poważnych i wskutek tego niebezpiecznych przestępców politycznych.

Wyrok był barbarzyńsko surowy: księża Dąbrowski, Ciecierski i Ziółkowski zostali skazani na pozbawienie godności kapłańskiej, ociechanie twarzy, wydarcie nozdrzy, knuty oraz bezterminową katorgę w straszliwych kopalniach nerczyńskich. Kapitan Ciecierski oraz Stanisław Judycki musieli ponieść takie same kary: publiczne cechowanie, knuty, później — wieczną katorgę. Michał Grabowski, adwokat wileński, Czarnowski, rządca domu biskupa Łopacińskiego, bracia Siestrzewitowscy z Kobrynia — pisarz i rejent — zostali skazani na knuty i zesłanie do Syberji, Kondratowicz i Paździerski — na zesłanie do gubernji tobolskiej. Już na placu kaźni uzyskali skazani carskie „ułaskawienie”, polegające na zwolnieniu ich od publicznych tortur i wyznaczeniu im „tylko” bezterminowej katorgi oraz zesłania.¹² Trzeba zaznaczyć, iż ówczesny metropolita katolicki Bohusz-Sięstrzeńcewicz nie tylko nie zaprotestował przeciwko strasznym karom, wymierzonym księżom, lecz osobiście dokonał w kościele św. Katarzyny strasznego obrzędu degradacji kapłańskiej.¹³

Barbarzyńskie kary, które zastosowano nie ze względu na przestępstwo, lecz z powodu tendencji czynów, oburzyły nie tylko społeczeństwo polskie, ale spotkały się z protestem ze strony najmniej oczekiwanej — jednego z senatorów rosyjskich, znakomitego poety epoki Katarzyny, późniejszego w r. 1803 ministra sprawiedliwości — Gabrjela Dierżawina. W jego wspomnieniach znajdujemy ciekawą rozmowę z dyrektorem tajnej kancelarji Makarowym, który zbierał zdania senatorów w sprawie wileńskich spiskowców. Dierżawin zamiast odpowiedzi zwrócił się do Makarowa z pytaniem. „Czy byli winni Pożarskij, Minin i Palicyn, że pragnąc wyzwolić Rosję z niewoli polskiej, zorganizowali spisek i zrzucili obce jarzmo? — Nie — odpowiedział Makarow — oni nie tylko nie są winni, ale zasługują na najwyższe po-

chwały i szczerą wdzięczność. — Czemuż tak surowo sądzeni są ci nieszczęśliwcy, którzy prowadzili ze sobą rozmowy o ratowaniu swej ojczyzny z pod naszego panowania i czy można ich sądzić za zdradę i krzywoprzysięstwo podług tych samych praw, które są zastosowywane w podobnych wypadkach do rdzennych obywateli: to jest, — że kto należał do spisku lub słyszał o nim, lecz nie zawiadomił o tem, podlega karze śmierci? Nic oprócz tego nie mogę powiedzieć o nich; ale jeżeli byli oni kiedyś wiernymi poddanymi, zapytajcie się sumienia wszystkich tych dostojników, którzy wówczas podpisali wyrok śmierci, t. j. hrabiego Ilińskiego, hr. Potockiego i innych,¹⁴ będących wówczas senatorami i znajdujących się na posiedzeniu w tej sprawie—czyż nie tak samo myślą oni, jak i ci osądzeni? Przyjdzie czas — wszyscy się przekonają, iż, żeby naród podbity zrobić wiernym sobie, trzeba najpierw pociągnąć serca zapomocą sprawiedliwości i dobrodziejstw, a wówczas dopiero można karać za przestępstwa narówni z innymi obywatelami i podług praw narodowych. Więc, mojem zdaniem, niech oni myślą i mówią o ratowaniu swej ojczyzny, co chcą, ale niech nie zaczynają działać i tego właśnie powinien pilnować nasz rząd i zapomocą łagodnych i rozumnych środków nie dopuszczać ich do tego, a nie karać i nie wysyłać wszystkich na Sybir, gdyż Polski całej ani wymordować, ani wsadzić do więzienia — nie można!”¹⁵

Opinia Dierżawina jest niezwykle ciekawa nie dlatego, że to był głos przyjazny Polakom (Dierżawin zresztą nigdy przyjacielem Polaków nie był), ale dlatego, że było to mężne postawienie kropki nad „i”. Po raz pierwszy od chwili rozbiorów (i po raz ostatni bodaj) Rosjanin, znający przyłączony kraj, odważnie stwierdził obcość kultury polskiej, pominął całkowicie słodką bajkę o rdzennej rosyjskości „zwróconych przez Polskę” ziem i wskazał jedyną drogę rozumnej polityki: obchodzenie się z nowymi poddanymi jako z elementem państwowym, potrzebującym umiejętnego pozyskania dla spraw imperjum, a nie jako z Rosjanami drugiej kategorii, zasługującymi na karę już za to, że niegdyś „zerwali z Rosją i ulegli polonizacji”.

Głos Dierżawina przebrzmiał bez echa: car, dowiedziawszy się o stanowisku znakomitego poety, kazał mu powiedzieć, aby więcej „nie mędrkował”; twórcy sprawy—gubernator Bułgakow i wice-gubernator Fryzel otrzymali rangi (pierwszy — rzeczywistego radcy tajnego, drugi—rzeczywistego radcy stanu) i życie popłynęło dawnem korytem. Tak samo ciemne rzesze urzędników gnębiły ludność, tak samo słabo

piśmienni dygnitarze nie rozumieli życia, w przejawach pokojowych wężąc zbrodnie, zbrodnie zaś rzeczywiste uważając za normalny wyraz sprytu i rozumu życiowego, tak samo wreszcie reprezentowana przez nich kultura rosyjska ponosiła klęski, nie mogąc walczyć z polską.

IV.

Zastanawiając się nad ciężkimi zadaniami, które nagle zarysowały się wobec Rosji na ziemiach polskich, i wskazując na trzy czynniki, mające reprezentować i zaszczeplać rosyjską kulturę: wojsko, urządztwo i duchowieństwo, może za wiele poświęciliśmy uwagi urzędnikom rosyjskim, a w związku z ich pracą — wypadkom społecznym i politycznym. Trzeba jednak dobrze zdawać sobie sprawę z ówczesnego układu sił i rozwoju życia, aby zrozumieć rolę czynnika trzeciego, starającego się oddziaływać nie na zewnętrzne formy życia, lecz na kształtowanie się, raczej przekształcanie dusz.

Rola wszystkich misjonarzy była i jest niezwykle trudna. Trzeba zgóry być przygotowanym do długiej, uporczywej walki z oporem nawracanych i z wrogiem stokroć straszniejszym: ich obojętnością. Misjonarz musi posiadać dar porywania i zniewalania nawet najobojętniejszych. Żeby zaś porwać, musi mieć duszę, zdolną do lotów najwyższych i serce czyste; żeby podporządkować i prowadzić, musi reprezentować kulturę bezwzględnie wyższą od posiadanej przez nawracanych. Kultura duchowa i materialna muszą jednakowo mieć w misjonarzu swego reprezentanta i rycerza: przecież zadaniem jego będzie nie tylko wyjaśnienie poco mamy żyć, lecz i jak mamy żyć, nie tylko wskazywanie na niebo, ale i na ziemię.

Duchowieństwo rosyjskie, które po rozbiorach Polski poczuło się do obowiązku apostołowania, znalazło się w sytuacji wielce kłopotliwej. Trzeba było walczyć z Kościołem katolickim, potężnym i doskonale zorganizowanym, prowadzić pracę w kraju o kulturze bez porównania wyższej. Do takiej roli duchowieństwo rosyjskie wcale nie było przygotowane. Pierwszymi pionierami prawosławia na ziemiach polskich byli kapelani wojskowi. Były to istoty nieszczęśliwe, ciemne, zahukane, traktowane przez wojskowych z pewną pogardą, która w armji rosyjskiej przetrwała wieki, bo jeszcze przed wojną europejską, a nawet podczas wojny duchowny był uważany za człowieka bezwzględnie niższego w porównaniu z oficerami. W w. XVIII ducho-

wieństwo prawosławne stało na przerażająco niskim poziomie umysłowym i moralnym. Kiedy w drugiej połowie w. XVIII hr. Orłow zapraszał do Petersburga J. I. Rousseau'a, tak m. in. charakteryzował swój kraj: „Mieszkańcy tutejsi nie rozumieją ani po angielsku, ani po francusku, a jeszcze mniej po grecku lub łacinie. Duchowny nie umie prowadzić dysput i wygłaszać kazań, owczarnia zaś, gdy się przeżegna, naiwnie przypuszcza, że dokonała wszystkiego”.¹⁶

Tacy byli pasterze i owczarnia w Petersburgu, gdzie poziom kultury był dostatecznie wysoki; co się działo na prowincji, a szczególnie w pułkach, trudno nawet sobie wyobrazić. Socjalne położenie duchownych prawosławnych było wprost okropne: zależni od byle urzędnika, znajdujący się w nędzy materialnej, byli oni poniewierani przez każdego silniejszego i nigdy nie mieli pewności co do dnia jutrzejszego. Zne są wypadki, kiedy duchownych prawosławnych ćwiczono różgami lub zakuwano w kajdany bez sądu i śledztwa.¹⁷

Synowie popów, jeżeli nie należeli do stanu duchownego, byli albo zapisywani do chłopów i stawali się czyjąś własnością, albo zabierani do pułków; stąd było rozpowszechnione ukrywanie dorosłych synów, którzy stawali się okropnym ciężarem dla ojców, albo musieli szukać łatwego zarobku, uzupełniając liczne wówczas bandy zbójckie.

Jak nisko w hierarchji społecznej stało duchowieństwo rosyjskie, dowodzi ciekawy dekret cara Pawła z roku 1796, zwalniający duchowieństwo od kar cielesnych! Dekret ten, jak stwierdza historyk rosyjski, nie był wprowadzony w życie, tak dziwnem wydawało się zarządzenie cara, i dopiero po kilku latach, mianowicie 22 maja r. 1801, car Aleksander potwierdził i zastosował w praktyce wolę swego ojca. Zrobił to Aleksander, „pragnąc dać narodowi przykład poszanowania godności kapłańskiej a zarazem zaszcześcić w duchowieństwie poczucie własnej wartości”.¹⁸ Dopiero od dekretu cara Aleksandra rozpoczyna się dla duchowieństwa rosyjskiego jaśniejsza era: w w. XIX zaprzestali prawosławni karać chłostą swych pasterzy i zaczęli się uczyć szacunku dla kapłanów!

Wychowani w upokarzającym poniżeniu, ciemni i nędzni popi nie nadawali się wcale do roli misjonarzy i jeżeli podjęli się tego, to tylko z pobudek czysto materialnych, tem bardziej, że warunki sprzyjały im pod względem stale zapewnionej jak najenergiczniejszej pomocy władz administracyjnych.

Działalność tych władz mogła zaszkodzić każdemu ideowemu

duchownemu prawosławnemu, gdyż zohydzała w oczach ludności wszystko rosyjskie; misjonarze jednak ówcześni bynajmniej się tem nie zrażali, sami się nie orjentując w sytuacji.

Perspektywa podporządkowania Kościoła unickiego Cerkwi prawosławnej, a może i całkowitego zlikwidowania Unji, była zbyt wabiąca, aby tego nie spróbować. Prowadziły do tego dwie drogi: zgóry i zdołu: od strony duchowieństwa unickiego i od strony owczarni — olbrzymich, ciemnych mas chłopskich. Ofenzywa na Kościół unicki rozpoczęła się właśnie z dwóch stron. Szeregowy prawosławny pop nie mógł nawet i marzyć o „nawróceniu” unickiego parocha, znacznie od niego inteligentniejszego i bardziej niezależnego, rozpoczęto więc szykanowanie władz unickich, dokuczano na każdym kroku, często w sprawach błahych. Ale to nie prowadziło do zwycięstwa i przyczyniało się tylko do zaognienia stosunków, dlatego zaczęto gwałtownie nawracać szare masy ludowe. Nawracanie to odbywało się w sposób zgoła niewyszukany i jednostajny, operując argumentami mało teologicznymi, lecz wielce skutecznymi. Zbierano więc grupkę chłopów i powiadano im, że kto się zapisze do cerkwi prawosławnej, która przecież niczem właściwie nie różni się od unickiej, ten będzie zwolniony od podatków i robót a może uzyska wolność. Chłop, sprzedawany i rozdawany po kilka razy na rok, dręczony przez okrutnych właścicieli, zawsze głodny i ulegający najprzeróżniejszym chorobom, pożerany wreszcie tęsknotą za spokojnym kątem i pewniejszym kawałkiem chleba, — szedł na lep tych obiecanek. Zbierano wówczas „podpisy”, czyli „krzyżyki”; wciągano do spisów nawróconych dziesiątki i setki innych („przypadkowo”) — i oto powstawała parafja prawosławna. Drugim etapem było wypędzenie parocha i zabranie kościoła; odbywało się to przy pomocy policji i wojska sprężystości, prędko, bez wielkiego hałasu, gdyż parafjanie często nie rozumieli o co chodzi. Ten okres „apostołowania” był szczególnie miły rosyjskim duchownym: budowa lub przebudowa cerkwi pociągała za sobą koszty, które niezanadto obciążały hojne państwo i bardzo dopomagały nowym proboszczom.

Lecz tu się właśnie kończyła misyjna działalność wschodnich apostołów: dalej zaczynała się tragedia, lub tragikomedja — zależnie od okoliczności. Owczarnia, jak tylko przekonywała się o tem, że została oszukana, unikała cerkwi i zaczynała garnąć się z powrotem do Kościoła katolickiego. Popi, tracąc nagle dochody i wężąc intrygi

parochów i księży, zanosili skargi i sprowadzali na nich kary i szykany, wskutek czego tamci, bojąc się denuncjacji, unikali prawosławnych i pseudo-prawosławnych jak zarazy. Prawosławni zaś z imienia, tracąc łączność z bliskimi im z ducha i krwi unitami i nie uznając znienawidzonej cerkwi, do której wciągnięto ich podstępem, zaczęli obchodzić się bez posług kapłańskich: ślubów nie brano wcale, grzebano zmarłych pokryjomy, dzieci chrzczono przez kogoś ze starszych. Wytwarzała się straszliwa sytuacja, przy której, dzięki takiemu apostołowaniu, ludnośćomal nie stawała się pogańską. Ofiarą takiej „misji” duchowieństwa prawosławnego padła jednak stosunkowo mała ilość parafij unickich, gdyż inne, mając wymowny przykład, unikały starannie światła ze wschodu; ale zdziczenie już nawróconych trwało w ciągu szeregu lat.

Kiedy szlachta mińska układała swą petycję, nic dziwnego, że umieściła punkt, „dotyczący osobliwego nawracania unitów. Domaganie się powołania komisji śledczej dowodziło pewności siebie i słuszności sprawy. Rzeczywistość jednak była o wiele jaskrawsza i brutalniejsza, niż obraz, narysowany w memorjale mińszczan. Mamy o tem relację najpewniejszą, bo ze strony, której nie można posądzić o tendencyjność na rzecz Polaków, mianowicie od gubernatora Karniejewa.

Gubernator miński, po otrzymaniu cesarskiego rozkazu przeprowadzenia dochodzenia w sprawie nawracania unitów, w ciągu całego miesiąca objeżdżał prawosławne parafje i zebrał wyczerpujące wiadomości o stanie rzeczy. Suche, niezgrabne zdania urzędowego raportu zawierają tak straszliwy i ponury obraz beznadziejnej rozterki unitów, oddanych na pastwę barbarzyńskich pseudo-misjonarzy, gwałcących dusze i sumienia, że jakiegokolwiek komentarze są zbyteczne. Jest to dokument niezwyklej wartosci, aktualny nietylko w okresie, w którym powstał, lecz i na dłuższy jeszcze czas, gdyż metody nawracania niewiele się zmieniły i w w. XIX. Dlatego też podajemy ów raport w całości, w ścisłym przekładzie:

Do Najjaśniejszego, Najpotężniejszego Pana, Imperatora
i Samodzierzcy Wszechrosji

Rzeczywistego radcy stanu,
gubernatora mińskiego Karniejewa
Najpoddąnszy raport.

„Wykonywając Najwyższe Waszej Cesarskiej Mości zarządzenie z 4 dnia zeszłego miesiąca, zwiedzałem wszystkie te parafje, w których

nawrócona na prawosławie ludność waha się w wyznawaniu religii i których chociaż jest nie więcej niż dwadzieścia trzy w całej gubernji mińskiej, lecz są one rozrzucone po siedmiu powiatach tak, że trzeba było dłuższego czasu na obejrzenie i szczegółowe zbadanie przyczyn, dla których ludność unika bywania w cerkwi i wykonywania obrządków religijnych”.

„W postępowaniu swem starałem się przestrzegać Najwyższych Waszej Cesarskiej Mości zleceń, badając lud w sposób łagodny i uprzejmy i dowiadując się szczegółowo o przyczynach usuwania się od cerkwi i jej prawowiernych obrządków i, zdaje się, że wszyscy byli szczerzy, opowiadając tak o początkach swego nawrócenia, jak i o przyczynach uchylania się”.

„Co do początku, ponieważ większa część tych osad znajduje się pomiędzy parafjami unickimi, przeto po pierwszym wezwaniu obecnie się wahających wieśniaków do nawrócenia się, częściowo kierowali się oni nadzieją na to, że razem z nimi nawrócą się i inne wsie, a więc oni nie utracą odwiecznych między sobą więzów pokrewieństwa i przyjaźni oraz że będą im zmniejszone podatki i roboty (co, być może, było im nieostrożnie przyrzekane przez nawracających), częściowo zaś byli zapisani bez ich wiedzy, gdyż mała ilość świadomie nawracających się parafjan podawała nazwiska wszystkich. Wskutek tego w niektórych parafjach po nawróceniu się bardzo mało ludzi chodziło do cerkwi prawosławnej, w innych — wcale nikt, jak również nie wykonywano praktyk religijnych w ciągu lat dwóch lub więcej. Póki więc nie było surowego zakazu, niektórzy zwracali się do sąsiednich parochów unickich, inni sami udzielali niemowlętom chrztu św., a wielu przeszło na obrządek rzymsko-katolicki, jak to w dwóch parafjach powiatu wilejskiego zrobili wszyscy bez wyjątku mieszkańcy”.

„Duchowni prawosławni, pozostając przy cerkwiach sami, — im większą czuli krzywdę, będąc pozbawieni przez parafjan wszelkich dochodów, tem większych dopuszczali się gwałtów, zniewalając ludność do chodzenia do cerkwi i wykonywania obrządków, oraz składając w sposób gorszący fałszywe skargi na sąsiednich unickich parochów, skutkiem czego powstało mnóstwo spraw i ludność, po większej części niewinna, podlegała znęcaniom się”.

„Być może, że w pierwszym okresie nawracania naród wolał pozostać przy Unji pod wpływem zręcznych działań dawnego ducho-

wieństwa i obywateli, ale obecnie wszystkie te osoby, zgodnie z surowym zakazem ze strony wyższych władz, zostały usunięte od najmniejszego nawet udziału w wicherzeniu tych ludzi”.

„Są trzy główne przyczyny, dla których lud unika cerkwi:

„Pierwsza—to nagły, gwałtowny i zbyt niezgrabny zwrot od Unji do prawosławia, bo nigdzie nawracający nie spotykali się z powszechną zgodą, duchowieństwo zaś nie dokładało należytych starań, aby przekonać ich i skłonić do sumiennego wyznawania prawosławia, lecz pozostawiało tylko w cerkwiach, które odtąd nazywano prawosławnymi — duchownych, którzy, szczególnie przysłani z diecezji smoleńskiej, niezdolni nie tylko do piastowania swej godności, lecz i do utrzymania dobrych stosunków z ludnością, całą swą energję skierowywali na zorganizowanie strony zewnętrznej obrządku: jak np. ikonostasów z przeróżnych obrazów, procesyj naokoło cerkwi w lewą stronę, wbrew starym miejscowym zwyczajom i t. p., wskutek czego stali się zdecydowanie nienawistni ludowi, który się przyzwyczaił, przychodząc do kościoła, wysłuchiwać kazania i przyjmować nauki, z czego nie mógł już korzystać wskutek nieznamomości przez duchownych języka polskiego oraz wskutek ich nieudolności”.

„Druga — to odseparowanie parafij prawosławnych od otaczających je parafij unickich; lud, nie mając dokładnego pojęcia o wyznaniu unickim, wcale się nie sprzeciwia i prawosławnemu, ale jest przynębiony tem, że po przerobieniu cerkwi unickich na prawosławne zostaje pozbawiony wszelkich wygód, z których dawniej korzystał, a mianowicie: już parochowie unicy nie chodzą do nich z procesjami w święta kościelne i inne, wskutek czego ustały większe zebrania ludowe, zaczęły upadać targi i jarmarki; mieszkańcy tych parafij zostali pozbawieni możności sprzedawania swych produktów i kupowania rzeczy potrzebnych; zabawy i spotkania się z krewnymi z innych wiosek przerwały się, i oni poczuli się nagle osieroconymi i pozbawionymi wszelkiego obcowania, gdyż wskutek surowego zakazu udzielania przez parochów duchownych posług parafjanom prawosławnym, tych ostatnich nie przyjmują nigdzie w innych wsiach nawet podczas świąt, lecz stronią od nich i uciekają. Takie położenie parafij, leżących pośród unickich, do największego stopnia rozgorycza lud, tak, że niektórzy z przepisanych na prawosławie, słabo orjentując się w swem wyznaniu, nie mogą wytrwać w postanowieniu i pragną jednomyślnie pozostać wszyscy razem z innymi wioskami w jednej wierze z tem,

że jeżeli cerkwie tamtych będą obrócone na prawosławne i oni z radością pozostaną prawosławnymi, jeżeli zaś tamci będą unitami, to oni proszą o pozostawienie ich unitami, gdyż nie chcą wyznawać religii odmiennej, pragnąc jak dawniej mieć wolne ze wszystkimi stosunki i wspólne dzielić życie”.

„Trzecią przyczyną jest niemożliwość utrzymania cerkwi przez świadomych tylko prawosławnych; w żadnej bowiem z omawianych parafij niema i nie było niewymuszonej, szczerzej chęci do przyjęcia prawosławia, większa część ludności trzyma się Unji, niektórzy przeszli na obrządek rzymski; wskutek tego cerkwie, obrócone na prawosławne, świecą pustkami, są tak nędzne, że duchowni nie mogą odprawiać nabożeństw. We wszystkich 23 parafjach, oprócz wsi Naczy, gdzie, wjeżdżając do gubernji mińskiej, miała Wasza Cesarska Mość pierwszy nocleg i gdzie wszyscy mieszkańcy w zeszłym miesiącu dobrowolnie i jednomyślnie przeszli na prawosławie i złożyli w cerkwi przysięgę, z wyjątkiem dwóch ludzi, którzy przyjęli wiarę rzymsko-katolicką, we wszystkich 23 parafjach nie znalazłem ani jednomyślnego na początku nawrócenia, ani stanowczego obecnie życzenia pozostania przy wyznaniu prawosławnem: z drugiej strony nie spotkałem najmniejszego oporu co do przyjęcia prawosławia, jeżeli się nawrócą sąsiednie, unickie parafje, jak również nie znalazłem innych przyczyn uchylania się od prawosławia oprócz trzech wyżej podanych, wskutek czego, przejeżdżając przez miejscowości unickie, prowadziłem rozmowy z parochami unickimi na temat różnicy religji i oni sami mówili, że oprócz uznania papieża za głowę Kościoła i jednego artykułu wiary, dotyczącego pochodzenia Ducha Św. od Ojca i Syna, właściwie wszystko jest jednakowe i całe nabożeństwo odbywa się na podstawie rosyjskich ksiąg grecko-katolickiego wyznania. Dlatego też pytałem się ich, czemu oni, znając zasady tych religij, w istocie swej jednakowych, nie starają się połączyć z panującą grecko-katolicką Cerkwią tak, jak niegdyś ich przodkowie stali się unitami wskutek panowania Kościoła rzymsko-katolickiego; z rozmów ze światłymi i przykładnymi parochami wywnioskowałem o ich skłonności i chęci połączenia się z prawosławnymi, ale powstrzymuje ich obawa przed ich władzą duchowną, która, zatrzymując innych przy Unji, może wytworzyć dla nich podobne warunki, w jakich się znajdują 23 parafje, nawrócone na prawosławie”.

„Po ustaleniu położenia, w jakim się znajdują 23 parafje, opisałem wszystko szczegółowo arcybiskupowi mińskiemu i wołyńskiemu

i kawalerowi orderów Hiobowi i prosiłem, aby na zasadzie rozporządzenia Waszej Cesarskiej Mości dozwolił mieszkańcom tych parafij przyjmować posługi duchowne od księży unickich, nie czyniąc żadnych trudności; żeby zaś w tych miejscowościach, gdzie częściowo są prawosławni mieszkańcy, ci ostatni mogli stać przy nowej wierze i pociągnąć innych do wspólnego wyznania — niechby zechciał on tam zamienić obecnych nieudolnych duchownych na innych, z miejscowych, znających język polski i zdolnych do nauczania ludu”.

„Oprócz tych 23 parafij, niegruntownie nawróconych i dlatego obecnie się wahających, wszystkie inne parafje zachowują mocną wiarę i spokój, tamte zaś po mojej wizytacji zostały zupełnie uspokojone, gdyż dozwoliłem wyznawać wiarę zgodnie z sumieniem i przyjmować posługi duchowne od kogo zechcą. Trzeba tylko, w celu utrzymania ogólnego porządku w prowadzeniu ksiąg metrycznych, do których się wpisują nowonarodzeni, zmarli i biorący ślub i z których robią się wypisy dla sądów, aby były one prowadzone prawidłowo; ale ponieważ w parafjach unickich nigdy nie było należytego porządku, bo i władze duchowne, znajdujące się w innej gubernji, niedostatecznie kontrolują, przeto byłoby dobrze, jeżeli to się nie sprzeciwia prawom kościelnym, podporządkować pod tym względem wszystkie parafje unickie gubernji mińskiej arcybiskupowi Hiobowi, aby one, prowadząc metryki i opracowując sprawozdania, komunikowały się z nim, narówni z parafjami prawosławnymi; w ten tylko sposób dałoby się ściśle ustalić, jak ludność wykonywa obowiązki swej, zgodnie z głosem sumienia wyznawanej religji”.

„Jeżeli Wasza Cesarska Mość raczy zatwierdzić niniejszy mój raport, to nie wątpię, iż pewna łączność unickich popów z arcybiskupem Hiobem może pobudzić ich do powzięcia stanowczej decyzji co do przejścia z parafjanami na prawosławie, jak to niedawno zdarzyło się w powiecie mozyrskim, gdzie jeden unicki pop, przyjmując prawosławie, przyłączył jednocześnie cztery parafje za ogólną zgodą wszystkich mieszkańców, gdyż lud tutejszy, mając wielkie zaufanie do księży i parochów (rzeczywiście zasługujących na to ze względu na ich sposób życia, poziom umysłowy i gorliwość w nauczaniu ludu) — gotów iść za nimi wszędzie; popi zaś unicy, gdyby mogli zachować swój strój i nie nosić brody, a w kościołach unickich zostawić na pewien czas obecne ołtarze — chętnieby przyjęli prawosławie;

zmiana jednak tych rzeczy wywołuje wielkie wrażenie wśród ludu, który parochowie mogą i umieją trzymać w rygorze”.

„Uważając to wszystko za niezbędne dla spokoju tutejszego kraju i w celu szybkiego ujednolinitenia wyznania religii, ośmielam się najpokorniej złożyć to Waszej Cesarskiej Mości do Najwyższego rozpatrzenia”.

6 lipca 1797 r. Mińsk.¹⁹

Raport Karniejewa jest dokumentem jedynym. Gubernator miński przejął się rzetelnie swą rolą, zbadał sytuację gruntownie, zrozumiał dobrze przyczyny niepowodzenia prawosławia. Pisząc bezpośrednio do cara, uważa on za swój obowiązek mówić szczerą prawdę, dlatego odważnie nazywa rzeczy po imieniu. Stąd te mocne słowa o fałszywych denuncjacjach popów, o znęcaniu się nad ludem podczas śledztwa, o wstępie, jaki wywołali popi wskutek swego postępowania i t. d. Ustalenie trzech przyczyn ucieczki z Cerkwi prawosławnej byłych unitów, przyłączonych do niej gwałtem lub postępem, jest trafne. Nawet końcowa część raportu, zawierająca naiwny projekt zbliżenia kleru unickiego do prawosławnego, posiada jeden moment bardzo głęboki: oto jedyną drogę do milionów unitów widzi gubernator przez kler unicki. Nie mylił się; bezpośrednie nawracanie unitów przez prawosławnych ponosiło sromotną klęskę, wykazując niedołęstwo, a często i nikczemność kleru prawosławnego. Unici jeszcze ściślej jednoczyli się, garnąc się do swych przewodników — księży katolickich, którzy w zestawieniu z popami wyrosli w ich oczach.

Trudna wytworzyła się dla Rosji sytuacja: gwałtownie zagarniając zdobyte bez większego wysiłku ziemie, spotkała się ona z naturalnym oporem, którego zwyciężyć nie mogła. Dwie kultury, dwie religie, dwa światy: wschodni i zachodni zetknęły się na spokojnych, cichych, biednych ziemiach nad Dnieprem, Dźwiną i Niemnem... Wywiązała się walka bez krwi, bez słów... Walka tem dziwniejsza, że już zgóry ogłoszono urbi et orbi triumf Wschodu i że od zgnębionego, bezsilnego Zachodu oczekiwano tylko przyznania klęski i błagalnego słowa o litość. I Zachód ów, choć słowa tego nie wyrzekł, jednak, zdawało się, zrezygnował z walki... Nie było znać czynów zdecydowanych, ruchu energicznego, postawy groźnej... A jednak działo się coś dziwnego... Triumfator zaczął przeżywać dziwną rozterkę, zatrzymał się na miejscu, aż wreszcie rozpoczął sromotny odwrót na całej linii...

Wiek XIX rozpoczął się dla Polaków na Litwie pod dobrą gwiazdą. Pierwsze lata, pierwsze dziesięciolecia szły pod znakiem nadziei. Śmierć niepoczytalnego Pawła i wstąpienie na tron Aleksandra w r. 1801, otwarcie Uniwersytetu Wileńskiego na miejscu dawnej Akademii w r. 1803, wojny napoleońskie i szczytowy rok marzeń i entuzjazmu, r. 1812 — wszystko to porywało społeczeństwo polskie, zmuszało do silniejszego reagowania na wypadki dziejowe, przyzwyczajało do czynu. Nowy wiek jakby zbudził wszystkich: olśnił świetlaną perspektywą i zażądał ruchu i pracy. Skończył się okres rezygnacji i bezmyślnego zamykania oczu na otaczające życie, jaki zapanował po rozbiorach, skończyły się czasy petycyj i niedołączonych spisków, rozpoczęła się nowa era, której zwiastunem był odrodzony uniwersytet. Znaczenie prastarej wszechnicy Batorego było wprost kolosalne. Posiadający doskonałą organizację, obejmujący szerokie horyzonty naukowe, grupujący wreszcie pierwszorzędne siły nauczycielskie, stał się uniwersytet ogniskiem, do którego garnęły się wszystkie szlachetniejsze i mocniejsze jednostki i którego ciepło i światło ogarniało tysiące. Nagłe zjawienie się odmłodzonej, pełnej sił wszechnicy wileńskiej na widowni szarego życia jakby otworzyło wszystkim oczy na zadania Polaka w niewoli. Trzeba się wzmacniać duchowo i umysłowo, trzeba się skupiać, tworząc jedność, trzeba wreszcie, lekceważąc granice fizyczne, dzielące Litwę od Korony, połączyć się z Macierzą mocno, nierozzerwalnie, aby serce ojczyzny śmiałym tętnem odezwało się w murach grodu Giedymina. Uniwersytet Wileński nie był wówczas tylko poważną, europejską wyższą uczelnią, nie był nawet świetną polską wszechnicą, był czemś więcej: pochodnią oświaty, wulkanem polskości, głęboko kryjącym przepotężne płomienie i tak olbrzymi żar, że nawet jednostki dalekie od przeżyć narodowych przetapiał na patryjotów polskich. Czartoryski, Śniadeccy, Jundziłł, Słowacki i inni przy całym swym patryjotyzmie nie potrafiliby rozpaść do białą uczuć narodowych, rozentuzjazmować młodzieży akademickiej i stworzyć grunt do rozkwitu pięknych postaci profesorów i uczniów, gdyby nie to, że w murach Uniwersytetu Wileńskiego już biło serce całego narodu i że duch polski, dotychczas tłumiony, więziony i zatrutowany, do lotu się szykował, siły zbierając właśnie wśród sędziwych gmachów, otaczających prastary kościół św. Jana.

Uniwersytet Wileński stał się ośrodkiem wszelkich kulturalnych wysiłków społeczeństwa polskiego, a nawet punktem, koło którego koncentrowało się życie towarzyskie, społeczne i polityczne. Wobec społeczeństwa odegrał uniwersytet rolę różdżki czarodziejskiej, budzącej ze snu zaklętych rycerzy, i wpływami swemi sięgnął daleko.

Jednym ze skutków wzmożonych wpływów Uniwersytetu Wileńskiego było przekształcenie stosunków wśród duchowieństwa unickiego, a co za tem idzie, i samej pozycji Kościoła unickiego. Kler unicki świecki, obarczony rodzinami, znajdujący się zwykle w dość ciężkich warunkach materialnych i krzywdzony lub lekceważony przez bazylianów, zajmujących w Kościele stanowiska naczelne, zaczął dochodzić do władzy i zabierać coraz bardziej stanowczy głos. Seminarjum Główne, otwarte przy uniwersytecie w r. 1808 i nieczynne tylko w latach 1812—16, rozwijało się pomyślnie, kształcąc alumnów katolickich — łacińskich i unickich, spotykających się na wykładach uniwersyteckich ze studentami świeckimi z różnych sfer. Unicy gorliwie przykładali się do nauki tak, że wkrótce w temże seminarjum objęły dwie katedry (Bobrowski i Sosnowski), weszli do kapituł a i na parafjach zaczęli się czuć pewniej, gdyż niejednokrotnie spotykali swych dawnych uniwersyteckich kolegów na stanowiskach kolatorów lub wśród wyższych dygnitarzy. Kultura polska, promieniująca na Uniwersytecie Wileńskim, nakładała odrębne piętno na młode pokolenie duchownych unickich, a brutalne posunięcia rusyfikatorów-popów i ciemnota duchowieństwa prawosławnego odsuwały ich od Cerkwi panującej. Wśród szerszych mas ksiądz unicki cieszył się coraz większym szacunkiem, był coraz poważniej traktowany i zaczynał zdecydowanie zbliżać się do łacinników.

Jeden z późniejszych likwidatorów Unji, Placyd Jankowski, sam stwierdza, że w okresie poprzedzającym likwidację panowała wyjątkowa zgoda.

„Bezzenni albo wdowcy — księża unicy zajmowali często stanowiska kapelanów domowych przy dworach obywatelskich, wikariuszy kościołów, kapelanów klasztornych, a nierzadko były i takie wypadki, że dzieci parochów, zmieniając obrządek i przechodząc do duchowieństwa rzymskiego, osiągały w hierarchji kościelnej stopnie najwyższe, nawet biskupie, jak np. biskup łucki ks. Piwnicki”.²⁰

Zgodni i przyjaźni ze sobą kapłani katoliccy: łacińscy i unicy byli często wychowañcami jednej Almae Matris, a stale — synami

jednej ziemi, jednego narodu... Jednakowe mieli przed sobą zadania i jednego posiadali wroga...

Jeżeli wschodnie ziemie polskie w pierwszym okresie po rozbiorach przypominały pobożowisko, to na początku w. XIX wyglądały jak teren przygotowany do walki i posiadający mocne twierdze i reduty.

Dwie potężne twierdze polskości stanęły na tych ziemiach ku przerażeniu i zdumieniu wrogów.

Pierwsza skupiała element najbardziej czynny i twórczy: szlachtę, wyższe warstwy mieszczaństwa, duchowieństwo — i za zadanie miała wychowanie żołnierza, któryby walczył na pierwszych szancach i któryby, reprezentując Polskę całą, mógł innym przewodzić. Bo w sędziwych, wówczas trzeci wiek liczących murach, które się rozłożyły na skrzyżowaniu dwóch wielkoksiażących dróg: z Trok i (przez Ostrą Bramę) z Nowogródka i które stały się twierdzą z rozkazu Króla-Żołnierza—w tych murach siedlisko swe znalazły duch, myśl i natchnienie polskie. Była to nie tylko twierdza obronna, ale i szkoła rycerska narodu. A na imię jej było Uniwersytet Wileński.

Druga twierdza nie była tak efektowna i nie zwracała na siebie uwagi: skromna i cicha skupiała ona przy sobie prawie dwumilionową armię chłopów i drobnej szlachty i granicami swych wpływów sięgała poza Dniepr i daleko poza Dźwinę. Była to Unja kościelna.

Zaznaczamy stanowczo i wyraźnie: były to twierdze polskości. Znaczenie uniwersytetu polegało nie na tem tylko, że był on świetną uczelnią, ale i na tem, że stał się on wspaniałym warsztatem narodowym, kształtującym dusze i serca polskie. Znaczenie Unji nie ogranicza się dziedziną świata religijnego, lecz wielkie jest i dlatego, że była Unja przewodnikiem idei narodowych polskich.

Historycy rosyjscy, mówiąc o Unji kościelnej w w. XIX, nie mogą się powstrzymać od złośliwych, pełnych oburzenia uwag, dotyczących jej polskości. Zaznaczają, że Kościół unicki zatracił w w. XIX swój charakter unijny, stał się ekspozyturą kultury polskiej i tracąc równowagę, przechylał się w sposób zdecydowany ku łacinizmowi, oddalając się coraz bardziej od Cerkwi wschodniej. Wytykają wreszcie unitom uprawianie polityki narodowej polskiej i prowadzenie wojny domowej z prawosławnymi.

W zarzutach Rosjan, przykrych zwykle pod względem formy, tkwi jednak sporo prawdy. Kościół unicki po rozbiorach Polski wyraźnie się polonizował i zbliżał się do Kościoła rzymskiego. Może to

źle świadczyło o jego samodzielności i zmniejszało jego znaczenie, może to zapowiadało bliską jego likwidację i zlanie się z Kościołem rzymskim, ale stwierdzić stanowczo należy, iż głównymi inspiratorami nowego ruchu byli bynajmniej nie Polacy (zwykle: „magnaci i księża”), ale... Rosjanie.

Jak nikczemna polityka i dusząca atmosfera, wytworzone przez Rosjan, wywołały twórczy protest w formie uduchowienia Uniwersytetu Wileńskiego, tak brutalne gwałty nad sumieniami ludzkimi i odrażające wzory „misyjnej” pracy ciemnych popów zmuszały unitów do bardziej zdecydowanego demonstrowania swej odrębności, co, naturalnie, zbliżało nawet jednostki najmniej uświadomione—do łacinników i Polaków. Pewien rosyjski historyk, zastanawiając się nad tem zjawiskiem, nie może powstrzymać się od uwagi.

„Rzecz dziwna: im mocniej przyciągało państwo do siebie tak zwane „zwrócone przez Polskę gubernje”, tem mocniej rozpowszechniała się w tych gubernjach polonizacja... Kraj, niegdyś całkowicie rosyjski, chociaż i osobliwego, nie wschodnio-rosyjskiego typu, — zmienił się do niepoznania; całkowicie zmienił swój charakter, polonizował się, zatracił swe cechy narodowe, a nawet i pamiątki przeszłości. Wszystko to było — w stanie średnim, wśród duchowieństwa i mieszczan, dziełem polskiej państwowości i kultury, które nie spotykały w kraju najmniejszego oporu,—w warstwach zaś niższych pośród ludu — dziełem Unji kościelnej. Wyższe warstwy społeczeństwa, szlachta, na Litwie całkowicie, na Białej Rusi częściowo — stała się oddawna bezwzględnie polską, nie spolszczoną, jak to się u nas mówi, lecz Polakami. Ale wyraz „spolszczony” był najzupełniej stosowny w odniesieniu do duchowieństwa unickiego, które nie tylko w życiu domowem, ale i w korespondencji, a nawet w kościołach używało języka polskiego; żony parochów unickich, bodaj w zdecydowanej większości, były rodowitemi Polkami; wreszcie wśród kleru unickiego sporo było ludzi nie tylko prawdziwie polskiego pochodzenia, ale i wyraźnych łacińskich sympatyj. Obojętność narodowa i wyznaniowa doszła do tego, że w jednej rodzinie jeden brat był parochem, a drugi księdzem; kapłani unicy i łacīńscy często odprawiali nabożeństwo w kościołach obu obrządków, nie robiąc różnicy. Z wyjątkiem języka cerkiewno-słowiańskiego, który był używany podczas unickiego nabożeństwa, nie pozostało już prawie nic ruskiego, a nawet zatraciła się

świadomość rosyjskiego pochodzenia; mówimy tu o masach, a nie jednostkach i wyjątkach”.²¹

I słusznie: tylko wyjątki, bardzo nieliczne, wahały się, nie mając ustalonych poglądów na wytworzoną sytuację; Kościół unicki stawał się Kościołem coraz bardziej polskim. Już w Królestwie biskup chełmski Ferdynand Ciechanowski zasiadł w senacie; dziesiątki kapłanów unickich piastowały godności kanoników i prałatów; nawet wygląd zewnętrzny parocha unickiego nie różnił się wcale od wyglądu księdza łacińskiego.

Sytuacja Rosji stawała się coraz bardziej przykrą i fałszywą. Wysyłki całej armii urzędników i zastępów popów nie tylko nie dawały pożądanых owoców, lecz wywoływały skutek wręcz przeciwny zamiarom. Element rosyjski ginął bezradnie wśród polskiego społeczeństwa, kultura polska triumfowała, wpływając nawet, chociażby tylko zewnętrznie, na inteligentniejszych urzędników rosyjskich. Rosyjskość była w poniewierce, była bezsilna i nieznaczna; jeszcze trochę i, zdawało się—musiałaby zginąć. Przed Rosjanami coraz wyraźniej zarysowywała się konieczność albo całkowitej kapitulacji, albo stoczenia decydującej walki. Pierwsze wyjście było nie do przyjęcia, aczkolwiek błąkały się wstydliwie nieśmiałe projekty połączenia Litwy z Koroną i przygarnięcia całej Polski pod berło carów; pozostało wyjście drugie. Trzeba było zaatakować i zmiażdżyć dwie twierdze polskości: uniwersytet i Unję; zadanie niełatwe, bo Rosja mogła popisać się tylko siłą fizyczną, pod innymi względami zdecydowanie ustępując Polsce.

Trudno sobie wyobrazić, jakby się ułożyły losy Polaków na Litwie i jaki koniec miałyby milcząca, choć uporczywa walka dwóch kultur, gdyby Rosjanie nie znaleźli wcześniej sposobności do zastosowania brutalnej przemocy, bo r. 1823 otworzył przed nimi tak pożądaną przez nich drogę. Dziecinny i nieobliczalny w skutkach „kawał” studenta Massalskiego, który pragnąc ratować sprawy majątkowe ojca, dotarł do wielkiego księcia Konstantego zapomocą fałszywego przyrzeczenia udzielenia informacji o nieistniejącym spisku, napis na szkolnej tablicy, skreślony przez młodocianego wielbiciela Konstytucji 3 Maja, wiersze pornograficzne Jana Jankowskiego, wreszcie zbrodnia nad zbrodniami: prawdziwy spisek—Filomaci i Filareci...

Dzika pasja, z jaką rzucono się na młodzież, komedia sądów i barbarzyństwo oprawców, to wszystko, co nas dotychczas przejmuje zgrozą i wprowadza w zdumienie, miało podstawy znacznie głębsze.

niż chęć zrobienia kariery, szukanie łatwych odznaczeń lub jakiś sadyzm, czy zemsta za krzywdy bliżej nieznane. W interesie już nie jednostek, lecz państwa całego, leżało rozdmuchanie procesu filomatów i filaretów do granic najpotworniejszych, wyszukiwanie i szczególnie podkreślanie pierwiastków zdrady stanu, nadanie pozorów odkrycia spisku, ledwie nie zastępów zakonspirowanej armii rewolucyjnej. Trzeba było (i tak się robiło podczas śledztwa i sądu) przekreślić, zniszczyć, schować pierwiastek duchowy organizacji młodzieży akademickiej, natomiast wyolbrzymiać, ledwie nie reklamować pierwiastki polityczne, które pozwalały na zastosowanie jedynej konkretnej siły rosyjskiej — siły fizycznej. Więzienia, knuty, kibitki — to była broń, skierowana nie przeciw młodzieży polskiej, lecz przeciw duchowi polskiemu, który zanadto dumnie zapanował w murach Almae Matris Vilenensis, porywając naród cały. Potworne kary, jakie spadły wówczas na chłopców polskich, były jednak zbyt małe i słabe, jako broń, skierowana przeciw nieuchwytnemu wrogowi i jako środek rehabilitacji potęgi Rosji. Chodziło Rosji nietylko o unieszkodliwienie wcale dla niej niegroźnych filaretów, lecz o to, aby w jakikolwiek sposób zademonstrować potęgę państwa carów — złamać ducha narodowego, gasząc największe na Litwie ognisko, zdemoralizować i sterroryzować młodzież. Racje więc polityczne oraz interes państwa wymagały postępowania jak najbrutalniejszego wobec, choćby sztucznie stworzonego, groźnego spisku.

Tanie zwycięstwo rządu rosyjskiego nad młodzieżą polską wzmocniło jednak pozycję Rosji i zrobiło szczerbę w murze obronnym wielkiej twierdzy polskiego ducha, choć ani brutalne kary, ani prześladowania najlepszych profesorów, ani nawet obsadzenie stanowisk kierowniczych przez swoich ludzi i zorganizowanie policji uniwersyteckiej nie zgasiło jasnego ogniska Wszechnicy Wileńskiej. I choć nie wolno było studentom wileńskim tworzyć związków, czytać i kupować książek, nie odnoszących się bezpośrednio do przedmiotów studjów, choć nie mieli oni prawa bez specjalnego, na piśmie, pozwolenia rektora bywać w innych kościołach, oprócz uniwersyteckiego, oraz wychodzić na wycieczki zamiejskie, choć różgi krwawiły ciała studentów (i to w gmachu uniwersytetu!), choć wreszcie intrygi, kłótnie, denuncjacje i najnikczemniejsze walki panowały wśród profesorów — jednak uczelnia wileńska stała wciąż wysoko i prawie tak

jak dawniej, przyciągała do siebie młodzież polską, szczerze kochaną i popieraną przez społeczeństwo.

I znowu rząd rosyjski zaczął przegrywać walkę, kultura zaś polska mocniej i dumniej zabierała głos. Rok 1831 pozwolił jednak Rosjanom po raz drugi zadokumentować swą potęgę fizyczną. Twierdza polska zachwiała się pod straszliwym ciosem. Ale i po likwidacji Uniwersytetu jego spadkobierczynie—dwie akademje—jeszcze dzielnie się broniły przed przemocą, aż wkońcu ulec musiały... na jakiś czas...

VI.

Pierwsza twierdza polskości na ziemiach wschodnich załamała się pod ciosami uzbrojonej pięści. Druga była jeszcze do zdobycia. Próby rozsądzenia Unji zdołały zakończyć się jeszcze w poprzednim stuleciu sromotną porażką; najciemniejszy nawet lud, pociągnięty fałszywymi obietnicami ulżenia jego doli, przekonał się wkrótce o kłamstwie i zareagował w sposób jedynie mu dostępny: zapomocą masowej ucieczki z cerkwi i zaniedbania wszelkich praktyk religijnych. Inni, nastraszeni ponuremi skutkami apostazji, stawiali zdecydowany opór. O zastosowaniu siły zbrojnej i zmuszeniu gwałtem do przejścia na prawosławie mowy być nie mogło, już chociażby dlatego, że prawie dwumiljonowa ludność unicka wymagałaby ogromnej armii oprawców i całego lasu „apostolskich“ różeg. Niesposób było wszystkich zakuć w kajdany lub wysłać na Sybir; wreszcie, w najlepszym wypadku można było wszystkich „zapisać w prawosławie“, ale nikt nie potrafiłby zmusić nowych prawosławnych do bywania w cerkwi i wykonywania praktyk religijnych. Zresztą bezskuteczna, choć długa i zdecydowana walka prawosławnych z setkami najprzeróżniejszych sekt religijnych w Rosji była ponurem memento. Przecież pomimo karnych ekspedycyj i krwawego terroru gdzieś tam, w dzikich lasach nadwożańskich kryli się nie tylko staroobrzędowcy, roskolnicy, duchoborcy, ale i skopcy, chłysty, a nawet morelszczycy, palący się żywcem... Niezdolna do zlikwidowania nawet zbrodniczych sekt, Cerkiew prawosławna, choć i wspierana przez policję i wojsko, nie mogła marzyć o zlikwidowaniu Kościoła.

Pozostawała więc niepewna droga rozsądzenia Unji zgóry przez kler. Była to właściwie jedyna droga, co już słusznie zauważył w swym raporcie gubernator Karniejew. Ale pociągnięcie całego kle-

ru spotykało się z wielkimi trudnościami. Wykluczone było sterroryzowanie setek księży unickich, niełatwe było oszukanie ich tak, jak się oszukiwało parafjan, nieprawdopodobne było dobrowolne połączenie się z Cerkwią prawosławną. Księża unicy, kokietowani lub straszni przez prawosławnych, pozostawali obojętni na zalecanki lub groźby, bo cóż właściwie mogło im przynieść przejście na prawosławie? Gdyby nawet istniała wśród kleru unickiego zupełna obojętność względem religii lub niezrozumienie wartości dogmatów, jednak i wówczas odstraszyłyby od prawosławia inne przeszkody. Należałoby przecież, przechodząc na prawosławie, zerwać kompletnie ze światem polskim, wyrzec się pochodzenia, rodziny, znajomych, zmienić otoczenie i warunki życia, odrzucić wszystko, z czym się zrosło od kolebki. Ale na tem nie koniec. Musiałaby się pogorszyć i sytuacja materialna, gdyż kler prawosławny, upokarzająco zależny od władzy świeckiej, nędzny i ciemny, znajdujący się pod kontrolą parafjalnych komitetów, starostów, opiek., i t. p., nie mógł się równać z klerem unickim. Unicy, korzystając z opieki kolatorów, mieli lepiej zapewniony byt i nie znali wcale duchownego proletariatu. Parochowie, aczkolwiek nie wszyscy odpowiednio wykształceni, stali jednak na dość wysokim poziomie i nie byli w sytuacji popów, którzy, sami wpółanalfabeci, mieszały się z kompletnymi analfabetami — pseudo-duchownymi: „djakami”, „djaczkami”, „pryczetnikami” i t. p., używającymi sukni duchownej i wpływającymi na znaczne obniżenie i tak niewysokiej moralności i powagi umysłowej duchownych prawosławnych. W ten sposób, pomijając już nawet kwestję sumienia i zastosowując tylko zwykłą kalkulację kupiecką, każdy paroch mógł łatwo się przekonać, iż przejście na prawosławie „nie opłaca się”.

Bezsilny i bezradny wobec potęgi Unji, tej drugiej twierdzy ducha polskiego na wschodnich rubieżach, rząd rosyjski całą energię skierował na zburzenie twierdzy pierwszej — Uniwersytetu. I kiedy ta twierdza załamywała się pod drugim zkolei potężnym ciosem, pierwsza jeszcze stała groźna, mocna, choć osaczona ze wszystkich stron. Bronić się można było do nieskończoności, tem bardziej, że walka wyrabiała zastępy nowych bojowników, coraz bardziej energicznych i zdecydowanych; w grę przecież wchodziły tu nietylko względy narodowe lub polityczne, ale zagadnienia sumienia i zbawienia duszy. Rząd rosyjski dobrze zdawał sobie sprawę z niemożliwości prowadzenia otwartej walki ani na dusze, ani na pięście; dlatego też

jął się zupełnie innego sposobu: zatrul ducha zgóry, skorzystał z najohydniejszej i najnikczemniejszej zdrady.

Trudno jest ściśle określić, jaki był stosunek wysiłku rządu rosyjskiego do inicjatywy usługowych jednostek, ale z tego, co wiemy dotychczas, sądzić można, iż ta ostatnia górowała bezwzględnie. Skąpe dokumenty, dotyczące likwidacji Unji, jakie się przechowały dotychczas, wykazują ostrożność rządu, brak decyzji, a często odwagi, stanowcze zapewnienia (mniejsza czy szczere) lojalności i szacunku dla ustalonych zwyczajów i form Kościoła unickiego, jeżeli te nie były w wyraźnej kolizji z dogmatami Cerkwi prawosławnej.

Jednostki natomiast, a raczej jednostka naczelna — Józef Siemaszko, nie znał żadnych skrupułów, nie uznawał żadnych kompromisów, wołał posunięcia tak zdecydowane i śmiałe, że aż się spotykał z opozycją rządu. Jakiś potworny wallenrodyzm dokonał tego, czego nie zdołał rząd potężnego imperjum: rozsadził Unję od wewnątrz, zgangrenował ducha; potężną twierdzę z miljonową armią oddał na mocy rozkazów najwyższych dowódców, na łaskę lub niełaskę zwycięzcy, nie wierzącego w swój triumf i bojącego się głośniejszej o nim wiadomości!

Potwierdzenie aktu likwidacji Unji przesłał rząd do nowych, prawosławnych biskupów jako pismo poufne, z zakazem ogłaszania, publicznego! A jednocześnie na Witebszczyznę pchnięto pułki kozackie. Oporu jednak otwartego prawie nie stawiano; większość unitów nawet się nie orjentowała w sytuacji, nie rozumiała tego, co się dzieje, co już się stało. Zdezorientowani, opuszczeni, sterroryzowani parochowie musieli ulec i pójść za przykładem i rozkazem swych kapituł i biskupów.

Kłęska, jaką ponieśli wówczas Polacy, i z której dotychczas nie zdajemy sobie sprawy, jest tak olbrzymia, że dobrodziejstwem stały się klęski powstań, które zaćmiły inne wypadki i odwróciły uwagę społeczeństwa w inną stronę. Chodzi już nawet nie o całkowitą utratę wpływów na ogromne tereny, nie o ziemię samą, tak obficie krwią polską zroszoną, nie o porażkę nawet Kościoła katolickiego, ale o tragiczne wykołajenie miljonów dusz.

Jeden z likwidatorów Unji na własne oczy zaobserwował nagły i niebywały upadek religijności w centrum dawnej Unji — w Żyrowicach i o tem dobitnie powiedział;²² gubernje „Siewiero-Zapadnago Kraja”, w których ludność niegdyś się odznaczała wyjątkową żarli-

wością religijną, w drugiej połowie w. XIX były uważane przez Rosjan za teren ledwie nie pogański i słusznie: bo odczucie potrzeb religijnych było tu potwornie małe; religję zastąpiły zmartwychwstałe upiorne zabobony pogańskie; wreszcie obecnie antyreligijna, bolszewicka propaganda znajduje pono najbardziej podatny grunt na ziemiach białoruskich wśród ludności pounickiej. Gwałt nad duszą ludzką, gdyby nawet był dokonany z pobudek najlepszych, mści się straszliwie.

Walki i klęski dwu potężnych twierdz polskich, które przed stu laty stawiały czoło nieprzebrany rzeszom nieprzyjacielskim, wymagają studjów obszernych i głębokich, uwzględniających znaczenie obu jednocześnie świetnych ognisk ducha polskiego. Znając dobrze dzieje Uniwersytetu Wileńskiego, nie rozumiemy jednak dotychczas, w jaki sposób z jego murów, w okresie filomatów i filaretów wyszli z wydziału teologii najgłówniejsi likwidatorzy Unji; bolejąc nad cierpieniem młodzieży akademickiej i szkolnej, nic nie wiemy o jeszcze większych i tragiczniejszych cierpieniach setek tysięcy unitów; rozpaczając nad upadkiem wspaniałej uczelni, nie zastanawiamy się nad tem, że ten upadek był dla kultury polskiej na kresach wschodnich ciosem stokroć mniejszym, niż upadek Unji; wytykając wreszcie barbarzyństwo Moskali, miażdżących ognisko kultury nie tylko polskiej, lecz ludzkiej, boimy się myśleć o innem ognisku, nie tylko kultury polskiej, lecz ducha katolickiego, zgaszonem usłużnemi rękoma Polaków, niegdyś katolickich kapłanów: Siemaszków, Łużyńskich, Tupalskich, Homolickich, Jankowskich, — teologów-wychowawców wszechnicy Batorego, lub jak Tupalski, Alumnatu Papieskiego w Wilnie.

Zastanawiając się nad dziejami upadku Uniwersytetu i Unji, biorąc momenty szczytowe: proces filaretów oraz akt połocki 1839 r. i przyglądając się szeregom bohaterów w cudzysłowie i bez, nie można nie zwrócić uwagi na dwie postacie: małe, drugorzędne, lecz bardzo ciekawe, jako bezradne i bezwiedne narzędzia zła i jako symbol łączności dwu wielkich, tragicznych zjawisk.

Mówimy o dwóch braciach Jankowskich, którzy odegrali smutną rolę w dziejach decydujących zmagania się ducha polskiego z Rosją. Dzieci parocha unickiego, człowieka o dość burzliwej przeszłości, urodzili się obaj: Jan (1803) i Placyd (1810) we wsi Wojskiej pod Brześciem. Obaj się kształcili w szkole brzeskiej i w sławnym gimnazjum świsłockiem, obaj studjowali na Uniwersytecie w Wilnie. Jan

się zapisuje na wydział literatury, zbliża się tam do grona filareckiego, uprawia poezję ultrapatryotyczną, i... pornograficzną, wreszcie zaskoczony zniechęca nagle aresztowaniem, przerażony docna, odgrywa w procesie haniebną rolę denuncjatora. Ratując siebie, rzuca oskarżenia (przeważnie fałszywe) na innych, wciąga coraz więcej osób, mówi wszystko, co życzą sobie sędziowie, jest wspaniałym narzędziem walki w ręku Rosjan. Ale sam nie zostaje uratowany: idzie na wygnanie i umiera w zapomnieniu i pohańbieniu.

Placyd, zgodnie z wolą ojca, pragnącego ochronić swego drugiego syna przed losem jego brata, wstępuje na teologię i, przygotowując się do stanu kapłańskiego, więcej jednak myśli o studjach i pracy literackiej. Zbliża się do kolegów, szczególnie interesujących się zagadnieniami literackimi: Hołowińskiego, Dobszewicza i in., zachwyca się wykładami Leona Borowskiego i marzy o sławie literackiej. Po skończeniu uniwersytetu wyjeżdża do Żywoc w charakterze profesora seminarjum unickiego, później się żeni, przyjmując święcenia kapłańskie; przechodzi razem ze wszystkimi na prawosławie, awansuje w hierarchii kościelnej i... coraz gorliwiej pisze, wydając przeważnie humorystyczne dziełka pod pseudonimem Johna of Dycalpa. Przyjaźni się wciąż prawie ze wszystkimi najwybitniejszymi literatami polskimi: ks. Hołowińskim, M. Grabowskim, J. Kraszewskim, W. Rzewuskim i in. Wszyscy pamiętnikarze rosyjscy, nie wyłączając samego Siemaszki, zgodnie stwierdzają wielką rolę Placyda w dziele likwidacji Unji; cieszył się on wielkim szacunkiem i zaufaniem wśród kleru unickiego, więc jego słowo, jako członka konsystorza i profesora teologii dogmatycznej wiele znaczyło... A jednocześnie on — protojerej prawosławny — należy do słynnej ultrakatolickiej „koterji Tygodnikowej“, zdobywa rozgłos jako humorysta polski; mając zaś lat 36, nagle usuwa się od pracy kierowniczej w Cerkwi prawosławnej, rezygnuje ze świetnej kariery, która jest zapewniona, i zagrzebuje się na głuchej prowincji, w Słonimskim, — dziwaczny pop bez brody i w sutannie księży katolickich. Umiera w r. 1872 — ostatni likwidator; umiera, widząc ogrom klęski, do której ręce przyłożył. Nie na długo przed śmiercią półsłówkiem napomyka o tem, że są na świecie pobudki i zamiary, które zupełnie się nie łączą z późniejszymi faktami i zaznacza, że pewne na ten temat przykłady zabierze ze sobą do mogiły...²³.

Jankowscy są produktem przełomowych epok. Gdzie walczą ty-

tany, tam jednostki słabe zginąć muszą. Nikt się nie spyta, czy te jednostki nie miały w sobie szlachetności, czy nie mogły być pożyteczne, czy wreszcie nie cierpiały? Każdy wzruszy pogardliwie ramionami i pójdzie precz...

Jankowscy są symbolem. Dzieci włóczęgi z musu, oderwani od ziemi, z której wyrosli; pragnący spokoju, lecz zmuszeni do walki; nie mający sił do wielkich czynów, choć odczuwający okrutną przemoc, — są oni wyrazicielami tragicznej rozterki słabych dusz, ulegających brutalnemu gwałtowi wroga i ratujących się z zamkniętymi na wszystko oczyma. „Jan Jankowski” — czy nie brzmi to imię jako pseudonim? Czy nie oznacza ono czegoś tak pospolicie szarego i poziomego, że aż się wierzyć nie chce w kształty realne? „Placyd” — placidus — czy nie jest to wskazanie na cechę istotną i zasadniczą wszystkich tych, którzy w walce klęskę ponieść muszą, za sobą pociągając innych? Nie bezbarwność, bezosobowość, pospolitość setek Janów Jankowskich, nie łagodność i bierny spokój Placydów potrzebne były narodowi polskiemu, kiedy się w gruzy rozpadały dwie najpotężniejsze, najświetniejsze twierdze polskie na wschodnich rubieżach...

Jankowscy wreszcie są przestrożą. Są oni dziećmi narodu, więc za ich czyny nie tylko oni sami, lecz naród cały odpowiedzialność ponosić musi. Trzeba stworzyć takie warunki i tak wychowywać młodzież, aby pamięć o Jankowskich stała się tylko smutną, ponurą legendą. Nie wolno do szeregów bojowych wprowadzać kalek; nie wolno władzy nad sumieniami ludzkimi powierzać ludziom, którzy się nie rodzili natchnionymi wodzami; nie wolno wreszcie dusz ludzkich puszczać samopas, bez opieki, lekceważąc potęgę ducha i uwielbiając przemijającą siłę materjalną!

W A L A C E S I Ę M U R Y

I.

Wiek XIX stanowi ciekawą epokę w dziejach ludzkości. Cała Europa znalazła się jak na wulkanie, raz po raz wybuchającym i przekształcającym niewzruszony, zdawałoby się, układ sił duchowych, narodowych, społecznych. Nowe prądy religijne, filozoficzne, literackie; nowe państwa — powstające i ginące — przesunęły się przed oczami zdumionych, zdezorientowanych ludów, które same się nie spostrzegły jak wypadki dziejowe przeorały ich psychikę, zmieniły ją do niepoznania.

Wiek XIX był okresem wielkich zmagania się różnych potęg, zademonstrował niejedną próbę szaleńczej stawki „va banque”, tworzył i miazdżył, wznosił i strącał wdół, mamił tęczowemi widziadłami i rozwiewał wszelkie złudzenia... Od epopei Napoleońskiej przez romantyzm i wiosnę ludów do pozytywizmu, rosyjskiego nihilizmu, żydowskiego marksizmu i niemieckiego nietzscheizmu, — cóż za dziwną drogę odbyła ludzkość w w. XIX!..

Dla nas, Polaków, ten wiek był wiekiem walk i klęsk. Nigdyśmy przedtem nie prowadzili walk jednocześnie na tak różnych frontach, nigdyśmy nie wprowadzali do boju tak wielkiej ilości ludzi — od dzieci (uczniów wileńskich i kowieńskich) do starców — i nigdy nie ponosiliśmy klęsk tak strasznych, że klasyczne tragedje Lignicy, Warny i Cecory są wobec nich tylko blademi epizodami. Ale poco mówić o tem? Pamiętamy przecie dobrze, co przeżywali jeszcze nasi ojcowie, i jeżeli z czego nie zdajemy sobie dokładnie sprawy, to chyba tylko z walk, jakie się toczyły na terenie dawnej Litwy.

Pierwsze lata w. XIX dumnie zaznaczyły potęgę polskości północno-wschodnich ziem Rzeczypospolitej, wykazały żywotność duchowej unji Litwy i Korony, lecz jednocześnie zdradziły źródła, skąd wytryskiwały szlachetne idee, wzmacniające naród, wskazały na dwa

wielkie ogniska kultury i ducha polskiego na Litwie: Uniwersytet Wileński oraz Unję kościelną.

Nauka i wiara, reprezentowane przez te dwie organizacje, obejmujące swemi wpływami ogromne połacie ziem byłego Wielkiego Księstwa Litewskiego,—nauka i wiara, posiadające w sobie najczystsze, najszlachetniejsze pierwiastki ducha narodu polskiego i kultury zachodniej, nabrały wówczas szczególnej siły atrakcyjnej i nie tylko przeciwstawiały się wszelkim zakusom Moskali, lecz wbrew niesłychanym przeszkodom prowadziły zwycięską ofensywę, zdobywając wielkie rzesze wyznawców. Dość przypomnieć dzieje Uniwersytetu Wileńskiego, który właśnie pod berłem carów nabrał takiej potęgi, o jakiej ani się śniło jego organizatorom i kilkuwiekowym gospodarzom — jezuitom, korzystającym z opieki królów polskich; dość wskazać, że zeświecczenie Uniwersytetu, po którym Rosjanie spodziewali się korzystnych dla siebie owoców, nie tylko nie zaszkodziło wszechnicy, lecz przeciwnie podniosło ją na nieznane dotąd wyżyny.

To samo z Unją kościelną. Prześladowania unitów, które się rozpoczęły zaraz po pierwszym rozbiorze, sprawiły tylko to, że kler unicki zdecydowanie zaczął się odżegnywać od wszelkich pokus ze wschodu: co zaś do szerszych mas, to za rządów pierwszego ugodowca, metropolity Lisowskiego, który przez palce patrzył na „misyjną” pracę rządu rosyjskiego, około 100.000 unitów porzuciło Unję i przeszło na łono... Kościoła łacińskiego.

Dwudziestoletnia walka, która się toczyła w trzecim i czwartym dziesiątku lat ubiegłego stulecia na murach dwóch największych twierdz polskich na Litwie, zrodziła wiele ciekawych postaci — szlachetnych lub nikczemnych, silnie związanych z losem bronionych lub zdradzanych przez nich fortów. Mieliśmy szlachetnych wojowników, których imiona złotymi głoskami zostały zapisane w dziejach Uniwersytetu Wileńskiego, jak plejada filarecka z Adamem na czele; mieliśmy niezłomnych, choć opuszczonych obrońców wiary ojców, jak ksiądz unicki Grzegorz Micewicz¹; mieliśmy zdrajców, którzy opuścili posterunki, zajmowane przez nich tu i tam; mieliśmy wreszcie i takich, którzy walczyli na różnych terenach i z jednakową energią trwali na najbardziej zagrożonych redutach obu twierdz.

Do takich postaci należy, mało niestety znany, lecz zasługujący na wielką uwagę i trwałą pamięć, długoletni prowincjał bazylianów, ks. Cezary Kamieński. Urodzony w r. 1765 i pochodzący ze starej

polskiej szlachty, całe życie spędził on na ziemi swych ojców, wyjeżdżając tylko dwa razy na studia do Rzymu i Francji. Kraj swój znał jak rzadko kto, w sytuacji orjentował się dobrze, nic więc dziwnego, że całe swe życie poświęcił pracy nad rozpowszechnianiem i ochroną kultury polskiej, ogniskującej się w Unji i Uniwersytecie. Jako bazylijanin, przez dłuższy czas zajmujący odpowiedzialne stanowiska prowincjała i opata leszczyńskiego, był Kamiński jednym z najgorliwszych i energiczniejszych obrońców praw i niezależności Kościoła grecko-katolickiego; jako uczeń i profesor Uniwersytetu Wileńskiego czynnie wykazał swą wartość naukową i przywiązanie do wszechnicy Batorego.

Kamiński wstąpił do zakonu bazylijanów, mając lat 16; odbył w r. 1782 - 84, już jako zakonnik, studia uniwersyteckie w Wilnie — z zakresu fizyki i matematyki; później był nauczycielem w sześcioklasowej szkole bazylijańskiej w Żyrowicach (założonej w r. 1710), studiując jednocześnie teologię; lata 1792-94 spędził w Rzymie, uzupełniając studia teologiczne, które uwieńczył doktoratem św. teologii; od roku 1794 przez dwadzieścia lat pracował w Uniwersytecie Wileńskim w charakterze najpierw adjunkta astronomji i zastępcy obserwatora, później zaś, po śmierci prof. Reszki, objął katedrę astronomji, przeprowadzając reformę wykładów zgodnie z nowszymi wymaganiami. W r. 1814, wybrany na prowincjała zakonu, Kamiński opuścił Uniwersytet i poświęcił się pracy zakonnej, nie zrywając jednak łączności ani z Uniwersytetem, ani z nauką, bo właśnie po opuszczeniu katedry wyjeżdża do Francji i rozpoczyna intensywniejszą pracę naukowo-pisarską, ogłaszając w okresie 1815-26 szereg dzieł z zakresu astronomji, drukowanych w Wilnie i Krakowie.

Kamiński należał do nielicznych jednostek, zdających sobie sprawę z powagi sytuacji; opuszczenie przez niego Uniwersytetu może dowodzić jego przekonania o niebezpieczeństwie, grożącym Unji i konieczności obrony tego frontu. Jako człowiek światły, zwraca on uwagę na szkolnictwo, znajdujące się pod opieką zakonu, reorganizuje szkoły istniejące, zakłada nowe. Wspólnie z ostatnim rektorem Alumnatu Papieskiego w Wilnie, a poprzednikiem swoim na stanowisku prowincjała bazylijanów, skierowuje Kamiński uwagę zakonu na zagadnienia oświatowo-wychowawcze i stara się nadać pracy szerszy rozmach, aby zakon bazylijanów mógł dotrzymać kroku, albo nawet wyprzedzić pijarów i dominikanów, mających dobrze zorganizowaną

i rozległą sieć szkół. Prawie przy każdym bazylijskim klasztorze istnieją wówczas szkoły, przystosowane do początkowych studjów teologiczno-filozoficznych (nowicjaty); w Brześciu Litewskim, Borunach, Podubisiu, Ladach i Berezwechu są gimnazja, prowadzone przez ludzi o wyższym wykształceniu, odebranem prawie wyłącznie na Uniwersytecie Wileńskim.

Cios, zadany Uniwersytetowi przez Nowosilcowa, oraz smutna epoka rządów Pelikana zmuszają Kamińskiego do przedsięwzięcia nowych kroków, zabezpieczających lepszą przyszłość. Chce on wzmocnić pozycję zakonu, chce stworzyć nową placówkę szkolną, któraby odegrała rolę decydującą, któraby wreszcie stanęła w punkcie bardzo ważnym: tam, gdzie niegdyś ukazał się pastuszkom cudowny obraz Matki Boskiej, gdzie przed wiekami pracował św. Józefat Kuncewicz, — czyli w Żyrowicach. Więc w r. 1826, korzystając z dość przychylnego stosunku Pelikana do zakonu bazylianów, zwraca się Kamiński przez niego do ministra oświaty z prośbą o pozwolenie na przekształcenie szkoły powiatowej w Żyrowicach na gimnazjum. Niezawodnie nietylko wdzięczne wspomnienia młodości, spędzonej w Żyrowicach, kierowały prowincjałem bazylianów, kiedy zamierzał on rozszerzyć ramy szkoły żyrowickiej. Znaczenie Żyrowic jako centrum Kościoła unickiego: administracyjnego, a w większym stopniu — ideowego było wielkie. Zamierzał więc Kamiński wzmocnić tam pozycję bazylianów, wówczas mocno już atakowanych przez świecki kler unicki, dążący do zagarnięcia władzy w kapitułach i stolicach biskupich.

3.XII.1826 ówczesny minister oświaty admirał Szyszkow dał Kamińskiemu przychylną odpowiedź na jego podanie oraz wyraził podziękowanie za wielką gorliwość w krzewieniu oświaty². Bazylianie rozpoczęli prace organizacyjne. Ale wytrwały ich przewodnik już się nie doczekał owoców tej pracy: 20 marca 1827 r. cicho umarł, wywołując powszechny żal.

Gimnazjum żyrowickie było nie tylko dziełem Kamińskiego, ale jakby jego ideowym testamentem: wskazywał on na konieczność skoncentrowania sił na terenie, na którym później rozegrały się decydujące walki najpierw bazylianów z klerem świeckim, następnie zaś kleru unickiego z krzewicielami apostazji. Umarł Kamiński w roku dla Unji decydującym: w roku, w którym prałat Siemaszko złożył carowi Mikołajowi poufny projekt zlikwidowania Unji.

II.

Żeby zrozumieć wielkie znaczenie owego przełomowego w dziejach Unji roku 1827, trzeba się cofnąć nieco wstecz. Kościół unicki, osaczany ze wszystkich stron przez prawosławną moskiewszczyznę, musiał wytrwale się bronić, operując bardzo niejednorodnym materiałem ludzkim. Naturalnie, mowa tu o klerze, jako elemencie kierowniczym, gdyż szeregowi wyznawcy Unji stanowili dość zwartą masę: byli to w przeważającej ilości chłopci lub drobna szlachta, — ludzie cisi, spokojni, głęboko przywiązani do wiary swych ojców i ślepo ufający kapłanom, wśród których właśnie nie było należytej zgody i spójni. Kler unicki dzielił się na dwie odrębne grupy, nieraz się znajdujące względem siebie w pozycji wrogiej; pierwszą grupę stanowili bazylijanie, przedstawiciele jedyne go unickiego zakonu, — drugą — kler świecki. Kler unicki świecki tworzył zespół bardzo różnorodny: obok ludzi z wyższym wykształceniem znajdowali się w wielkiej ilości ludzie bez studjów teologicznych, mający za sobą tylko początkowe szkoły, obok jednostek natłhniętych i kryształowo-czystych — robigrosze, pieniacze, łapownicy i karjerowicze, nieprzebierający w środkach. Ale wszystkich — w mniejszym lub większym stopniu łączyła niechęć do bazylianów. Niechęć duchowieństwa świeckiego do zakonników i odwrotnie jest zjawiskiem stałym, ale w tym wypadku dysharmonja pomiędzy dwiema grupami duchowieństwa zaznaczała się jaskrawiej z tego względu, że bazylijanie pod każdym względem górowali nad księżmi świeckimi. Słynny Sobór Zamojski z r. 1720 w trosce o rozwój Kościoła unickiego, wprowadzając szereg zmian, dotyczących organizacji Kościoła³, ustalił m. in., że stanowiska biskupie mogą zajmować tylko kandydaci, posiadający profesję zakonną i conajmniej rok i sześć tygodni probacji zakonnej. Uchwała ta miała raz na zawsze przeciąć nadużycia, polegające na tem, że na biskupów ruskich często wyświęcano ludzi świeckich, posiadających tylko wielkie wpływy polityczne i niewiele mających wspólnego z Kościołem unickim. Ponieważ jednak unicy mieli tylko jeden zakon, Wielkiego Bazylego, przeto bazylijanie zaczęli interpretować tę uchwałę w ten sposób, że biskupem unickim może być tylko bazylijanin i rozpoczęli obsadzanie stolic biskupich wyłącznie członkami swego zakonu. To sprawiło, że losy Kościoła zaczęły zależeć bodaj wyłącznie od bazylianów. Kasata zakonu jezuitów jeszcze bardziej wzmocniła pozycję bazylianów, którzy przedewszyst-

kiem przejęli od jezuitów Alumnat Papieski w Wilnie, główną uczelnię duchowną, mającą na celu kształcenie teologów grecko-katolickich,— oraz rozpoczęli intensywniejszą pracę oświatową, zakładając szereg średnich szkół, z których wiele, jak np. w Humanu lub Borunach, zyskało zasłużony rozgłos.

W drugiej połowie w. XVIII oraz na początku w. XIX pozycja bazylianów była wyjątkowo mocna. Mieli oni w swoim ręku faktyczną władzę nad Kościołem unickim, posiadali rozległe dobra i znaczną ilość bogatych klasztorów, byli znani i szanowani w bardzo szerokich kołach ludności bez względu na obrządek, gdyż do świątyń unickich uczęszczali i łacinnicy a w szkołach bazylijańskich kształciła się prawie wyłącznie młodzież rzymsko-katolicka, — wreszcie, rozporządzając dobrze zorganizowanymi drukarniami w Supraślu i Wilnie brali bazylijanie znaczny udział w ówczesnym ruchu kulturalnym. To też do zakonu bazylijańskiego bardzo chętnie wstępowali i katolicy rzymscy. Ta wyjątkowo mocna pozycja zakonu bazylianów oraz ich stanowcza przewaga intelektualna a przede wszystkim materialna nad księżmi świeckimi wywołały zdecydowaną niechęć do nich kleru świeckiego, obciążonego licznymi rodzinami i ciężko wskutek tego pracującego. Siły jednak były zbyt nierówne, aby kler świecki mógł myśleć o walce z potężnymi zakonnikami, z drugiej strony ofenzywa prawosławia zmuszała do zapominania o własnych nieporozumieniach; to też w pierwszym okresie po rozbiorach rozłam wśród duchowieństwa unickiego nie był znaczny i nabrał wyrazistości i siły dopiero na początku w. XIX.

Pierwszy zdecydowany rozdzźwięk pomiędzy dwiema grupami duchownych unickich wywołała sprawa stosunku do Seminarjum Głównego przy Uniwersytecie Wileńskim. Seminarjum to, stanowiące autonomiczną część Wydziału nauk moralnych i politycznych, miało być uruchomione jednocześnie z dokonaniem reorganizacji Uniwersytetu, bo dekret cesarski był wydany 18.VII. 1803, lecz otwarcie nastąpiło dopiero w r. 1808; w r. 1812 ze względu na wojnę francusko-rosyjską Seminarjum zostało zamknięte aż do r. 1816; odtąd praca szła normalnym trybem do kasaty Uniwersytetu w r. 1832, po której powstała Akademia Duchowna, przeniesiona później do Petersburga.

Świetna idea założenia w Wilnie seminarjum wyższego z europejskim programem studjów teologicznych nie podobała się jednak zakonnikom katolickim. W myśl ustawy Seminarjum środki na jego

utrzymanie miały wpływać przedewszystkiem z klasztorów łacińskich i unickich, które wpłacały rocznie pewne sumy, zależnie od dochodów. Już to samo dość nieprzychylnie usposobiło zakony względem nowej uczelni. Ale przeciw Seminarjum Głównemu wysuwano argument inny, charakteru zasadniczego: uważano mianowicie, iż jest niedopuszczalnym podporządkowanie wyższej katolickiej uczelni władzy rektora uniwersytetu, człowieka może świeckiego, kto wie, czy nie obcowyznaniowca, może nawet—niechrześcijanina. To raziło tem bardziej, że biskup nie miał władzy nad uczelnią, której zadaniem było kształcenie przyszłych dostojników Kościoła, gdyż według nowych przepisów kandydat na wyższe duchowne stanowiska musiał posiadać stopień naukowy⁴.

Wreszcie sposób wykładów — zanadto europejski, „masoński”, używanie podręcznika teologii dogmatycznej Klüpfela, napisanego w duchu józefińskim, oraz zbyt wielkie przywileje dla unitów, aż do późniejszego obsadzenia nimi katedr (Bobrowski, Sosnowski), wszystko to zmusiło klasztory do cichego, lecz uporczywego bojkotowania Seminarjum Głównego.

Zakonnicy, nawet tak światli jak pijarzy, do ostatniej bodaj chwili nie korzystali z prawa delegowania swych kandydatów do Seminarjum Głównego, chociaż jednocześnie posyłali swą młodzież na inne wydziały Uniwersytetu. W liczbie zakonów, wrogo się odnoszących do Seminarjum, byli i bazylijanie. Zupełnie inaczej ustosunkowało się do Seminarjum Głównego świeckie duchowieństwo unickie. Ocenilo ono odrazu wielkie znaczenie nowej uczelni, dało do Rady Seminarjum jako członka oficjała wileńskiego Antoniego Sosnowskiego i wyteżyło wszystkie siły, aby ułatwić otrzymanie wykształcenia najzdolniejszym, najtęższym jednostkom z pośród swej młodzieży. I oto już w pierwszej grupie kleryków z r. 1808 widzimy syna parocha Michała Bobrowskiego, późniejszego znanego profesora uniwersytetu. Od wznowienia Uniwersytetu po wojnie francuskiej stale spotykamy wśród młodych kleryków młodzież unicką, której sądzone było odegrać decydującą rolę w dziejach unickiego i prawosławnego Kościoła.

A więc w r. 1816 wstępują na uniwersytet Józef Siemaszko (późn. metropolita prawosławny) i Bazyli Łużyński (późn. arcybiskup prawosł.), w r. 1817—Platon Sosnowski (późn. profesor uniwersytetu) i Michał Szelepin (późn. archimandryta), w r. 1818 — Antoni Zubko (późn. arcybiskup prawosł.) i Józef Łukaszewicz (późn. protojerej),

w r. 1822 — Konstanty Ilnatowicz (późn. protojerej), w r. 1823 — Michał Hołubowicz (późn. arcybiskup prawosł.), Ferdynand Homolicki (późn. rektor semin. i protojerej) i Jan Hłybowski (późn. protojerej), w r. 1826 — Ignacy Żelazowski (późn. biskup prawosł.) i Placyd Janowski (późn. protojerej). I wielu, wielu innych.

Wszyscy wymienieni teologowie, z wyjątkiem Platona Sosnowskiego, który zmarł w r. 1826, przeszli później na prawosławie i zajęli w Cerkwi wybitne stanowiska, zdumiewając każdego łatwością, z jaką porzucili wiarę swych ojców i wyrzekli się tradycji i kultury polskiej.

III.

Ale nie od razu przyszło do apostazji i likwidacji Kościoła. Najpierw coraz ostrzejsze formy zaczęła przybierać walka „białych” z „czarnymi”, czyli księży świeckich z bazylianami.

Ofensywę rozpoczęli duchowni świeccy, przeważnie członkowie kapituły brzeskiej, składając w r. 1810 do II Departamentu Kolegium Rzymsko-Katolickiego w Petersburgu oraz na ręce ministra oświaty hr. Razumowskiego skargę na bazylianów. Poruszone zostały wyłącznie sprawy materialne: narzekali parochowie na to, że bazylianie zabrali im 23 parafjalne kościoły, przyłączając je do klasztorów, że nie dopuszczają kleru świeckiego do zajmowania wyższych stanowisk w kościele, że młodzież duchowna świecka musi borykać się ze zbyt wielkimi trudnościami, aby zdobyć wykształcenie, które pomimo to nie zapewnia jej dobrobytu etc.

Skarga ta była umiejętnie opracowana i, zdawało się, musiała odnieść pożądany skutek, tem bardziej, że na mocy cesarskiego ukazu z r. 1804 kapituły unickie powinny były ustalić dokładnie ilość klasztorów bazylijskich oraz ich stosunek do kościołów parafjalnych. Zawierucha wojenna przerwała jednak te intrygi. Dopiero w r. 1819 metropolita Bułhak zażądał od kapituły brzeskiej wyjaśnień, dotyczących stanu majątkowego kleru świeckiego, funduszków kapituły, jej praw do poszczególnych kościołów, dziejów jej powstania etc.

Rozpoczęła się gorączkowa robota. Oficjał brzeski Antoni Tupalski, pośredniczący z urzędu pomiędzy kapitułą a biskupem (w tym wypadku metropolitą Bułhakiem), nie mógł wystąpić otwarcie, lecz brał jak najczynniejszy udział w opracowywaniu odpowiedzi. Jego stary przyjaciel, oficjał wileński — Antoni Sosnowski zbierał materiały

i zasięgał rad profesorów Uniwersytetu Wileńskiego. Zmobilizowano wszystkie siły, wyłożono całą energię, aby się wypowiedzieć jak najdokładniej i odnieść zwycięstwo nad bazyłjanami, którym autorowie memoriału chcieli wydrzeć nawet takie smaczne kąski, jak klasztor św. Trójcy w Wilnie i klasztor żyrowicki. Wreszcie powstało dzieło: „Odpowiedź Kapituły Unitskiej Brzeskiej. Dana na zapytalne punkta Jaśnie Wielmożnego Unitskich cerkwi w Imperium Rossyjskim Metropolity Dyecezalnego Biskupa Brzeskiego, Rzymsko-Katolickiej Duchowney Kolegii 2 Departamentu prezydenta... Jozafata Bułhaka, tyżące się początku praw, funduszów y terażniejszego ich stanu.”

Kler świecki, a raczej członkowie kapituły brzeskiej byli pewni bliskiego triumfu. Przezorny oficjał Tupalski, czując zbliżające się decydujące chwile i pragnąc być przygotowanym do wszelkich najzaszczytniejszych ewentualności, w 51-ym roku swego życia śpiesznie się doktoryzuje, zdobywając w r. 1819 na Uniwersytecie Wileńskim tytuł doktora św. teologii i prawa kanonicznego: stopień naukowy przecież jest warunkiem, bez którego nie można marzyć o... mitrze biskupiej. Słodkie marzenia o tej wielkiej godności nie dają Tupalskiemu spokoju i to, że jest on żonaty i ma dzieci, bynajmniej nie krępuje energicznego i sprytnego doktora prawa kanonicznego: wie on dobrze, jak się należy urządzić; to też bierze od swej również sprytnej małżonki oświadczenie na piśmie, iż pragnie ona wstąpić do klasztoru!.. Przyszły biskup może dać jej stanowisko przełożonej w dobrym klasztorze; zresztą dobrze zgrana małżeńska para poradzi sobie jakoś! Uczony dygnitarz kościelny jest łaskaw i dla swych przyjaciół: otomadaże godności biskupie A. Sosnowskiemu i M. Bobrowskiemu!..⁵

Te słodkie marzenia jednak się nie ziściły... Piękny memoriał niedoszłych biskupów nie doczekał się nawet żadnej odpowiedzi, natomiast zrodził wojowniczy artykuł bazyłjanina Tadeusza Majewskiego, który w r. 1823 wystąpił na łamach „Dziejów Dobroczynności” z rozważaniem „O hierarchji kościoła Ruskiego z Rzymskim zjednoczonego.” W artykule tym w sposób dość szorstki obalał autor historyczność podstawy istnienia kapituł w Kościele ruskim, co nie mogło nie dotknąć księży świeckich, tak uporczywie dążących do władzy.

Znów powstał wielki ruch. Znów zaczęto zbierać materiały historyczne, znów prałat Tupalski poruszał wszystkie sprężyny, wciągając do pracy nawet tak dziwnego kapłana, jak archiprezbiter brzeski Gabrijel Jankowski, niegdyś nauczyciel ludowy, rachmistrz, a w wojsku

sztyk-junkier artylerji. Do walki jednak stanęli i młodzi uczeni, księża unicy: Bobrowski a przede wszystkim dwudziestoczteroletni profesor Platon Sosnowski (syn Antoniego), który napisał gruntowną rozprawę p. t. „Uwagi nad artykułem o hierarchji kościoła Ruskiego z Rzymskim zjednoczonego.” Rozprawa ta była drukowana również w „Dziejach Dobroczyńności” w r. 1823 — 24.

Księża świeccy, wysuwając w walce najwznioślejsze hasła, nie mogli jednak ukryć szpetnego szydła prywaty, które wciąż wylażyło z dziurawego worka patosu i obłudy.

W ostatnich zapasach nie zdążyli oni nawet odparować ciosu, wymierzonego przez broniących się bazylianów, bo oto zaczęły na nich spadać nieoczekiwane klęski.

Tragiczny proces filaretów był pośrednio ciosem i dla wojującego duchowieństwa unickiego. Archiprezbiter Jankowski kompletnie się załamał, bo jego rodzony syn Jan stał się głównym, ale jakże ponurym i nikczemnym bohaterem procesu. Profesor Bobrowski pozbawiony katedry... Profesor Ignacy Onacewicz, syn parocha i wierny przyjaciel oficjała Sosnowskiego, popierający swemi wpływami w Petersburgu wystąpienia kapituły brzeskiej,—nagle zachwiany na stanowisku... Słowem, katastrofa.

Ale większą katastrofą było jednoczesne z procesem filaretów, choć nie mające z nim nic wspólnego, oddanie pod sąd jedyne go biskupa z księży świeckich, Jana Krassowskiego, nałogowego pijaka i awanturnika. Nie można było dłużej lekceważyć skarg na dość egzotycznego arcypasterza, niesposób było tolerować jego ponurych wybryków. To też zwołano sąd biskupi pod przewodnictwem metropolity Bułhaka i przy udziale biskupa Jaworowskiego oraz zastępców biskupów: kanonika Siemaszki (w zastępstwie Martusewicz) i Bazylego Markiewicza (w zastępstwie Hołowni). Sąd uznał zarzuty za uzasadnione i usunął Krassowskiego od zarządu diecezją. Siemaszko jednak złożył votum separatum, przeciągnął na swoją stronę Markiewicza i po paru latach za pośrednictwem ministra oświaty admirała Szyszkowa uzyskał od cara Mikołaja I uniewinnienie dla niepoczytalnego arcybiskupa.

Sąd nad Krassowskim w sposób jaskrawy wykazał niechęć, jaką żywił kler świecki do zakonnego. Duchowieństwo świeckie (raczej część wojująca tego duchowieństwa) gotowe było widzieć w Krassowskim ofiarę intryg bazylikańskich, dopatrywało się nawet stronnictwo

w postępowaniu metropolity Bułhaka, który niby dążył do zagarnięcia dla siebie bogatej archidiecezji połockiej; słowem, starano się nie tyle usprawiedliwić Krassowskiego, ile oczernić bazylianów.

Ten sąd był jednocześnie popisem na większą skalę Józefa Siemaszki. Siemaszko prędko szedł po szczeblach kariery. Po ukończeniu Seminarjum Głównego w r. 1820 otrzymał on nominację na asesora konsystorza łuckiego oraz profesora łuckiego seminarjum duchownego i na tych stanowiskach potrafił się wyróżnić i zaskarbić zaufanie biskupa Martusewicza, tak, że już w r. 1822 został wybrany na stanowisko asesora Kolegium Unickiego w Petersburgu. W następnym roku — kanonik, w 1825 — prałat, w 1829 — biskup, wypłynął Siemaszko na szerokie wody i mógł działać na wielką skalę.

Kiedy i w jakich warunkach zrodziła się u niego myśl apostazji i zlikwidowania Unji — nie wiadomo; to pewne jednak, że zdecydowany przełom w jego poglądach nastąpił podczas pobytu w Petersburgu i wyraz doskonały znalazł w poufnym memorjale, złożonym przez niego 5.XI-1827 na ręce cara za pośrednictwem dyrektora departamentu spraw duchownych obcych wyznań senatora Grzegorza Kartaszewskiego.

Memorjał ten zawiera na wstępie pseudo-naukowy zarys dziejów Kościoła unickiego w Polsce, charakteryzuje sytuację w ostatnich czasach, konstatując wielką spójnię pomiędzy Kościołami katolickimi obrządku łacińskiego i greckiego, a wreszcie podaje radę, w jaki sposób można oderwać unitów od Kościoła katolickiego. Rady te są bardzo wymowne, jako stwierdzenie wielkiej siły duchowej, reprezentowanej przez bazylianów, gdyż główne ciosy wymierza Siemaszko przeciwko znenawidzonym zakonnikom. A więc radzi zmniejszyć ilość klasztorów bazylijskich z osiemdziesięciu do dwudziestu, oddzielić zakonników z pochodzenia Polaków i łacinników od unitów, pochodzenia ruskiego, przyczem w klasztorach, gdzie są zakonnicy, którzy przeszli na Unję z obrządku rzymskiego, znieść nowicjaty; skonfiskować majątki klasztorne; podporządkować bazylianów władzy biskupiej, likwidując stanowiska prowincjałów i t. p. W dalszym ciągu radzi pod względem administracyjnym odseparować unitów od łacinników, a więc usamodzielnic t. zw. Drugi departament (unicki) Kolegium Rzymsko-Katolickiego w Petersburgu; wprowadzić mianowania kanoników przez rząd i zmniejszyć ilość diecezji unickich, organizując stolice biskupie w miejscowościach jak najdalej położonych od siedzib

biskupów rzymskich etc. Co do tego ostatniego, szczególnie narzeka Siemaszko na „rzymskie,” a stąd bardzo niebezpieczne Wilno.

„W mieście Wilnie — pisze on: — naokoło niego i w całej północno-zachodniej części gub. wileńskiej unitów prawie niema.”⁶

Plan Siemaszki został przyjęty przez cara i myśl likwidacji Unji zaczęła przybierać kształty realne.

Ogromne obszary ziem, zamieszkałych przez ludność wyznania grecko-katolickiego, znajdowały się wówczas, t. j. na początku panowania Mikołaja I pod opieką czterech diecezji unickich.

Diecezją brzeską zarządzał metropolita Józefat Bułhak (ur. w r. 1758), mając do pomocy biskupa Leona Jaworowskiego; diecezją połocką zarządzał biskup Jakób-Adam Okiełło-Martusewicz; wileńską — biskup sufragani Adrijan Hołownia; wreszcie łucką — niefortunny arcybiskup Jan Krassowski z biskupem sufraganiem Cyrylem Sierocińskim. Z tych wszystkich biskupów tylko prawie stale nieprzytomny Krassowski mógł zachować kompletną bierność względem poczynań Siemaszki, ale on umarł przed złożeniem słynnego memoriału, bo w sierpniu 1827 r.; diecezję po nim objął sufragani Cyryl Sierociński, człowiek szlachetny, gorliwy katolik i dobry Polak. Z pozostałych pięciu biskupów tylko metropolita Bułhak nie był groźnym przeciwnikiem, bo stary i niedołężny ten człowiek starał się jak mógł politykować, gdyż bał się narazić na niełaskę rządu; zresztą niewiele się orjentował w sytuacji, przebywając stale w Petersburgu, gdzie pełnił obowiązki przewodniczącego Kolegium Grecko-Unickiego. Diecezją brzeską kierował biskup Jaworowski, faktycznie zaś rządził obrotny i energiczny prezes konsystorza, oficjał Tupalski...

Należało więc tych biskupów unieszkodliwić i to zrobił rząd, idąc ściśle za wskazówkami Siemaszki.

Ukaz carski z dnia 22 kwietnia 1828 r., będący echem memoriału Siemaszki, wstrząsnął podstawami Unji.

Zostały zlikwidowane dwie diecezje unickie i pozostawiono tylko brzeską i połocką (inaczej: litewską i białoruską) pod zarządem Bułhaka i Martusewicza; biskup Sierociński dostał nominację do usamodzielnionego Kolegium Unickiego w Petersburgu; biskupa Jaworowskiego usunięto od rządów i wyznaczono mu przymusowe mieszkanie w klasztorze w Supraślu; podobny los spotkał i biskupa Hołownię, którego zmuszono do wypoczynku u bazyłjanów wileńskich.

Oprócz zmian w podziale diecezji wprowadzał ukaz nowe

zmiany w ustroju wewnętrznym Kościoła, reorganizując kapituły, podporządkowując zakon bazyljański władzy biskupów, zabraniając delegowania kleryków unickich na studia teologiczne do Wilna, zamierzając utworzyć w Połocku specjalną akademię unicką oraz uruchamiając dwa seminarja unickie — w Połocku i Żyrowicach, pod Słanimem, w prastarej siedzibie bazyljańskiej.

IV.

W Żyrowicach więc zetknęły się dwa prądy, które się zaznaczyły w Kościele unickim. I jeden i drugi dążył (tak przynajmniej głoszono) do wzmocnienia siły i powagi Kościoła, i jeden i drugi wysuwał najwznioślejsze hasła, ale jakaż była między nimi różnica!..

Prąd starszy, głębszy, wytworzony przez bazyljanów dążył do zespolenia unitów przedewszystkiem jako katolików. Punktem wyjścia dla bazyljanów w ich działalności były uchwały Soboru Zamojskiego, mocno podkreślające katoliczność Kościoła unickiego; poza tem zdawali oni sobie sprawę z zakusów Rosji i z konieczności wytworzenia siły odpornej; stąd pragnęli oni oprzeć się na kulturze polskiej, odznaczającej się wielką żywotnością a jednocześnie pozwalającej na zachowanie odrębnych pierwiastków kultury ruskiej, na której gruncie wyrosła i dojrzała idea Unji kościelnej. Bazyljanie nie tyle łacinizowali i polonizowali Kościół unicki, ile się nie przeciwstawiali zupełnie naturalnej, samozachowawczej łacinizacji i polonizacji Kościoła. Do zlikwidowania Unji i zlania się z Kościołem rzymskim bazyljanie wcale nie dążyli, chociaż omal nie połowa zakonników pochodziła z wyznawców obrządku łacińskiego; rozumieli oni dobrze swoją misję i wielką wartość idei unijnej. To też dążyli oni do rozszerzenia swej działalności, do pogłębienia swych wpływów w społeczeństwie zapomocą pracy pedagogicznej, naukowej, społecznej,—do zrównania się wreszcie z Kościołem łacińskim pod względem praw, powagi i szacunku. Do swego celu szli bazyljanie wytrwale i śmiało. Ich bronią były — szkoły, kształcące w przeważającej ilości młodzież szlachecką, obrządku łacińskiego, — drukarnie, pracujące intensywnie i wszechstronnie, wykazując wielką żywotność zakonu,—oraz szczególny kult świętych obrazów, umiejętnie podtrzymywany i rozpowszechniany wśród najszerszych mas.

Żyrowice były tego najwymowniejszym przykładem. Od chwili osiedlenia się tam bazyljanów (w r. 1613) pod przewodnictwem

pierwszego żyrowickiego przeora—św. Józefata Kuncewicza, otoczyli oni czią szczególną cudowny obraz Matki Boskiej, który w r. 1470 ukazał się na drzewie pastuszkom, pasącym trzodę.⁷ Kult Matki Boskiej Żyrowickiej zakreślił wyjątkowo szerokie granice: święty ten obraz nie tylko był największym skarbem Litwy, ale i w Koronie był czczony narówni z obrazem Matki Boskiej Częstochowskiej. Królowie Władysław IV, Jan Kazimierz, Jan Sobieski z królewiczem Jakóbem. August II, August III i Stanisław August odbyli pielgrzymki do Żyrowic, składając cenne wota oraz nadając przywileje miasteczku, a nade wszystko — podnosząc powagę Kościoła unickiego i podkreślając łączność katolików dwóch obrządków. Kiedy zaś w r. 1718 obraz Żyrowicki cudownie się ukazał na ścianie klasztoru bazylikańskiego w Rzymie, „Madonna del Pascolo” („od Żyru”) stała się znana i w wiecznem mieście, roznosząc sławę zakonu bazylianów litewskich.⁸

Dlatego też, przeczuwając konieczność bliskiego starcia się z wrogiem, pod opiekuńczemi skrzydłami Madonny Żyrowickiej zakładał prowincjał Kamieński nowe gimnazjum, marząc prawdopodobnie o wielkiej roli, jaką odegra w przyszłości ta szkoła.

Taki był prąd pierwszy, który swój bieg skierował ku białym murom starego klasztoru żyrowickiego.

Prąd drugi, wytwarzany przez jednostkę, nie mającą jeszcze odwagi odkryć swych kart, uderzył o Żyrowice zniecka, podstępnie, w sposób dezorjentujący. Właściwie nikt nie wiedział o co chodzi. Walka z bazylianami była wśród kleru świeckiego bardzo popularna, ale nie mogła zastąpić idei twórczej; hasła odradzania Kościoła zapomocą wskrzeszania zwyczajów z r. 1596 i z pominięciem uchwał Soboru Zamojskiego zwolenników nie miały, bo w nich zupełnie słusznie dopatrywano się ukrytej zdrady i torowania drogi dyzunji. Wskutek tego wytworzyła się jakaś niezdrowa atmosfera dezorjentacji, obaw i biernego wyczekiwania, która zaczęła demoralizować duchowieństwo unickie świeckie i która sprawiła, iż prąd nowatorski był raczej prądem negacji: burzył, nie tworząc nic nowego i zostawiając po sobie ponurą pustkę. Zaznaczyło się to już w pierwszych poczynaniach Siemaszki, do olbrzymich zaś rozmiarów wyrosło po likwidacji Unji, kiedy ogromne rzesze wiernych przestały być nie tylko katolikami, a nawet chrześcijanami!..

Tak samo stało się i w stosunku do ostatniego dzieła prowincjała Kamieńskiego: do gimnazjum żyrowickiego. Na mocy carskiego

ukazu w r. 1828 kler świecki przejął od bazylianów istniejące od roku gimnazjum i przekształcił je na seminarjum duchowne, odsuwając od współpracy zakonników, bo zostawiając tylko trzech na podrzędnych stanowiskach.⁹

Rektorem został mianowany Antoni Zubko, kolega uniwersytecki Siemaszki, jego powiernik i prawa ręka; profesorami — wyłącznie młodzi wychowankowie Uniwersytetu Wileńskiego, ludzie o kulturze polskiej (tylko Zubko, który przedtem przez parę lat był w Petersburgu, posiadał język rosyjski), ale kapłani osobliwi, bo nie posiadający głębokiej wiary, często — dziwnie indyferentni religijnie, czasem niewątpliwi deści. Seminarjum jednak miało wszystkie cechy uczelni katolickiej i polskiej. Bardzo poważnie pomyślany program obejmował przedmioty teologiczne i ogólnie - kształcące, uwzględniając w szerokim zakresie języki nowożytne. Językiem wykładowym był polski, dla przedmiotów teologicznych — łacina. Dopiero później zaczęto stopniowo wprowadzać język rosyjski.

Niewiadomo jakby się rozwijała nowa szkoła unicka, gdyby nie tragiczny rok 1831, który wstrząsnął podstawami ustroju społecznego i życia duchowego w całej Polsce.

Rok ów zadecydował o losach Kościoła. Wstrząs był zbyt gwałtowny, aby można było zachować równowagę, zejść do roli beznamiętnych obserwatorów rozgrywających się tragicznych wypadków. To też bazylianie, głębiej tkwiący w polskim społeczeństwie, bardziej czynni w życiu kulturalnym i mający przed sobą szersze horyzonty, odruchowo, lecz zgodnie zareagowali na wypadki wojenne, popierając wysiłek zbrojny narodu polskiego, walczącego o swą wolność. Zakonnicy klasztorów Berezajskiego w Grodzieńszczyźnie, Poczajowskiego i Owruckiego na Wołyniu wzięli czynny udział w walkach, pomagając wojskom polskim, a nieraz chwytając za broń. Inne klasztory zaopatrywały powstańców w żywność, urządzały noclegi dla przechodzących oddziałów, opiekowały się rannymi i t. p. Kler świecki unicki tak się nie angażował. Obarczeni rodzinami, bardziej przywiązani do ziemi, na której siedzieli często z dziada-pradziada, parochowie nie zdradzali swoich sympatyj, dbając przede wszystkim o jedno, aby się komu nie narazić i nie wywołać katastrofy. Z duchowieństwa świeckiego bodaj tylko jeden biskup Sierockiński był oskarżony o zdradę państwa i udział w powstaniu. Ten niepodobny do siostrzeńca, wuj renegata Siemaszki został oddany pod sąd

i niezawodnie poniósłby wielką karę, gdyby śmierć w r. 1831 nie położyła kresu ludzkim porachunkom. W tymże 31 roku umarł biskup Hołowinia. Siemaszko, od dwóch lat biskup, miał przed sobą coraz łatwiejsze zadanie, gdyż ze starej generacji biskupów pozostali tylko trzej: Bułhak, Martusewicz i Jaworowski.

Nie trzeba chyba mówić, że po upadku powstania straszne ciosy spadły na zakon bazylianów, prześladowany i jako ognisko ducha polskiego i jako główna ostoja Unji. Rozpoczęły się przedewszystkiem brutalne konfiskaty klasztorów, przekazywanych albo duchowieństwu świeckiemu, albo, jeszcze częściej — prawosławnym; kazano bazylianom, z pochodzenia łacinnikom, opuścić zakon, wskutek czego stracili bazylianie element może najbardziej wartościowy; zabroniono przyjmowania do zakonu nowych członków; zniesiono urząd prowincjałów etc. Zakon bazylianów został obezwładniony...

Losy Unji kościelnej zostały całkowicie uzależnione od kleru świeckiego... W roku 1833 umarli jeszcze dwaj biskupi: Martusewicz i Jaworowski. Siemaszko, dotychczas sufragan połocki, przekazał diecezję metropolicie Bułhakowi, sam zaś objął diecezję litewską i rozpoczął działalność na szerszą skalę, gdyż niedołączny Bułhak nie mógł stanowić żadnej przeszkody. I oto na wakujące stanowiska biskupów wysunął Siemaszko trzech ludzi, z których dwaj — Zubko i Łużyński byli mu oddani bez zastrzeżeń, trzeci zaś — ostatni prowincjał bazylianów Józefat Żarski ulegał, pragnąc w jakikolwiek sposób ratować zakon, tracący grunt pod nogami. Ci kandydaci na biskupów musieli zapłacić za mitry zobowiązaniem na piśmie, iż na każde żądanie gotowi są zdradzić Kościół i przejść na prawosławie...

Ciekawe to dokumenty, te cyrografy ludzi bez wiary i sumienia, sprzedających się za cenę zaszczytów i dobrobytu materialnego; nie dość tego: pragnących najwyższych godności w Kościele, dla którego starannie własnymi rękami kopali grób.

Zobowiązanie Łużyńskiego było wymowne:

„Zgodnie z życzeniem Waszej Ekscelencji śpieszę oświadczyć, iż różnicę w dogmatach Kościołów wschodniego i zachodniego uważam za owoc mądrkowań ludzkich, a nie za istotne prawdy chrześcijaństwa, i że pragnąc szczęścia dla Kościoła i ojczyzny, gotów jestem w każdej chwili przyłączyć się do praojcowskiej Grecko-Rosyjskiej Cerkwi; zresztą polegam całkowicie na mądrości władz, wierząc, iż czyn mój będzie sprzyjał ogólnemu połączeniu grecko-unickiego

narodu z tą Cerkwią i nie wzbudzi w nim wstrętu do współbraci i własnej ojczyzny Rosji”.

Podobne oświadczenie podpisał i Żarski — Polak, a przed wstąpieniem do zakonu bazylianów — rzymski katolik...¹⁰

Zubko napisał kwiecieściej:

„Wasza Ekscelencja oddawna zna mój sposób myślenia i uczucia, jakie żywię względem Prawosławnej Grecko-Rosyjskiej Cerkwi, — zna moje mocne przekonania o prawdzie dogmatów tej Cerkwi i błędach rzymian, — zna moje oburzenie na knowania łacinników i Polaków, którzy stworzyli Unję, — zna moje ubolewania nad wynarodowieniem wskutek tego półtora miliona ludzi z pochodzenia i języka — Rosjan, — zna mój szczerzy udział w dobrym dziele nawracania unitów na łono Cerkwi prawosławnej, — zna moją gotowość niezwłocznego przyłączenia się do naszej wspólnej matki — Cerkwi praojcowskiej, — zna moje całkowite zaufanie do środków, jakie władza zechce zastosować w sprawie unickiej, — wszystko to jest znane Waszej Ekscelencji, więc z przyjemnością czynię zadość życzeniom Ekscelencji, stwierdzając to na piśmie”¹¹.

Rozpoczynała się nieznana dotąd w dziejach ludzkości likwidacja Kościoła przez jego najwyższych dostojników — arcybiskupów...

Nielatwe zadanie mieli przed sobą apostołowie, zdradziecko podminowujący swój Kościół. Prawosławie nie mogło pociągnąć szerszych mas raz dlatego, że było często identyfikowane z przemocą polityczną i narodową Rosji, powtóre, że kler unicki pod względem materialnym musiał się znaleźć (i znalazł) po przejściu na prawosławie w warunkach znacznie gorszych, wreszcie i dlatego też, że tradycje prawosławia na północno-wschodnich ziemiach Rzeczypospolitej były bardzo nikłe. Kiedy ośmieleni upadkiem powstania r. 1831, „wskrzესili” Rosjanie „prastarą połocką diecezję”, w której skład weszły gubernje: witebska, wileńska i kurlandzka, pierwszy prawosławny biskup Smaragd, obejmując 9 lipca 1833 roku rządy diecezją, znalazł stan wcale nieświeży. W gubernji witebskiej, jako najdalej na wschód położonej i od dłuższego czasu atakowanej przez schizmatyków, znajdowało się 70 cerkwi i 122938 prawosławnych, natomiast w gubernji wileńskiej (w gubernji!) było 3 klasztory i 4 cerkwie, mające parafjan... 3709, w gubernji zaś kurlandzkiej 2 cerkwie obsługiwały 1092 prawosławnych!¹². W tych warunkach nie mogło być mowy o zbyt wielkich i trwałych wynikach apostołowania prawosławnych, którzy przedewszystkiem

nie mieli do dyspozycji odpowiedniej ilości kapłanów, zdolnych do pracy misyjnej wśród „nawracanych” unitów; jedynym wyjściem mogło być zlikwidowanie Unji zapomocą kleru unickiego i powierzenie pracy misyjnej prawosławnej parochom — apostatom.

W tym też kierunku poszedł cały wysiłek Siemaszki, który jako samodzielny kierownik diecezji litewskiej, mając do pomocy sufragana Zubkę, rozpoczął wyraźną i stanowczą grę. Zaczęło się stopniowe, konsekwentnie przeprowadzane likwidowanie Kościoła unickiego. Wy-sunięto hasło „czystości dawnych zwyczajów”, więc likwidowano ołtarze, organy, orkiestry, wprowadzono „ikonostasy”, rosyjskie mszały etc. Wśród kleru zapanował popłoch. Zarządzenia biskupa nieraz spotykały się z opozycją kleru, czasami bardzo zdecydowaną... Ale... opornych wzywano do Żyrowic i tam przekonywano o zbawienności inowacyj. Przekonywano rozmaicie. Najpierw używano argumentów teologicznych: profesor teologii dogmatycznej Jankowski oraz rektor seminarjum Homolicki dowodzili, iż to, co się dzieje, jest zgodne z tradycjami Kościoła unickiego, który właściwie... niczem się nie różni od Cerkwi prawosławnej. Później używano argumentów bardziej przekonywujących: degradowano księży i wysyłano ich w charakterze „pryczetników” do parafij, gdzie siedzieli „swoi” ludzie; jeżeli zaś i takie argumenty nie odnosiły skutku, krnąbrnym parochom dawano spokój... w więzieniu klasztoru żyrowickiego. Nikt wówczas nie przeszkadzał samotnym rozmyślaniom zaślepionych unitów, powołujących się wciąż na tradycje ojców, na świętość przysięgi, na sumienie, na kary na tamtym świecie i nie znających się na subtelnem komentowaniu dogmatów...

W ten sposób rozpowszechniano światło prawdziwej wiary i ściśle poufnie brano zobowiązania, iż nawrócony paroch na każde żądanie przejdzie na prawosławie. Opozycja nie miała zdecydowanej siły i nie była zorganizowana, no bo i niełatwa była sytuacja przeciętnego parocha, mającego rozkaz od władz najwyższych i widzącego zdumiewającą zgodność w postępowaniu wszystkich bez wyjątku członków konsystorza i profesorów seminarjum, ludzi z wyższym wykształceniem i cieszących się często ogólnym szacunkiem.

V.

Sprawę apostazji niezmiernie ułatwiały stosunki rodzinne, jakie panowały w diecezji litewskiej.

Faktycznie rządzący diecezją od dwudziestu lat oficjał Antoni Tupalski obsadzał lepsze stanowiska swoimi krewnymi, dobrymi znajomymi lub bardziej zaufanymi ludźmi, uzależniając ich wszystkich od siebie nawet pod względem materialnym; w samych zaś Żyrowicach wytworzył istną sielankę. Zapomocą swoich pięciu córek miał Tupalski wpływ na pięciu zięciów, zajmujących w diecezji wybitne stanowiska. Wytworzyły się w Żyrowicach stosunki patriarchalne: kochany „papa”, mając do pomocy „wujaszka żyrowickiego” — sekretarza konsystorza, Stefana Zacharewicza, brata „mamy” Tupalskiej, — rządził wszechwładnie.

Przypomnijmy sobie jeszcze raz żyrowickie związki rodzinne.

Teofila Tupalska wychodzi za mąż za Platona Sosnowskiego, młodego profesora teologii na Uniwersytecie Wileńskim. (Sosnowski umarł w r. 1826, mając lat 27 i został pochowany w Wilnie na cmentarzu Rosie). Agata Tupalska wychodzi za vice prezesa konsystorza i prof. semin. d-ra Michała Hołubowicza, po śmierci żony — arcybiskupa. Zofja Tupalska staje się żoną prof., a później inspektora semin. Karola Wrońskiego, wkońcu dyrektora gimn. w Pińsku. Helena wychodzi za następnego vice-prezesa konsystorza i prof. semin. Placyda Jankowskiego, literata polskiego. Henrjetta — za prof. Dobrochotowa, po śmierci żony — biskupa ołonieckiego Pawła. Jakaś krewna Tupalskiego wychodzi za Aleksandra Kandidowa, prof. sem., później dyrektora szkół w Mińsku. Siostra Placyda, Katarzyna Jankowska jest żoną — kolejno: sekretarza, inspektora i rektora seminarjum Ferdynanda Homolickiego, którego bratanek Mamert jest nauczycielem szkoły żyrowickiej, kuzyn zaś Mikołaj — profesorem seminarjum. Inny Homolicki, Wiktor, późniejszy dobrze znany w Wilnie protojerej, żeni się z rodzoną siostrą Siemaszki, Heleną, łącząc w ten sposób całą „rodzinę żyrowicką” z dyktatorem apostazji. Związki sięgają dalej: przecież ojciec Platona Sosnowskiego, Antoni jest ostatnim oficjałem wileńskim i członkiem Rady Seminarjum Głównego; ojciec Placyda Jankowskiego, Gabrjel — prałatem i archiprezbiterem kapituły brzeskiej. Chrześnym synem Antoniego Sosnowskiego i byłym nauczycielem wszystkich bez wyjątku młodych teologów jest b. profesor Uniwersytetu Wileńskiego Michał Bobrowski, serdeczny przyjaciel „ojca rodziny”, Tupalskiego.

„Swoi ludzie” rządzą losami Kościoła unickiego! „Swoi ludzie” z zadziwiającą lekkomyślnością, raczej — potworną bezmyślnością

likwidowali Kościół unicki, bez głębszego przekonania, bez wiary, nie mając absolutnie żadnych zdolności do szlachetnego propagowania też prawosławnych i nie zdając sprawy z tego, że odebranie wiary setkom tysięcy unitów i niedanie im wzamian nic — skończyć się musi straszną katastrofą. Nie myślano o niczem; wszyscy płynęli z prądem, ślepo słuchając rozkazów potężnego 'biskupa Siemaszki. Tymczasem w r. 1838 ostatecznie się rozwikłała sytuacja: w tym roku umarli dwaj dostojnicy kościoła, nie mający sił do przeciwstawienia się prądowi apostazji, lecz niechętni mu: metropolita Bułhak i biskup Żarski. Ten ostatni, umierając, cofnął swoje zobowiązanie i zostawił oświadczenie, iż nie solidaryzuje się z ruchem apostazji i że nie chce ponosić odpowiedzialności za to, co się ma wkrótce stać...

W roku następnym, 12 lutego 1839 pozostali trzej biskupi unicy — Siemaszko, Łużyński i Zubko, w imieniu własnem, kleru i nic o zdradzie nie wiedzących wiernych podpisali w Połocku akt likwidacji Unji...

Pozostanie na zawsze tajemnicą, w jaki sposób dokonało się ostateczne przeobrażenie księży unickich w popów prawosławnych, w jaki sposób np. profesor teologii dogmatycznej zaczął nagle uczyć młodzież w sposób zgoła odmienny od poprzedniego, obalając wszystko to, co przez szereg lat sam budował w duszach młodzieńcych...

Zewnętrznie jednak niewiele się zmieniło w życiu rodziny żyrowickiej. Panowała beztroska sielankowa atmosfera. Odwiedzano się wzajemnie, urządzano wspólne wycieczki i polowania, organizowano wieczorki z tańcami przy dźwiękach zlikwidowanej bazylikańskiej orkiestry, prowadzono dyskusje na tematy literackie i t. p. Zachowywano przez dłuższy czas strój księży katolickich i przestrzegano czystości dawnych obyczajów, a przede wszystkim języka. Gdy do Żyrowic przysłano pierwszych Rosjan — Dobrochotowa i Kandidowa, „papa” zakwalifikował ich jako bardzo dobrych kandydatów na zięciów, ale cała „rodzina” przede wszystkim wzięła ich w obroty ze względu na ich nieznamość języka polskiego. W pewnej powieści Jankowskiego Aleksander Kandidow narzeka na Henrjetę Tupalską i Jankowskich za ich dokuczanie z powodu ciągle popełnianych przez niego błędów językowych:

„Czy to taka nagroda za moje poświęcenie, że musiałem potem przeczytać dwie całe gramatyki Kopczyńskiego i Jakóbowicza i jeszcze mi z pięć naskładano. Jaki też to nieładny macie państwo zwyczaj prześmiewania i pamiętania pomyłek”.¹³

Takie rozmowy odbywały się w Żyrowicach po r. 1839, po zlikwidowaniu Unji, kiedy gorliwi miłośnicy języka polskiego, pokpiwający z kiepskiej polszczyzny Moskala, mieli na sumieniu nieco większe „pomyłki”, niż przekręcanie wyrazów!...

Gorliwość „rodziny” zaznaczyła się jeszcze w innej dziedzinie: w sprawach prawomyślności wiernopoddanej. Pod tym względem nie obawiano się żadnej przesady i manifestowano swe „uczucia” do „cara-batiuszki” w sposób hałaśliwy, a czasem wprost nieprzyzwoity, gdyż korzystano w tym celu z ambony. Tego rodzaju „błagonadziejnyja” kazania zainicjował Ferdynand Homolicki, który jak Żyrowice Żyrowicami po raz pierwszy przemówił w tamtejszym kościele w r. 1834 po rosyjsku, mając za temat nauki... dobrodziejstwa cara Mikołaja I. Homolicki tak zakończył swoje „słowo”:

„Boże Wszechpotężny! Dałeś nam skarb bezcenny w osobie cesarza, naszego ojca i dobroczyńcy. Wspomagaj jego szlachetne poczynania! Spraw, aby broń jego była straszną dla wrogów prawdy, wiary(!) i ojczyzny! Przedłuż dni szlachetnego monarchy i pobłogosław lata jego panowania pokojem i szczęściem całej Rosji!...”¹⁴

O carze Mikołaju, jako obrońcy prawdy i wiary mówił inspektor seminarjum katolickiego, magister św. teologii! Z cara Mikołaja — anioła pokoju robił uczeń Uniwersytetu Wileńskiego w trzy lata po upadku powstania listopadowego i po zamknięciu Wszechnicy Batorowej!...

Jednak takie rzeczy nikogo nie raziły, komuś nawet były potrzebne. Siemaszko przesłał mowę Homolickiego do ministra spraw wewnętrznych D. Błudowa, zaznaczając wyraźnie: „Mowę tę, nie jako wzór krasomówstwa, lecz jako odzwierciedlenie panującego tu zdrowego, prawomyślnego stanu umysłów, uważałem za celowe przesłać Waszej Ekscelencji i muszę dodać, że w Żyrowicach podobne przemówienia są wysłuchiwane z prawdziwą przyjemnością”...¹⁵

Trudno sądzić po czyjej stronie znajdowała się ta „prawdziwa przyjemność...”

Ówczesni kapłani żyrowiccy, kierujący losami ogromnej diecezji, którzy bez żadnych skrupułów przedzierzgnęli się z katolików w prawosławnych, robiąc często wrażenie deistów, nie mogli się przyczynić do utrwalenia nowej religii wśród ogromnych rzesz wiernych, niewiele zresztą o tę religię dbali sami. Oto poprostu nie chodzili do kościoła w Żyrowicach (wówczas już — cerkwi) nawet podczas świąt i robili to stale, mając piękny przykład ze strony samego „pa-

py” Tupalskiego oraz rektora seminarjum Homolickiego. Nawet Siemaszko był zgorszony. 28. X. 1841 wystosował on do Tupalskiego pismo Nr. 1686, polecając, aby rektor seminarjum i członkowie konsystorza brali udział w świątecznych nabożeństwach, gdyż „taka obojętność i lekceważenie służby Bożej ze strony dostojników kościelnych w Żyrowicach nie tylko się sprzeciwiają ich obowiązkom służby, ale są wprost zgubne ze względu na zły przykład dla tamtejszej licznej młodzieży duchownej”.¹⁶

Niewiadomo, czy takie upomnienie odniosło jakiś skutek; Siemaszko sam stwierdza w tymże liście, że religijny indyferentyzm „rodziny” był zjawiskiem stałym: „... członkowie konsystorza litewskiego odznaczali się lenistwem i niedbalstwem w odprawianiu nabożeństw w żyrowickim katedralnym soborze, wskutek czego niejednokrotnie były robione upomnienia tak wszystkim wogóle członkom, jak i szczególnie Wam, Ojczy protojereju...” (O Tupalskim mowa).

Rozgrywała się najstraszliwsza tragedia, jaką znali dzieje polskie... Załamywały się i w gruzy zapadały nie fundamenty państwowe lub społeczne, lecz podstawy, na których wznosił się dumny i wspinał gmach ducha ludzkiego. Nie o klęskę Kościoła katolickiego chodzi. Niejeden cios przyjął na siebie ten Kościół, nieraz musiał kapitulować. Pamiętamy dobrze z historii zwycięski pochód przez Polskę Reformacji, która świeciła prawdziwe triumfy, i zdawało się, zapanowała na zawsze na gruzach Kościoła katolickiego. Ale Reformacja nie tylko burzyła, lecz i tworzyła, przychodziła z nową wiarą, z nową siłą, z nowym entuzjazmem. I gdy Kościół katolicki odebrał zpowrotem chwilowo utracone pozycje, zdobył nie tylko to, co posiadał, lecz i nowe, wielkie, nieprzemijające wartości, jakie pozostawiła Reformacja, odświeżając i wzbogacając kulturę polską...

Gdy Unja upadła, nie było zwycięzców... Na rozwalonych murach dawnej twierdzy rękami zdrajców zatknięto nowy sztandar, którego świętości nie odczuwał nikt: ani dowódcy, wiedzący czego pragną, ani podkomendni — przerażeni i zdezorjentowani... Władzy nad duszami półtora miliona cichych, łagodnych ludzi nie objął nikt i nikt się nie ubiegał o taką władzę... Wydarto ludziom czystą, naiwną, lecz głęboką wiarę i nie tchnięto w ich dusze nowej wiary. Mówiono ludziom o prawdzie i potędze prawosławia, lecz nie dano im na przewodników czystych i szlachetnych kapłanów prawosławnych; puszczono

luzem na ponure manowce, wysuwając od czasu do czasu jako opiekunów — prawosławnych... policjantów...

Dopiero po długich, długich latach wkroczyła na ziemie polskie prawdziwa Cerkiew prawosławna. Nie jako triumfatorka wkraczała na nowe tereny, lecz jako wierna służebnica zwycięskiego, barbarzyńskiego rządu rosyjskiego. I w posiadanie obejmowała nie miliony otwartych dusz, pełnych jasnej wiary, i serc, bijących zgodnym rytmem, lecz — dusze zatrute niewiarą i rozterką, serca nieufne, przelekłe...

A jako testament ideowy od swych poprzedników otrzymali kapłani² prawosławni cyniczne słowa jednego z głównych likwidatorów Unji — arcybiskupa połockiego Łużyńskiego, tragiczne i rozpaczne słowa:

„Mnie tam na drugim świecie nic się nie należy, tylko męka, trzeba się tu... wyhulać!...”¹⁷

O G N I E Z P O D Ś N I E Ą U

Niema chyba na świecie człowieka, któryby się nie zastanawiał nad dziwną rolą w życiu jednostek i narodów tak zwanego „zbiegu okoliczności”. Niema człowieka, któryby nie próbował rozwiązać zagadki, dlaczego wytwarza się nagle i nieoczekiwanie jakiś dziwny splot okoliczności, gmatwający sytuację, załamujący dotychczasową linię wypadków, skierowujący losy ofiar tego „zbiegu okoliczności” na tory nowe, nieznane, dziwne... Tej zagadki nie rozwiąże nikt i nigdy. Pozostanie ona na zawsze pod osławioną, bezbarwną nazwą „zbiegu okoliczności”, lub wystąpi jako „konieczność dziejowa”, albo „cud” — kto co woli. Mniejsza, zresztą, o nazwę. Dość, że to dziwne zjawisko występuje w dziejach naszego narodu w formie bądźto olśniewających błyskawic, nagle rozświetlających otchłanny mrok, bądźto — chmur gradowych na jasnym przed chwilą niebie, — bądź wreszcie, łącząc te dwa pierwiastki — mroku i światła w sposób tajemniczy, znaczący, zdumiewający swą nienaturalnością i... potęgą.

Zjawiskiem może najwspanialszem i najcudowniejszem, a już napewno najjaśniejszem, w dziejach narodu polskiego był—Filomatyzm—niezwykły wyraz przebudzonej potęgi duchowej Polski. Dlaczego tak się stało, że właśnie w drugim i trzecim dziesiątku lat zeszłego stulecia, właśnie w Wilnie, oddzielonem od całej Polski pilnie strzeżoną granicą, zebrali się właśnie tacy a tacy młodzieńcy z Litwy i potrafili swe myśli i dusze złożyć na stosie ofiarnym i zapalić tak potężne ognisko, że cały naród przez długie, ciężkie lata miał w niem drogowskaz i czerpał z niego ciepło; dlaczego? — nie wiemy. Wiemy tylko, że teraz, kiedy zatraciło się wiele szczegółów charakteru formalnego, kiedy w niepamięć poszedł cały szereg imion i coraz mniej są znani luminarze nauki — ówcześni profesorowie uniwersytetu, — coraz wyraźniej zarysowuje się świetlana postać filomaty — „nieznanego studenta” Uniwersytetu Wileńskiego, głównego reprezentanta nie tylko swej świetnej Almae Matris, lecz i całego narodu.

Wspaniałość i wyjątkowe piękno filomatyzmu nie zmniejszają się pod wpływem czasu, nie tracą na sile i uroku wskutek najdrobiazgowszych dociekań badaczy naukowych, — przeciwnie: czas wytwarza cudowną legendę ruchu odrodzenia, jaki wówczas powstał w Wilnie i w błyskawicznym pochodzie ogarnął całą Polskę, jak długa i szeroka. Bo to właśnie stanowi najbardziej charakterystyczną cechę tego wspaniałego zjawiska, że ruch filomacki, ruch romantyczny, ruch wreszcie bez nazwy, zrodził się w prastarych murach Almae Matris Vilnensis nieoczekiwanie, nagle i od pierwszego dnia swych narodzin posiadał wprost tytaniczną siłę.

Był to wybuch wulkanu. Już oddawna słychać było grzmoty ukrytych sił, tkwiących głęboko pod ziemią, pewnego majowego dnia dało się odczuć potężne wstrząśnięcie, zwiastujące radosną burzę, lecz dopiero w drugim dziesiątku lat w. XIX wulkan drgnął od nadmiaru sił, zbieranych całymi wiekami, wstrząsnął drętwiącym, skamieniałym narodem, i wyrzucił do góry szaleńczo-zuchwały, oślepiająco-jasny, porywający siłą i pięknem — potężny snop światła!... I oto na prastarym szlaku króla Stefana, z murów największej i najmocniejszej twierdzy Batorowej wytrysł promienisty i płomienny szlak Adama, prowadzący wgórę, wzwyż, mający przez dziesiątki lat służyć narodowi polskiemu za latarnię morską na oceanowych bezdrożach klęsk i niewiary...

Rola Uniwersytetu Wileńskiego w dziele odrodzenia Polski po upadku w w. XVIII jest niezwykle wielka. Tam właśnie wytrysło źródło mocy narodowej, tam zostały założone fundamenty gmachu Polski wolnej, stamtąd wyszedł wódz narodu Adam Mickiewicz.

O tem, co dał narodowi Uniwersytet Wileński, pisało się wiele i wyczerpująco. Należy obecnie tylko podkreślić dwie zasadnicze cechy, któremi się odznaczały wszystkie idee, powstałe w murach ówczesnej wszechnicy Batorowej: rozpalony do białą ofiarny patriotyzm polski i nienawiść do głównego wroga — Moskale.

Lecz oto rzecz osobliwa: tak, jak my zwracamy się myślą do młodzieży akademickiej z przed stu kilku lat, szukając wzorów szczerego patriotyzmu i świadomej walki o godność i niezależność narodową, — tak samo, do tegoż okresu, z uśmiechem zadowolenia i otuchy zwracają się ci, co pragną klęsk Polski, co skrzętnie notują każdy przejaw nienawiści i zdrady narodu ze strony Polaków, ulegających

rusyfikacji. Uniwersytet Wileński początku XIX w. wyłonił nie tylko prąd, uzdrawiający naród, lecz i prąd, zabijający narodowość.

Powiedzieliśmy wyżej, iż zjawisko filomatyizmu było wybuchem wulkanu. Tak było w rzeczywistości. Trzeba tylko pamiętać, że wulkan nie tylko wyrzuca w górę oślepiające blaski, lecz i zalewa jednocześnie najbliższe okolice pełzającą lawą, zwiastującą śmierć i zniszczenie. Taką lawą, miażdżącą wszystko, co polskie, osuszającą nawet ożywcze źródło, jakim jest religja, — był prąd likwidacji Unji kościelnej, który wyłonił się i siłą nabrał właśnie w okresie filomatyizmu i również na Uniwersytecie Wileńskim. Nie mają te dwa prądy nic wspólnego ze sobą, oprócz miejsca i czasu powstania, lecz te warunki zewnętrzne, zaiste więcej, niż przypadkowe, dają wiele do myślenia.

Dziwny, dziwny... zbieg okoliczności!... Studenci Wydziału literatury i sztuk wyzwolonych, rozpoczynając od koleżeńskiego życia się i bawienia się w poetów, stworzyli nowy kierunek literacki, stali się awangardą walczącego narodu, przeszacowali wartości etyczne i doszli do prób zorganizowania zakonu... Studenci Wydziału nauk moralno-politycznych, ściślej — teolodzy, wychowankowie Seminarjum Głównego, — rozpoczynając od studjów teologicznych, uwieńczonych dyplomami magistrów i doktorów świętej teologii, wystąpili do walki z katolicyzmem, niszcząc wszelkie przejawy kultury polskiej, i doszli do zamiarów zlikwidowania Kościoła rzymsko-katolickiego w Polsce zapomocą żandarmów rosyjskich.

Plejadę filomacką reprezentuje tytaniczny Adam — „najwyższy, naczelny żołnierz Polski wieczystej”, jak go pięknie nazwał prof. Pigoń, — bojownik, stający się symbolem narodu, walczącego z przemocą moskiewską; on, który się nazywał: „Miljon”, — nie tylko dlatego, że za miliony myślał, czuł i cierpiał katusze, lecz i dlatego, że stał na czele milionów i miliony prowadził...

Plejadę rusyfikatorów reprezentuje również tytaniczna postać — Józef Siemaszko — „apostoł siewiero-zapadnego kraju”, wódz naczelny Polaków, na zawsze wyrzekających się Polski, i greko-katolików, miażdżących z pasją wszystko, co katolickie; — on — prawie symbol potwornej, bezwzględnej roboty rusyfikatorów; on — który z całą słusnością mógłby się nazwać „Miljonem”, bo przeszło milion unitów zmusił do przyjęcia prawosławia, milion Polaków oderwał od Polski, za milion odpowiedzialność przyjął, jeżeli nie wobec ludzi, to wobec historii i Boga!...

Mickiewicz i... Siemaszko!... Doprawdy, ręka odmawia posłuszeństwa, nie chcąc wypisać tych imion jedno przy drugim. Czemś potwornem wydaje się zestawienie tych dwóch tytanów, którzy odegrali tak decydującą rolę w życiu narodu polskiego, a szczególnie ziem wschodnich Polski. Trudno nawet w dziejach ludzkości znaleźć dwie indywidualności, dwie dusze tak biegunowo do siebie niepodobne, niesposób wskazać dwie drogi tak sprzeczne. A jednak... Pomimo wszystko jest coś, co łączy tych dwóch ludzi, — jakiś wspólny los, zakreślający drogę, podzieloną podobnymi etapami, jakaś dziwna bliskość w czasie...

Różniący się wiekiem o dzień jeden (A. Mickiewicz urodził się 24. XII. 1798; Józef Siemaszko — 25. XII. 1798), obaj pochodzący z drobnej, lecz rzetelnej szlachty (Mickiewicz — herbu Poraj, Siemaszko — herbu Syrokomla), obaj odznaczający się iście ognistym temperamentem, cudem wziętym z pod grudniowych śniegów, przechodzą oni przez kuźnię Uniwersytetu Wileńskiego, hartując swe charakter na stal, z której jeden robi miecz, drugi — nóż skrytobójczy!... Wstępują na uniwersytet prawie jednocześnie: Mickiewicz studjuje w latach 1815 — 1819, Siemaszko — w 1816 — 1820. Nie z własnej nawet winy spóźnia się Siemaszko: Seminarjum Główne po wojnie francuskiej zostało wznowione właśnie w r. 1816. Studjują więc obaj przez pewien czas razem, słuchając częściowo tych samych wykładów. Czy znali się osobiście? Prawdopodobnie, nie. W obszernych „zapiskach” Siemaszki niema najmniejszej wzmianki o Mickiewiczu, Mickiewicz znowuż nie mówił i nie pisał o Siemaszce, choć znał dalekiego krewnego Józefa — lekarza Aleksandra Siemaszkę, któremu poświęcił wiersz „Do d-ra A. S.” Czy znali się natomiast z widzenia? Napewno tak. Słuchali wspólnie wykładów z zakresu filozofji, filologii i literatury; musieli więc spotykać się dość często w ciągu trzech lat.

Z profesorów Uniwersytetu Wileńskiego wspomina Siemaszko obszerniej tylko o Czerniawskim, prof. literatury rosyjskiej (jednym z nauczycieli i egzaminatorów A. Mickiewicza), któremu przyszyły metropolita prawosławny zawdzięcza swą miłość do Rosji. Czyni takie oświadczenie Siemaszko w sposób wyjątkowo szczerzy, a zarysowuje sylwetkę swego mistrza tak wyraźnie, że warto przytoczyć jego słowa.

„Profesorem literatury rosyjskiej na Uniwersytecie Wileńskim był wówczas (t. j. za czasów studjów Siemaszki) zasłużony Czerniawski. Gdyby obecnie w mojem seminarjum nauczyciel wykładał literaturę

tak marnie, jak Czerniawski, jabym go, prawdopodobnie, wypędził, ale nie o to chodzi. Poczciwy Czerniawski był istną chodzącą biblioteką najprzeróżniejszych wiadomości o Rosji. On ledwo się dzielił z nami swemi płytkimi notatkami o literaturze rosyjskiej, ale lubił, staruszek, chodzić przez cały czas lekcji po sali i opowiadać w sposób anegdotyczny, bez jakiegokolwiek porządku, ale zajmująco, z uczuciem i duszą, — wszystko, co mu przychodziło na myśl o Rosji, jej historii, jej bohaterach, jej życiu narodowem. Wieleby trzeba było poznać dzieł, aby się dowiedzieć tego, czegom się dowiedział wówczas od niego. Nie pamiętam, czy za te wykłady byli mu wdzięczni bardzo nieliczni jego słuchacze, ale ja połykałem je i na zawsze pozostanę wdzięczny; zdaje mi się, że on zaszczerpił w mojem sercu rozumne wyróżnienie Rosji i miłość do niej.”¹

Ale nietylko ten uczony mąż, o którym tak serdecznie mówi Siemaszko, był wspólnym nauczycielem jego i Mickiewicza: Groddeck, Borowski, Lelewel i szereg innych profesorów wpływał (jakże odmiennie) na kształtowanie się umysłów i dusz dwóch tytanów.

Kim był wówczas, kim stał się i jest wiekuiście Adam Mickiewicz, wiemy obecnie dobrze. Kim był i jest Siemaszko, — nie zdajemy sobie sprawy. Rola apostaty była tak haniebna w stosunku do narodu, z którego wyszedł, a praca jego zadała tak wielki cios polskości i katolicyzmowi, że wprost nie chcemy o tem myśleć; uciekamy więc stale przed samem wspomnieniem o mrocznych dziejach likwidacji Unji i zaspakajamy się legendami o męczeństwie ofiar i potworności oprawców.

Dlatego też fakt, że Uniwersytet Wileński w okresie 1815—1830, czyli uniwersytet filomatów i filaretów, na swym Wydziale Teologicznym, czyli w Seminarjum Głównem, wychował pięciu przyszłych arcybiskupów prawosławnych i że wszystkie bez wyjątku wyższe stanowiska w konsystorzu Litewskim w momencie likwidacji Unji były obsadzone przez byłych uczniów wszechnicy Batorowej, — to wszystko wydaje się nam potwornym fałszem, lub, kiedy bliżej poznajemy fakty, — niesamowitą zagadką.

Wulkan wileński wyrzucił oślepiająco — piękny ogień i również ognistą, jak gad pełzającą, morderczą lawę... O lawie tej wiemy tak mało, tak przerażająco mało. A przecież już sama postać wodza apostatów — Józefa Siemaszki zasługuje na uwagę. Nie będziemy wchodzić w to, jakie nim kierowały pobudki, gdy się podjął swego stra-

sznego dzieła, walcząc na dwa fronty: z katolikami i prawosławnymi, którzy nie mieli zaufania do bądź co bądź kompletnie obcego z wychowania i wykształcenia człowieka; — należy tylko stwierdzić, iż niełatwe on miał przed sobą zadanie, wielkie przeszkody miał do przezwyciężenia, wyjątkową odznaczał się siłą woli i niepospolitymi zdolnościami. Szalony temperament ponosił go. Zakres działania ciągle był mu za ciasny; coraz większej pragnął jąć się pracy. Sam stwierdza, że już jako metropolita, mając przeszło 60 lat, lubił całemi godzinami przesiadywać nad mapami i planami, przebudowując świat.

„Wówczas kreśliłem kanały, szosy i koleje żelazne, budowałem miasta, twierdze i porty, dzieliłem ziemię na prowincje i państwa. Czasami myślałem, że w tym zakresie mógłbym zrobić wiele nietylko w świecie marzeń, ale w głowie nie było lżej od takich rozrywek. Często porywały mię marzenia o przedmiotach nierealnych, ale to się stawało zwykle nie rozrywką, lecz męczącym wysiłkiem. Szczególnie często męczyły mię przestrzenie niebieskie, gdy siedziałem w ogrodzie trynopskim, obserwując wieczorami gwiazdy... Jakaś bezwiedna siła ciągnie mnie w nieskończoność... Promieniem słonecznym, przebiegającym w ośm minut dwadzieścia milionów mil, staram się zmierzyć przestrzeń, dzielącą od gwiazd najbliższych, później — najdalejszych... wreszcie wyczerpany tonę w bezkresie, w nieskończoności!”²

I ten marzyciel przebudowywał świat... Nietylko w snach... Miljon dusz miało pójść drogą przez niego wskazaną, miljon serc musiało tętno swe uregulować podług jego rozkazu... Walczyć musiał z najbliższymi krewnymi, z sobą samym, tępiąc w sobie ślady polskiej kultury i przyjmując w r. 1839, w 41 roku życia, język rosyjski jako język rodzinny.⁸

Pierwsze kroki młodego diakona, asesora konsystorza Łuckiego i kaznodziei katedralnego — nie były znaczące. Po ukończeniu w r. 1820 Uniwersytetu Wileńskiego ze stopniem magistra teologii, objął Siemaszko wymienione stanowisko i rozpoczął żmudną pracę duchownego oraz profesora seminarjum diecezjalnego, przypominając tem innego magistra, który wówczas „profesorował”, w dalekim Kownie. Rok 1822 był rokiem decydującym w życiu obu olbrzymów: wówczas obaj wyszli w świat szeroki i stanęli na progu swego właściwego przeznaczenia. Pierwszy zbiorek poezyj młodego geniusza rozpoczął nową erę w literaturze polskiej, zapowiadając jej świetny rozkwit. Wyjazd w tymże czasie młodego kapłana do Petersburga, na stano-

wisko asesora Kolegium grecko-unickiego był decydującym w życiu przyszłego apostaty, przed którym otwierała się zawrotna karjera.

Rok następny — 1823, jakby stwierdził i zadokumentował to, że obaj olbrzymi wyszli na przeznaczone drogi: jednemu wyznaczył celę więzienną w klasztorze bazylianów, drugiemu dał godność kanonika i, co za tem idzie, lepszą możność walki z bazylianami, co też i wyzyskał Siemaszko w tymże roku w procesie arcybiskupa Krassowskiego.

I oto dwaj wychowankowie Uniwersytetu Wileńskiego wyszli na drogi, którymi mieli iść przez całe życie. Tułaczkę na wygnaniu dla jednego, coraz większe zaszczyty dla drugiego — przyniosły następne lata. Aż nadszedł r. 1827 — rok znamienitych dzieł literackich: w końcu tego roku został wykończony „Konrad Wallenrod”, w tymże czasie car otrzymał przez ministra Szyszkowa „zapiskę” prałata Siemaszki, który podał plan zlikwidowania Unji, przyjmując na się rolę Konrada Wallenroda... Car się ucieszył szczerze; napisał „miłościwie” do Szyszkowa kartkę, której kilka zdań utrwaliło się w pamięci uszczęśliwionego prałata:

„Z wielką przyjemnością czytałem memoriał, złożony przez pana... Cieszę się bardzo, iż posiadamy takie narzędzie... Proszę mu powiedzieć o tem i wyrazić moje zadowolenie”...⁴

Jaki los spotkał „Konrada Wallenroda” — wiemy. Żywy Konrad Wallenrod, który 5. XI. 1827 r. złożył swój memoriał, 6. XII. tegoż roku otrzymał krzyż, wysadzany brylantami i 100 rb. miesięcznie „stołowych” za „wyjątkowe zdolności, gorliwość i nieskazitelną prawdość”.

I oto mija jeszcze przeszło rok. W kwietniu r. 1829 podpisuje car nominację Siemaszki na biskupa wikarego; w maju otrzymuje młody biskup 1000 rb. na wydatki, związane z nowym stanowiskiem. W maju też wyjeżdża pewien tułacz zagranicę... Przed jednym i drugim otwierają się nowe drogi; pewne etapy już są odbyte...

Nowy etap nastąpi po czterech latach. Przez ten czas przeżyje poeta najstraszniejsze chwile mąk i zwątpień i najwznioślejsze momenty natchnień. Przypomni sobie poeta ciemne mury celi bazylikańskiej, które były świadkami jego chrztu bojowego i które nietylko ozdobiły jego czoło wieńcem cierniowym, lecz w ręce włożyły buławę hetmańską wodza walczącego narodu, — więc rzuci narodowi zuchwałe „Dziady” i krwią pisane „Księgi Pielgrzymstwa”, aż wreszcie stanie wobec dalekiej drogi w znaczeniu ścisłym i przenośnym.

W r. 1833 ucieknie poeta myślą na Litwę ukochaną i, mając już wykończone 4 księgi „Pana Tadeusza”, wyjedzie do Szwajcarii, aby się zaopiekować umierającym St. Gorczyńskim.

W tym samym czasie ktoś inny będzie wyjeżdżał z Petersburga do stron, o których marzył poeta. 35 letni biskup Litewski Józef Siemaszko będzie wyjeżdżał do Nowogródzyny, do Żyrowic pod Słanimem, gdzie będzie w przeciągu dwunastu lat miał stałą siedzibę.

„Tak nas powrócisz cudem na Ojczyzny łono”...

Nie szukajmy dalszej analogji. Łatwo wpaść w przesadę i zacząć wyolbrzymiać znaczenie pewnych dat, mających jakikolwiek wpływ na losy dwóch wychowanków Almae Matris Vilnensis.. Zresztą te wspólne daty etapów życiowych tych dwóch ludzi, chociaż są bardzo ciekawe, nie stanowią jednak zjawiska tak zadziwiającego, jak obecność dwu potężnych prądów, posiadających biegunowo spreczny kierunek, które jednak wyszły z tych samych murów. Dziwny, niezbadany „zbieg okoliczności” kazał dwu Polakom stanąć przy jednym źródle, zaczerpnąć zeń sił i w świat pójść drogami różnemi...

Zresztą, czy można zadowolić się tem określeniem: „zbieg okoliczności”, bo przecież nie chodzi tylko o podobieństwo pewnych faktów, lub bliskość w czasie faktów sprecznych. Nie... W gmatwaniu dziwnych sprzeczności i zawikłań wyraźnie zarysowuje się jakaś przepiętna walka Ormuzda z Arymanem. Duch Jasny całą przyszłość Narodu, jego wolność, szczęście i honor — złożył i schował głęboko w gorących sercach młodzieży akademickiej Wilna; tym, którzy posiadali czyste dusze, lecz słabe dziecięce ręce, kazał myśleć o walce o niepodległość; tym, których otaczała zgnilizna gnuśniejącego społeczeństwa i łotrostwo przekupnych władz, — kazał walczyć o ratowanie ducha narodowego od wszelkich zatruc; tym, których od serca Polski oddzielały granice, kazał stać na straży nierozzerwalności węzłów narodowych.

Duch Ciemny, czując niebezpieczeństwo, najstraszniejszej użył broni: za suknię kapłańską się schował i słowa tych, którym nie wierzyć nikt się nie ośmiewał, — zatruchił jadem szyderstwa i niewiary... A największemu z tych kapłanów kazał wyrzec się ojca, i dziada, i pradziada swego, i ojczyzny swej, i wiary praojcowskiej, a gdy to zrobił — dał mu „rząd dusz”, aby miliony oderwał od rzeszy narodowej i zmusił je do zapomnienia wiary i wolności. I kazał jeszcze rozpocząć walkę z tym, co stał na brzegu przeciwnym...

I oto ten, co nadewszystko ukochał kraj swój rodzinny, młodzieńcem będąc, poszedł na tułaczkę, przez piekło zgryzot, mąk i cierpień przeszedł, aż umarł gdzieś daleko, na ziemi obcej, podwójnie obcej...

A ten, co nienawiść szaloną do ziemi niegdyś rodzinnej, do ludzi, niegdyś bliskich w sercu swem miał, ten, co „mai r. 1818” napisał piękny „List do Przyjaciela, w którym dołączona jest rozmowa dowodząca, że obyczaje i mowa Ojczysta pierwszym celem Edukacyi bydz powinny”, a w uniwersyteckim kościele św. Jana ładnie mówił „o szczęśliwości doczesney i wieczney”, — ten szedł zawrotną drogą od zaszczytów do zaszczytów i na znienawidzonej ziemi panem i władcą był, a gdy umarł, car potężny zasmucił się bardzo...

A gdy jeden rzucał wieszczę słowa o miłości i braterstwie Polaków i do ofiar wielkich wzywał i wytrwałości żądał, drugi wyrzekał się wszystkiego, co od praojców otrzymał i innych do zdrady namawiał, nienawiść zaszczepiał. I jeden i drugi samotni byli, choć tyśiące za sobą prowadzili.

Triumf Arymana zdawało się być kompletny: setki tysięcy ludzi zmieniały wiarę prastarą, aby nową... lekceważyć i zaniedbywać, zwarte szeregi wrogów pewnym krokiem weszły do chwiejącego się, osaczonego ze wszystkich stron obozu polskiego; sprawa Ormuzda, który niegdyś rzucił na szalę krew i dusze najlepszej młodzieży, została przegrana haniebnie...

Tytaniczni samotnicy prowadzili jednak nadal zażartą walkę: jeden, już jako duch, sprzymierzeńców szukał w sercach szlachetnych i szyki formował do walki decydującej, — drugi, potężny, lecz znienawidzony przez zdradzonych i nie mający zaufania wśród tych, dla których zdradzał, — myślał już nie o zwycięstwie, które miał, lecz o zemście za krzywdy... niedoznane...⁵

Aż wreszcie stał się cud. Znowu się zjawił nieśmiertelny i tajemniczy „zbieg okoliczności” i kazał, by z grobu powstała Ta, której wolną nie oglądali dwaj olbrzymi...

I ten, który przedtem był na ziemię ojczystą wrócił, nie miał już granic, dzielących go od kątów najbliższych, najukochańszych... A ten, co na ziemi tej jako władca umarł, znalazł się nagle na ziemi cudzej.

I oto role się zmieniły. Zatriumfował ten, który klęski ponosił; tułacz samotny wśród swoich i bliskich się znalazł; władzę wieczystą nad Narodem objął ten, który się modlił o rząd dusz!...

A dawny triumfator — w niepamięci... Sam został... Jedyną po nim pamiątką pozostały ponure legendy oraz tysiące i tysiące tych, którzy nic nie wiedzą o tak niedawnej przeszłości, którzy nie pamiętają rozterki, walk duchowych i męczarni swych dziadów i... tych krzyży brylantowych na piersiach swych arcypasterzy!...

T E S T A M E N T S I E M A S Z K I

Gdyby kto mógł zebrać wszystkie modlitwy, szeptane w Ostrej Bramie; gdyby kto mógł posłyszeć bicie milionów serc, z których każde miało cudowną chwilę ekstazy, kiedy krew, здавало się, opuszczała je, żeby nagle uderzyć mocną, szalejącą falą; gdyby kto zebrał wszystkie łzy, wylane przed świętym wizerunkiem: od tych okropnych, beznadziejnych, śmierć w sobie mających, do łez najczystszych, radosnych, pełnych śmiechu; gdyby kto mógł zmierzyć wszystek ból, co szarem widmem rozsiadł się naokoło i całą radość bezbrzeżną, która z niego się zrodziła; gdyby kto dokonał tego, mógłby napisać cudowną księgę o drodze czyścowej duszy ludzkiej i o szczytach zawrotnych, których ta dusza może osiągnąć!..

Lecz gdyby kto — człowiek czy szatan — zebrał całe plugastwo ludzkie, nikczemność i ohydę, szczególnie potworne w blaskach świętości: gdyby kto pokazał otchłań nędzy, która w człowieku nie ma granic, ni dna — mógłby stworzyć straszliwy obraz upadku człowieka, upadku sromotnego i haniebnego.

Wielkie świętości jak słońce: oślepiają najsłabsze oczy, mącą najniedołężniejszy rozum.

I oto mamy — żołdackie cięcia lub kule w desce obrazu (w desce! bo ktoś tak pragnie widzieć deskę, tylko deskę!); i oto mamy spór zawiły, trwały, pełen fałszerstw i wykrętów, mający na celu udowodnienie, iż obraz należy nie do tych, co najgorliwiej przed nim się modlili, lecz do tych, co posiadali większą siłę, lub większy i bezczelniejszy mają tupet; i oto mamy hołdy najdziksze, graniczące z handlem świętością: wizerunki święte nad brudnymi szpaltami nędznych dzienników politycznych...

Możnaby było przytoczyć tysiące przykładów głupoty, barbarzyństwa i bestjalstwa ludzkiego, lecz w długiej i tragicznej martyrologii obrazów świętych wogóle, obrazu zaś Ostrobramskiego w szczególności, próżno będziemy szukali drugiego wypadku, kiedy najwyższy kapłan chrześcijański chciał użyć obraz św. za narzędzie zemsty, kiedy,

godząc w najszlachetniejsze i najświętsze uczucia gorliwych czcicieli Królowej Korony Polskiej, myślał o znieważeniu obrazu zapomocą... umieszczenia go w świątyni chrześcijańskiej, co prawda obok wątpliwych relikwii wątpliwych męczenników.¹

A taki potworny zamach miał miejsce w dziejach obrazu Matki Boskiej Ostrobramskiej; opowiada o tem ze szczerą dumą twórca tego pomysłu, metropolita prawosławny Józef Siemaszko. W jego wspomnieniach, dotyczących r. 1860, znajdujemy taką relację:²

„W lecie bieżącego roku wykryto w naszym kraju znamienny buntowniczy ruch, przyniesiony do nas z Polski. Mieszkiałem wówczas w trynopolskim zamiejskim domu, w zupełnej samotności. Wszystkiego można się było spodziewać. Ale byłem wcale spokojny i spędziłem w Trynopolu całe lato, aż do października, nie zachowując żadnych ostrożności. Tylko 1 czerwca oddałem na przechowanie do klasztoru św. Ducha swój testament oraz pieniądze. Tego samego dnia napisałem niżej podany list do Cesarza i złożyłem na przechowanie razem z testamentem, nadpisując na kopercie „*Uzupełnienie testamentu*”.

„Już mija dziesięć lat, jakem przygotował sobie grób pod relikwiami świętych męczenników Wileńskich w znajdującym się pod moim zarządem klasztorze św. Ducha. Śmierć nie jest mi straszna, nierzadkie były te chwile, kiedy spotkałbym ją, jako dobrodziejstwo. Byłaby dla mnie nawet szczęściem, gdyby była wynikiem i zadokumentowaniem świętego dzieła, którego narzędziem dano mi było stać się. Szczęście to nie jest wykluczone dla mnie i podczas obecnych rozruchów i niepokoju. Jeżeli przyjdzie mi ucierpieć za dobrą sprawę, proszę najpokorniej, aby Wasza Imperatorska Mość raczył zachować o mnie dobre wspomnienie i rozkazał: zwłoki moje pochować w przygotowanym przeze mnie grobie, a w celu jedyne go odwetu ku pamięci winnych zawiesić Ostrobramski (niegdyś rosyjski) obraz Matki Boskiej nad carskimi wrotami głównego ołtarza w klasztornej cerkwi św. Ducha; niechaj dwie wileńskie relikwie uświęcają i ozdabiają ten święty przybytek”.

„Mam nadzieję, iż prośba moja nie będzie odrzucona. Ośmielam się przypuszczać, iż mam do tego pewne prawa ze względu na zasługi moje dla Cerkwi i Ojczyzny i z tego względu, że przewidywany wypadek stanie się prawdopodobnie z winy rządu”.

„Informowałem Waszą Cesarską Mość o miejscowych stosunkach, uważając to za swój obowiązek. Miałem nadzieję, iż będą przedsięwzięte pewne środki. Zamiast tego jednak, już od szeregu lat są wspierane i utrwalane innoplemieńczość i innowierstwo, a osłabia się element rosyjski. Jeżeli się poddał okolicznościom i stałem się wreszcie niemyim świadkiem tego kierunku, stało się to wskutek mego wiernopoddanego przywiązania do swego Cesarza. Sądząc ze wszystkiego, przypuszczałem, że kierunek ten został nadany zgodnie z wolą Waszej Cesarskiej Mości w celu doświadczenia, czy nie da się zdobyć serc tubylczych mieszkańców zapomocą miłości i wspaniałomyślności”.

Siemaszko dodał później wymowny komentarz do tego testamentu:

„Widać, jak silne było we mnie powołanie do służby Cerkwi prawosławnej. Służyłem jej przez całe życie — pragnąłem być pożytecznym i po śmierci”...

My nie będziemy komentować...

BOHATERZY I TRIUMFATORZY

Znakomity uczeń Litewskiego prawosławnego seminarjum w Wilnie, profesor Akademii Duchownej w Petersburgu, gorliwy badacz dziejów Unii kościelnej — Michał Kojałowicz, pisząc nekrolog arcybiskupa połockiego Łużyńskiego, nazwał go bohaterem. Wyrazem „bohater” szafować nie wypada, zawiera on zbyt poważną treść i obowiązuje każdego, kto go używa. Profesor Kojałowicz, jako człowiek nauki, przyzwyczajony do ścisłości i uzasadniania twierdzeń, podaje w sposób przekonujący aż dwa bohaterskie czyny słynnego likwidatora Unii. Czytamy więc:

„W r. 1838 ś. p. arcybiskup objechał prawie całą swą diecezję, rozrzuconą po guberniach witebskiej, mohylewskiej, mińskiej i wołyńskiej, i sam zbierał zobowiązania przyjęcia prawosławia. Bohaterstwo jego polega nie na wysiłku fizycznym i nawet nie na sposobie zbierania podpisów, lecz na tem, że on śmiało rozjeżdżał jak w kraju nieprzyjacielskim, gdzie ledwie nie w każdej miejscowości groziło mu niebezpieczeństwo śmierci...”

„Drugie bohaterstwo. W r. 1839, gdy zjazd biskupów unickich postanowił przyłączyć się do prawosławia, uchwalono nie ogłaszać publicznie tej decyzji, a dawać do odczytywania tylko najbadziej prawomyślnym z pośród duchowieństwa. Obawiano się wówczas rozruchów i te płonne obawy były podtrzymywane przez ludzi świeckich, czyli właściwie — Polaków. Do gubernji witebskiej pchnięty został pułk kozaków, którzy wszędzie rozpowszechniali pogłoski, że za nimi idzie jeszcze dwanaście pułków kozackich. Bazyli (Łużyński) postanowił ominąć rozkaz i podczas nabożeństwa w sobornej cerkwi kazał uroczyście odczytać ukaz o podporządkowaniu Kolegium unickiego św. Synodowi”...¹

Oto są dwa najszczytniejsze, najwznioślejsze, gdyż bohaterskie czyny arcybiskupa Łużyńskiego, który żył bezmała cały wiek... (1787—1879). Nie będziemy zastanawiać się nad tem długim życiem, które opromieniały tylko te dwa bohaterstwa, nie można jednak nie przy-

pomnieć dumnego napisu na medalu, wybitym na pamiątkę zlikwidowania Unji: „Ottorgnutyje nasilijem, wozsojedinieny lubowju” — „oderwani przemocą, miłością złączeni”. Dziwna była ta miłość, dla której bodźcem były plotki o pułkach kozackich i której głoszenie narażało na niebezpieczeństwo! Ponuro wyglądało takie apostołowanie. Jednak w słowach rosyjskiego historyka nie tak wiele jest przesady: czyny Łużyńskiego, jeżeli nawet i nie były bohaterskie, to wymagały pewnej odwagi i bardzo zdecydowanej postawy. Likwidacja Unji, która była przygotowywana od szeregu lat, postępowała naprzód powoli i z wielką ostrożnością. O właściwych zamiarach kierowników Kościoła unickiego oprócz głównego inicjatora zlikwidowania Unji — Józefa Siemaszki wiedzieli tylko najbliżsi jego współpracownicy: Łużyński i Zubko, którzy mitry biskupie otrzymali za cenę bezwzględного posłuszeństwa Siemaszce. Oprócz tej trójki o nowym kierunku pracy duszpasterskiej byli poinformowani tylko wyżsi dygnitarze kościoła; ogół zaś księży dowiedział się w ostatniej prawie chwili, natomiast wielkie rzesze ludu unickiego nie tylko nie były poinformowane o niczym, ale z rozmysłem trzymane w nieświadomości, aby nie wywołać rozruchów.

Łużyński pisze o tem z rozbijającą szczerością:

„Lud (chłopi pańszczyźniani) był w zależności od ziemian wyznania rzymsko-katolickiego; on nic nie wiedział o naszych zamiarach, dążeniach i czynach; do przejścia na prawosławie był on z wielką ostrożnością przygotowywany przez parochów zapomocą pogadanek, przekonywujących go o tem, że t. zw. wiara grecko-unicka jest dawna grecko-wschodnia, różniąca się od rzymskiej dogmatami i obrzędami, i przeciwnie — niczem się nie różniąca od prawosławnej, wskutek czego i powinna się nazywać prawosławną, czyli wiarą prawdziwą; — ale o połączeniu go z Cerkwią prawosławną rosyjską nie robiło się nawet napomknięcia”... ²

Postępowanie takie było zupełnie konsekwentne, a wskutek tego słuszne z pewnego punktu widzenia: biskupom unickim, likwidującym swój Kościół, bynajmniej nie chodziło o zbawienie dusz ich owczarni; argumenty, przemawiające za Cerkwią prawosławną, tak mało wspólnego miały z dziedziną ducha; pobudki zaś likwidatorów były tak niekapłańskie, że ich stosunek do miljonowej rzeszy unitów mógł być i był tylko stosunkiem gracza do pionków szachowych. Któżby się pytał o przekonania pionków? Któżby się liczył z ich wiarą, z ich uczuciem: lud tworzył masy, imponujące pod względem statystycznym,

więc jedynie o tę statystykę, o ilość „nawróconych dusz” chodziło apostołom prawosławia w w. XIX. Jak najwięcej krzyżyków na podaniach z prośbą o przyjęcie na łono Cerkwi prawosławnej, jak najwięcej zer w cyfrach, świadczących o triumfie prawosławia, — to cel jedyne, najwyższy, upragniony! Bo przecież te „własnoręczne” krzyżyki tak łatwo się zamieniają w krzyże i gwiazdy, zdobiące dostojne piersi, a te zera, które tyle znaczą w dumnych raportach, cóż znaczą w życiu? Czy może coś czuć czy myśleć ciemny, upokorzony lud, któremu należy wskazywać drogę, jaką ma iść, który trzeba prowadzić, nie szukając jego zgody i licząc się tylko z możliwością nagłej, brutalnej opozycji. Stąd — bierność, bezwład ludu jest stanem pożądanym, w którym celowo go utrzymywano. A skutek był ten, że lud, podstępnie oddany pod opiekę Cerkwi prawosławnej, zupełnie się zdezorientował, stał się prawie bezwyznaniowym, nie wiedział nawet dobrze, jaką on oficjalnie wyznaje religję. Generał-gubernator witebski, mohylewski i smoleński w raporcie swym do cara z dn. 20. I. 1855 r., czyli w szesnaście lat po likwidacji Unji, tak scharakteryzował religijne uświadomienie ludności:

„Większa część chłopów nie tylko nie umie żadnego pacierza, ale nawet na pytanie, jakiej jest wiary, odpowiada: nowej, tłumacząc się dalej: dawniej byliśmy wiary polskiej, a teraz, zdaje się, ruskiej”...³

Przy takim stosunku arcybiskupa do swej owczarni czyny Łużyńskiego nabierają pozoru bohaterstwa. Rzeczywiście trzeba było posiadać sporo odwagi, żeby rozjeżdżać wśród ludu, świadomie okłamywanego i mogącego wybuchnąć gniewem ślepym, nierozumnym, rozpaczonym, i zdolnego w ten sposób zareagować na zdradę; — trzeba było również nielada zręczności, aby „przekonać” parochów o konieczności naśladowania czynów biskupa. Łużyński, jak stwierdza Kojalowicz, był ogólnie nie lubiany; jeszcze będąc profesorem Seminarjum Głównego w Wilnie, wyrobił sobie słuszną opinię człowieka próżnego, karierowicza, nie przebiegającego w środkach, kapłana z wyglądu tylko. Pracą w charakterze biskupa sufragana przy metropolicie Bułhaku, a szczególnie później — jako biskup połocki opinię tę utwierdził, żyjąc w stałej niezgodzie z najbliższymi współpracownikami. Nie cieszył się ani zaufaniem, ani szacunkiem księży i sam nie miał do nikogo ani zaufania, ani szacunku, węsząc wszędzie intrygi i opór. Opozycja rzeczywiście istniała i to dość mocna. Bazą było seminarjum duchowne w Połocku, którego rektorem był doktor św. teologii Mi-

chał Szelepin. Właśnie rektor Szelepin (który pod wpływem Siemaszki nagle się „nawrócił”), inspektor ks. Adam Tomkowid i prof. Benedykt Kopecki (którzy nie ulegli i zostali zdegradowani i zesłani do klasztorów w głąb Rosji) wytworzyli grupę, koło której skoncentrowały się jednostki lepsze. Do tych księży profesorów przyłączył się asesor konsystorza ks. Jan Ihnatowicz, który razem z ks. Tomkowidem stanął na czele całego ruchu opozycyjnego. Na ręce tych dwóch księży stu jedenastu parochów złożyło w r. 1838 najpoddąszą prośbę na imię cara o pozostawienie im wolności sumienia i niezmuszanie do przejścia na prawosławie, skutkiem czego ściągnęli ci parochowie na siebie straszne kary. Sam Siemaszko zaopiekował się tą sprawą: co czwartego pozbawił godności kapłańskiej, dwunastu księży przeniósł do własnej diecezji Litewskiej na stanowiska służby kościelnej „przy rozsądnych proboszczach”, ośmiu wtrącił do klasztornych więzień, pięciu zesłał do klasztorów w głąb Rosji, resztę zaś, po dwóch, po trzech („aby nie dopuścić do stworzenia znowu większej bandy opornych”) wzywano do Połocka na serdeczne pogawędki. Krnąbrnych aresztowywano niezwłocznie i, nie pozwalając nawet pożegnać się z rodziną i uporządkować swych spraw, wywożono do klasztorów...⁴

W tych warunkach praca Łużyńskiego nie należała do przyjemnych i spokojnych, o „bohaterstwo” zaś było nietrudno. I oto bohaterski biskup dokonał drugiego wiekopomnego czynu: ogłosił wszem wobec, wbrew zakazom Synodu, zarządzenie o likwidacji Kolegium unickiego. Pułkownik Protasow, ówczesny ober-prokurator św. Synodu, przesyłając biskupom unickim ukaz Synodu, zatwierdzający akt likwidacji Unji, sporządzony przez dostojników Kościoła unickiego w Połocku 12.II. 1839 r., zaznaczył, że ten ukaz trzeba uważać za ściśle poufny, nie nadający się do ogłoszenia publicznego, a nawet do przechowywania w kancelarii konsystorza. Duchowieństwo unickie miało się z nim zaznajamiać stopniowo, przyczem do odczytania trzeba było dawać go tylko zdecydowanym zwolennikom prawosławia, którzyby trzymali treść w tajemnicy przed innymi księżmi. Udzielając biskupom takich wskazówek, ober-prokurator wykazał zrozumienie sytuacji i sposobu nawracania unitów: wiedział mianowicie, że prąd likwidacyjny ogarnął tylko same szczyty hierarchii kościelnej unickiej, że szersze masy duchowieństwa mogą być nastrojone opozycyjnie (zbyt świeża była sprawa 111 księży), że wreszcie nikt się nie pytał o zdanie setek tysięcy unitów świeckich. Dlatego też zgóry zalecana była dalsza

falszywa gra, powoli oplątująca całe duchowieństwo i obezwładniająca rzesze wiernych.

Łużyński zdobył się na krok zdecydowany i nie usłuchał hr. Protasowa; pobudki jednak, skłaniające go do tego czynu, nie były tak bohaterskie i wzniosłe, jak to mu przypisują późniejsi biografowie. Nie uniesienie religijne i zapał apostołski odegrały tu rolę, — tylko świadomość możliwej katastrofy, skonstatowanie kruchości podstaw, na jakich budował gmach Cerkwi prawosławnej na kresach Polski. Przedłużanie fałszywej gry było bardzo niebezpieczne, gdyż masy ludu mogły się dowiedzieć o zamierzonej likwidacji Kościoła (w fakt dokonany niktby nie uwierzył bez urzędowego ogłoszenia), a więc zrodziłaby się opozycja, z którą walczyć byłoby zbyt trudno. Łużyński sam stwierdza, że przestraszył się ewentualnych skutków zatajenia prawdy:

„Ziemianie, panowie ludu, oraz urzędnicy rzymscy katolicy, korzystając z zalecanej przez rząd tajemnicy, dotyczącej dokonanego połączenia Kościołów, zapomocą intryg i przewrotności zmusiliby go (t. j. lud) do zniechęcenia swych kapłanów, którychby nie wpuścili do kościołów, a może zrobiliby im coś jeszcze gorszego”...⁵

Łużyński był dobrze świadom wartości ideowej nowego prądu oraz zalet moralnych nowych, w tajemnicy nawróconych na prawosławie parochów unickich, więc wolał hazardowną stawkę, niż dłuższą grę, chociażby zapomocą kart własnej fabrykacji. Przekreślił więc na urzędowym papierze wyrazy: „ściśle poufne” i „nie oddawać do konsystorza” i kazał sekretarzowi konsystorza, niejakiemu Tarnawskiemu odczytać ukaz podczas uroczystego nabożeństwa w dn. 9.IV. 1839, w Połocku, w kościele katedralnym św. Zofji. Krok był bądź co bądź dość ryzykowny, tem bardziej, że tego dnia odbywał się w Połocku zjazd szlachty, a więc w kościele miało być sporo modlących się. Bohaterski biskup nie czuł się zanadto dobrze, bo w przeddzień udał się do dyrektora korpusu kadetów, Rosjanina, gen. Pawła Chwoszczyńskiego, którego poinformował o swoich zamiarach. Generał wlot zrozumiał powagę sytuacji i, licząc się z możliwością głośnych protestów w kościele, podał plan strategiczny nieskomplikowany, lecz skuteczny. Oto kazał wszystkim sztabowym i młodszym oficerom, a także wszystkim starszym kadetom stawić się do kościoła i mieć czujne oko na wszystko, co tam się będzie działo.

W podobny sposób dopomógł biskupowi i wojenny naczelnik, pułk. Agatonow, który przyszedł do kościoła z podwładnymi mu ofi-

cerami. Bohaterski biskup i nie mniej bohaterscy wojskowi rosyjscy nie mieli jednak sposobności do zademonstrowania swej odwagi i waleczności: modlący się byli zaskoczeni modlitwą za Synod prawosławny, niektóre kobiety nie mogły się powstrzymać od łez, mężczyźni, nie wierząc własnym uszom, przysunęli się bliżej do ołtarza (co przeraziło biskupa i wywołało ruch wśród wojskowych), lecz później stali, zachowując głuche, ponure milczenie.

Biskup zwyciężył. Zaprosił więc na śniadanie dzielnych oficerów — Rosjan oraz urzędników, wśród których większość stanowili katolicy, opowiedział o dokonanej likwidacji Kościoła unickiego, pokazał już otrzymany medal pamiątkowy z tak wymownym napisem: „złączeni miłością”, lecz nie zatrzymywał się długo nad temi sprawami i kazał, aby „zostały podane przekąski, później — wino szampańskie, które rozweseliło serce każdego z obecnych”...⁶

Fakt zlikwidowania Unji został ogłoszony publicznie, wszedł w życie, zatriumfował...

W pałacu biskupim lał się szampan, rozweselając urzędnicze serca, które nie powinny były wiedzieć, że gdzie indziej leje się nie szampan, ale krew i łzy...

Dwa główne czyny Łużyńskiego: zbieranie podpisów na zobowiązaniach przejścia na prawosławie oraz publiczne ogłoszenie ukazu likwidacyjnego — zdobyły mu imię bohatera, ale to zaszczytne miano nie zaspakajało ambicji dumnego dostojnika Cerkwi prawosławnej i sięgał on wciąż po laur najwyższy: po godność głównego likwidatora Unji. Nie mógł Łużyński pogodzić się z tem, że jego podrzędna rola w dziele likwidacji Unji jest znana wszystkim, chciał zapomnieć, że na stolicy biskupiej zasiadł z łaski Siemaszki, który, zajmując przez pewien czas stanowisko równorzędne, wydawał mu jednak rozkazy i rządził w diecezji białoruskiej z taką swobodą, jak u siebie w litewskiej. Wspomnienia swe pisze Łużyński w znacznym stopniu w celu autoapoteozy i już we wstępie zaznacza, że „nie bez zdziwienia, bólu i smutku czytał niedawno w prasie, iż dzieło połączenia unitów z prawosławnymi przypisuje się biskupowi litewskiemu Siemaszce”. W imię więc prawdy historycznej prostuje fakty, twierdząc, że Siemaszko na gruncie Białej Rusi nic nie zrobił: „tutaj doprawdy wszystko jest owocem moich trudów, które ponosiłem w celu połączenia, będąc jedynym tej sprawy rzecznikiem”.⁷

Sława Siemaszki nie daje spokoju ambitnemu starcowi, który pi-

sze swe wspomnienia, dźwigając już ósmy krzyżyk. Ograniczając działalność Siemaszki do diecezji litewskiej, chce Łużyński wydrzeć mu za usługę inicjatywy zlikwidowania Unji, w tym celu, nie mogąc się przeciwstawić Siemaszce, wspomina dwóch unickich biskupów, którzy działali w końcu w. XVIII i w pierwszych latach XIX: Irakjusza Odroważ-Lisowskiego oraz jego następcę Jana Jastrzębca-Krassowskiego.

Wskazanie na tych biskupów jest niezwykle charakterystyczne dla działacza prawosławnego, ex-unity. Idea połączenia Kościołów unickiego z prawosławnym, która, jak każda idea, musiała mieć swych szczerych apostołów, nigdy nie miała wśród jednostek czołowych—ludzi bez skazy, nigdy nie porywała kapłanów. Likwidatorzy Unji tyle tylko mieli w sobie kapłańskiego, że piastowali godności duchowne lub ubierali się odpowiednio; z ducha zaś i czynów byli to ludzie zdecydowanie świeccy, niewiele sobie robiący z subtelności dogmatycznych lub obrzędów kościelnych; dokonywując zaś jakichkolwiek bądź śmiałych posunięć, liczyli się ze wszystkim i wszystkimi oprócz własnego Kościoła i współwyznawców. Sprawy sumienia ludzkiego dla nich jakby nie istniały, lub przynajmniej odgrywały rolę minimalną. Z tem większym patosem, iście po laicku deklamowali o duszy, idei, ofiarach, świętej służbie i t. p., nie porywając nikogo i nie przekonując nawet naiwnych.

Złożenie przez Łużyńskiego laurów (wydartych Siemaszce) biskupom Lisowskiemu i Krassowskiemu, jako inicjatorom likwidacji Unji, dowodzi, że nawet cofając się wstecz, apostołów prawosławia trzeba szukać tylko wpośród najbardziej przygodnych kapłanów. Lisowski i Krassowski nigdy nie myśleli o zlikwidowaniu Kościoła unickiego; robili pewne posunięcia rusofilskie, ale wyłącznie z pobudek egoistycznych, pragnąc wzmocnić swoją pozycję w walce z bazylianami i szukając nieraz sprzymierzeńców wśród prawosławnych.⁸ Lisowski wysunął się na czoło Kościoła unickiego po rozbiorach Polski, kiedy ówczesny arcybiskup połocki, witebski i mściśławski Jason Smogorzewski odmówił złożenia przysięgi na wierność carowej Katarzynie i wyjechał do Warszawy. Lisowski nie miał takich skrupułów i chętnie przyjął wakujące stanowisko, ale już będąc arcybiskupem, więcej czasu poświęcał mechanice i wyszukiwaniom źródeł leczniczych, niż sprawom kościelnym. Sam własnoręcznie zrobił zegary, które zostały zawieszone w Połocku na wieży klasztoru Onufrejskiego i na kościele św. Zofji. Pod Połockiem oraz w Borkowszczyźnie badał źródła mi-

neralne, gdy zaś w Borkowszczyźnie znalazł źródła siarczane i żelazne, zaczął budować baseny, wanny, hotele i t. p. Był to niezły organizator, choć człowiek bez woli i nie posiadający wybitnej siły intelektualnej, ale jako głowa Kościoła pozostawiał wiele do życzenia. Obojętny na sprawy religijne, niedołączy, — przez palce patrzył on na próby „nawracania” unitów, dokonywane przez popów przy pomocy władz rosyjskich. Za jego to czasów szlachta mińska poruszyła sprawę gwałtów nad duszami ludzkimi w memorjale do cara Pawła, skutkiem czego wykryły się wcale szpetne działania duchowieństwa prawosławnego. Poddający się wpływowi obcych, a szczególnie — ministra oświaty i wyznań religijnych ks. A. Golicyna, zgodził się Lisowski być powolnem narzędziem w ręku rządu rosyjskiego, odbył dyplomatyczno-demonstracyjną pielgrzymkę do Jerozolimy, ale w rezultacie przyczynił się tylko do wzmocnienia katolicyzmu rzymskiego, gdyż unici, widząc, iż stają się przedmiotem targów i intryg, zaczęli całemi parafjami przyjmować obrządek łaciński i w ciągu kilku lat na rzecz Kościoła łacińskiego Unję porzuciło około 100.000 osób.

Metropolita Lisowski nie był więc czynnym i świadomym likwidatorem Unji; nie mógł nim być już chociażby dlatego, że sprawy Kościoła niewiele go obchodziły, kariery większej zrobić nie mógł, ideą żadną, chociażby opaczną, nie kierował się, pragnąc tylko świętego spokoju.

Niektórzy historycy rosyjscy przesadnie apoteozują czyny Lisowskiego, dopatrując się w nich wyrazu świadomych tendencji likwidatorskich. Łużyński zaś szczególnie przesadza pod tym względem, ale zabiegi te mogą być usprawiedliwione i zrozumiane, ponieważ Lisowski bądź co bądź był człowiekiem poważnym. Gorzej się przedstawia sprawa z Krassowskim, drugim pra-likwidatorem Unji.

Apoteozowanie Krassowskiego nie przynosi najmniejszego zaszczytu jego panegirystom i rzuca ponure światło na ideowość apostołów połączenia dwóch greckich Kościołów. Krassowski, jak stwierdza Siemaszko, był nałogowym pijakiem.⁹ Gwałtowny, niepomahowany, brutalny i bezwzględny — był Krassowski postrachem swej arcydiecezji. Ulegając straszemu nałogowi, często miewał on okresy zupełnego rozpasania instynktów i postępował jak szaleniec. Podwładnych mu księży terroryzował w sposób okrutny, używając w ojcowskich z nimi pogawędkach takich argumentów, jak kańczug o pięciu końcach. Chłopów za byle przewinienie zakuwał w kajdany i morzył

głodem, należących zaś do majątków kościelnych gnębił w sposób okrutny, a często sprzedawał ich obywatelom, zatrzymując gotówkę sobie. Taka pasterska działalność arcybiskupa spotkała się z opozycją najbardziej niezależnej części duchowieństwa unickiego, jaką byli bazylijanie. Przystępstwa chorego dostojnika Kościoła były tak jaskrawe i niewątpliwe, że musiano zwołać sąd biskupi pod przewodnictwem metropolity Bułhaka. Sąd ten, jak wiemy, uznał zarzuty za słuszne i zawiesił Krassowskiego w czynnościach.

Wówczas uderzono na alarm, węsząc intrygę bazyljanów, których narzędziem miał być minister Golicyn. W obronie Krassowskiego wystąpił Siemaszko, składając votum separatum i pociągając za sobą (już po ogłoszeniu wyroku) Markiewicza. Krassowskiego przedstawiono jako ofiarę intryg bazyljańskich. Nie mogąc obalić dowiedzionych przestępstw Krassowskiego, Siemaszko i Markiewicz bardzo pięknie tłumaczą czyny nałogowca, dopatrując się w nich pobudek najszlachetniejszych. Tak karanie parochów więzieniem było dla nich przyjemnością, gdyż korzystali oni z obszernego, jasnego i ciepłego pokoju w apartamentach arcybiskupa („tylko lud prosty nazywał to więzieniem”), „zajmowali się czytaniem duchownych ksiąg, słuchali odpowiednich nauk ze strony wyznaczonych do tego osób, odbywali konferencje oraz uczęszczali z kandydatami do stanu duchownego na lekcje teologii moralnej a także na codzienne nabożeństwa”.¹⁰ Przywiązywanie parochów do łańcucha również było zbawiennym środkiem dydaktyczno-leczniczym, gdyż używał go Krassowski tylko w stosunku do nałogowych pijaków, cierpiących na delirium tremens; ale wówczas więzień korzystał z opieki lekarskiej i wszelkich wygod. Nawet zakucie w kajdany nie miało w sobie nic zdrożnego zdaniem obrońców Krassowskiego.

Krassowski po długich zabiegach Siemaszki został na rozkaz cara uniewinniony, otrzymał biskupstwo łuckie, lecz umarł, nie doczekawszy się radosnej chwili zlikwidowania Unji; zresztą nie bardzo go to wzruszyło, gdyż w ostatnich latach rozpił się ostatecznie i sprawami Kościoła nie zajmował się wcale. A jednak historycy rosyjscy z wdzięcznością wspominają tego „męczennika” (tak go nazywa Łużyński), ofiarę intryg „polsko-szlachecko-bazyljańsko-ultramontańskich”, stawiając go obok Lisowskiego i dopatrując się w ich czynach akcji likwidatorskiej. Odrobina prawdy w tem jest: obaj dostojnicy niewątpliwie przyczynili się do upadku Kościoła unickiego

już dlatego, że poderwali autorytet godności arcybiskupiej, dali gorzący przykład wysoce niestosownego zachowywania się na stanowiskach najwyższych. Upadek Kościoła unickiego był spowodowany jego wewnętrznym rozkładem; ci zaś dwaj arcypasterze rzetelnie się przyczynili do rozpowszechnienia moralnej gangreny.

Łużyński, apoteozując w swych pamiętnikach działalność poprzedników, ma wyraźny cel: obniżenie zasług Siemaszki, a wskutek tego—wywyższenie siebie samego. Wspomnienia swe kończy wyrażeniem nadziei, że czytelnik po zapoznaniu się z podanym materiałem, oceni należycie jego zasługi i pomodli się za tego, który tyle się napracował dla świętej Cerkwi prawosławnej i Rosji.

Rzecz ciekawa: to samo dążenie do zerwania wawrzynów z czoła triumfującego Siemaszki brzmi we wspomnieniach drugiego wybitnego likwidatora—Zubki. Ale Zubko nigdy nie posiadał nawet tak pozornej samodzielności, jak Łużyński: był tylko sufraganiem przy Siemaszce, a później — po likwidacji Unji dostał arcybiskupstwo mińskie, na którym utrzymał się zaledwie lat ośm i zmuszony był jako „nienadający się do rządzenia djecezją“, osiąść w zacisznym klasztorze w Pożajściu, koło Kowna. Zubko w stopniu może jeszcze większym, niż Łużyński, starał się podnieść powagę swej roli i zaćmić swą gorliwość czyny Siemaszki. Usunięty od rządów djecezją, przez dłuższy czas siedział spokojnie, nie mając pola do popisu i tylko z upadkiem powstania styczniowego ożywił się i dał znać o sobie, jako inicjator dzieła stokroć większego, niż to, którego dokonał Siemaszko. Chciał mianowicie ni mniej, ni więcej — jak zlikwidować Kościół katolicki w Rosji. W tym celu zaczął w r. 1864 korespondować z Murawjowym, zachęcając go do misji apostolskiej. Wystąpił już z gotowym planem. Miał zamiar założyć w Mińsku „bractwo“, któreby „rozpowszechniało przekonanie o konieczności samodzielnego i prawosławia, jako podstawy mocy, jedności i siły Rosji“. Mając taką bazę w Mińsku, chciał zapomniany arcybiskup rozpocząć wielkie dzieło likwidacji Kościoła rzymskiego. Tłumaczy się pięknie, przekonująco:

„Już prawie od czterdziestu lat odczuwam potrzebę zniszczenia dla dobra naszego kraju tutejszego polskiego elementu, którego bezgraniczna nienawiść do wszystkiego, co jest rosyjskie, rozdmuchiwana przez fanatyczne dążenie do wszechświatowej teokracji, zrodziła wiele złego tak za rządów polskich, jak i za rosyjskich... Wierzyłem i wierzę

w możliwość zlikwidowania u nas katolicyzmu spokojnie, bez przelewu krwi — i że obecnie okoliczności sprzyjają temu“... ¹¹

Plan apostołowania, jaki podaje zasłużony prawosławny arcybiskup w liście do katedry Litwy, jest w swych zasadach uderzająco podobny do planu, podług którego z rozkazu Siemaszki działał sam przed ćwierćwieczem: fałsz i terror są jego podstawami, jak również — straszliwe lekceważenie głosu ludzkich sumień i jakieś bezbrzeżnie naiwne i potworne w ustach kapłana przekonanie, że szersze masy muszą się tylko zastosowywać do rozkazów zgóry i że te życzenia władz zastąpią w zupełności wiarę i pragnienie setek tysięcy ludzi... Piszę tak:

„Chłopi, kierowani szczerą wdzięcznością za wyzwolenie od pańszczyzny, chętnieby się przyłączyli do prawosławia, gdyby się dowiedzieli, że tego dla ich dobra pragną cesarz i „bat’ka“ Murawjew“...

Oto—całe zagadnienie. Miliony katolików chętnie opuszczają swój Kościół, jeżeli się dowiedzą, że tego życzą sobie ich dobroczyńcy... O ten drobiazg tylko chodził.. Tak przynajmniej sądzi były unicki ksiądz, pochodzący z powiatu lepelskiego i znający dobrze swój kraj. Ale jakże zmieniły się czasy! Kiedy likwidowano Unję, działano (bo to była jedyna droga!) przez księży: tylko księży, jako cieszący się bezwzględne zaufaniem ludu, mogli pociągnąć ze sobą milionowe rzesze, chociażby nawet w tym kierunku, w jakim niewieluby się odważyło pójść samodzielnie. Po dwudziestu pięciu latach pracy misyjnej popów prawosławnych — ex-unitów stosunki się zmieniły. Arcybiskup prawosławny dobrze wiedział, że obecnie między duchowieństwem katolickim a prawosławnym jest przepaść nie do przebycia, że lud ma wyrobioną opinię o popach, że każdy ich krok będzie komentowany opacznie, w każdym posunięciu będą się dopatrywać ukrytej intencji zysku i kariery. Nie chce więc Zubko, aby „wola“ cara i bat’ki Murawjewa była oznajmiona ludowi przez popów:

„Gdyby o tem powiedzieli im (t. j. chłopom) duchowni prawosławni, oni by pomyśleli, iż popi sami nie wiedzą o tej woli, ale pragną tylko zwiększenia swych parafij, lecz uwierzyliby, gdyby im powiedział jakiś wyższy urzędnik razem z rozjemcą ziemskim,—i zgodziliby się chętnie stać prawosławnymi po szczerem (sic!) wyjaśnieniu:—że papież rozżłościł się na cara i rozniecili bunt za to, że wy jesteście wyzwoleni z ich niewoli, księży, zgodnie trzymając stronę

papieży, podburzali nawet chłopów, a nawet stali na czele niektórych buntowniczych band, dlatego też oni i panowie popadli w niełaskę cara“... ¹²

Takich apostoelskich instrukcyj udzielał arcykapłan prawosławny, angażując Murawjewa do świętej misji krzewienia prawosławia na ziemiach, obficie krwią świeżą zroszonych. Ale nawet Murawjew nie usłuchał rad likwidatora Unji, więc rozgoryczony Zubko zamilkł znowu, rozmyślając o przewrotnościach losu i gryząc się coraz wzrastającą potęgą i sławą swego dawnego kolegi — straszego metropolity, który i po śmierci (um. w r. 1868) zdawało się wciąż panować w przełękem Wilnie.

Jak silne było uczucie zazdrości w stosunku do rozgłosu Siemaszki, dowodzi list, pisany, raczej dyktowany przez Zubkę prawie przed samą śmiercią, bo 26.I. 1889 r. (um. 15.II. 1889) do jednego ze swych przyjaciół. W jednym z ustępów tego listu próbuje Zubko zerwać wawrzyn z czoła głównego likwidatora Unji, a ponieważ niema godniejszych kandydatów do włożenia wieńca triumfatora, przeto umierający starzec wkłada go na głowę... cara Mikołaja I-go!.. O tym nieoczekiwanym likwidatorze Unji, o którym coprawda i Siemaszko wypowiada bardzo przychylny, choć zdawkowy sąd, pisze Zubko tak:

„Teraz jakby z pozagrobowego życia odkryję wam tajemnicę. Ani metropolita Józef, ani ja, ani nikt inny, tylko Pan Bóg wysłał Anioła pokoju, jasnego przewodnika w osobie imperatora Mikołaja I; on był głównym sprawcą powrotu unitów na łono Cerkwi prawosławnej. Unici czuli miłość i zaufanie do pomazańców Bożych i do matki — Cerkwi prawosławnej, ale pod jarzmem łacinizmu zdziczełi, schamieli, zatracili poczucie godności osobistej i do takiego stopnia czuli się niegodnymi, że nawet nie marzyli, aby kto o nich wspomniał i nie oczekiwali łaski cesarskiej i serdeczności Cerkwi prawosławnej. Wszystko w nich od lat młodzieńczych było zakute w prostackie poglądy i zakryto ciemną zasłoną despotyzmu papieżstwa. Ale gdy pomazaniec Boży otworzył swe kochające serce i przytulił do swej bohaterskiej piersi prawie dzikich i powiedział, że my jesteśmy jego drogiemi dziećmi, bliskimi jego sercu, potwierdzając swoją przemowę jasnym orlem spojrzeniem i czułym uśmiechem dobrego ojca, — w tejże chwili myśmy się odrodzili: zasłona kłamstwa, fałszu i intryg spadła nam z oczu; jego spojrzenie oświeciło nas, a serce, oddawna zbolełe wskutek niepewności, zrozumiało ten kochający ojcowski uśmiech,

odczuło szczęśliwą chwilę i wszyscyśmy, ogrzani carskiem słowem, rzucili się do niego z zaufaniem i miłością, a matka-Cerkiew prawosławna, którą nam od dzieciństwa przedstawiano, jako surową, bezlitosną, karzącą, — przyjęła nas miłośnie: ani jednego wyrzutu, ani napomknięcia o naszym zbłądzeniu... Wszystko opowiedzieliśmy naszym braciom i dzieło połączenia unitów dokonało się właściwie dzięki natchnieniu Bożemu i troskom Mikołaja I. Więc jakaż moja zasługa?" ¹³

Piękną sielankę zarysowuje umierający arcybiskup, jeden z „dzikich”, oświeconych przez dobrotliwego cara, ale tendencja, zmierzająca do załatwienia porachunków z Siemaszką, jest zbyt wyraźna. Chce być pierwszym w ponurem dziele zmiążdżenia Kościoła unitkiego, więc posługuje się świadomym kłamstwem, a przed samą śmiercią nie zapomina o pięknej pozie. Do jednego z przyjaciół mówi:

„Ja się nie boję śmierci i gotów jestem stanąć przed sądem Bożym. Powiem Panu: — Boże, nie sądź mnie jako człowieka, bom grzesznik!.. ale sądź mnie jak Rosjanina!” ¹⁴

Nie rozumie tragicznej śmieszności swego powiedzenia, w którym przeciwstawia Rosjanina człowiekowi; pragnie, aby Pan Bóg na sądzie ostatecznym nie uważał arcykapłana za człowieka, byle nie minęła nagroda za rosyjskie czyny niefortunnego bohatera!

Wszystkie wysiłki współpracowników Siemaszki, zmierzające do zerwania mu z czoła lauru głównego bohatera, spełzły na niczem. Siemaszce należy się godność bohatera. Był on jednostką pod każdym względem wyjątkową. Warto tylko posłuchać, co on sam mówi o sobie z istic kapłańską skromnością:

„Wyróżniałem się z pomiędzy braci moralnością i pracowitością... Mocne przekonania i poczucie sprawiedliwości — nie opuszczały mnie we wszystkich sprawach... Miałem w sobie coś stoickiego... Dla mnie myśli starożytnych: pereat mundus, fiat justitia, — albo: si totus illabatur mundus, impavidum ferient ruinae — nie były czczemi frazesami... Miałem jakiś wrodzony wstręt do przewrotności... Byłem milczący, gdy zachodziła potrzeba, ale nigdy nie używałem podstępów, nigdy nie oszukałem, nigdy nie brałem udziału w żadnych intrygach... Sprawiedliwość była we mnie jakby wrodzona”...

Nawet zewnętrznie wyróżniał się Siemaszko:

„Posiadałem dość miłą powierzchowność i byłem gładki w obcowaniu”...

Więcej jeszcze: samo urodzenie przyszłego likwidatora Unji wskazywało na zjawienie się męża opatrnościowego:

„Urodziłem się we wsi Pawłówce, pow. lipowieckiego, gub. kijowskiej, 25 grudnia 1798 r., gdy dzwoniono na jutrznię. Ten fakt przypominał się, gdy się dokonało przyłączenie unitów. Ojciec mój, który przedtem o niczem nie wiedział (sic!), rzekł: „Chyba nie przypadkowo urodził się on tegoż dnia, co i Chrystus... prawda powinna być po jego stronie” — i uległ Cerkwi prawosławnej”... ¹⁵

Tak wyjątkowy człowiek, już samem urodzeniem szczytnie odznaczony z pośród milionów ludzi, pochodził z dobrej, choć zubożałej polskiej kresowej szlachty, pieczętującej się herbem Syrokomla. Dziad przyszłego metropolity był skromnym parochem unickim, pozbawionym przez rząd rosyjski parafji w okresie pierwszych prób stopniowego likwidowania Unji na Podolu i Wołyniu za panowania Katarzyny II. Nie uległ jednak przymusowi i pozostał wierny Unji. ¹⁶ Jego syn, a ojciec bohatera, nieodrazu poszedł w ślady swego ojca. Po skończeniu czterech klas szkoły w Winnicy osiadł na roli, korzystając z gruntu, ofiarowanego mu przez ks. Sanguszkę, wojewodę wołyńskiego, handlował wołami i jeździł z furmankami na Krym po sól i na Don po rybę. W r. 1807, kiedy Rosja ogłosiła mobilizację celem prowadzenia wojny z Turcją, Józef Siemaszko — ojciec został mianowany pięciosetnikiem, ale jakoś uniknął tego zaszczytu i nie stał się wojskowym. W r. 1811 niedoszły kapitan zdecydował się przyjąć święcenia kapłańskie, a ponieważ nie otrzymał parafji unickiej, przeto objął stanowisko wikariusza przy kościele łacińskim w m. Ilińcach, później zaś pod presją rządu rosyjskiego opuścił kościół i zorganizował kapliczkę unicką we własnym domu. Dzieci swe (pięciu synów i córkę) wychowywał paroch jak przystało na bardzo drobną szlachtę: zaprawiał od maleństwa do trudów i niewygód, nie rozpieszczał i nie pobłażał. Przyszły metropolita, będąc chłopcem, pomagał ojcu w pracy na roli, pasał bydło i t. p. Wykształcenie początkowe odebrał on minimalne: nauczycielem był „djaczek” cerkiewny, niejaki Boczkowski, niegdyś wychowaniec szkół jezuickich, który nauczył chłopca trochę czytać i pisać, a przede wszystkim — śpiewać w cerkwi. Stąd właśnie zaczerpnął przyszły likwidator Unji znajomość cerkwi prawosławnej.

Po skończeniu szkoły w Niemirowie, wstąpił Siemaszko w r. 1816 do odnowionego po wojnie francuskiej Seminarjum Głównego przy

Uniwersytecie Wileńskim. O latach uniwersyteckich Siemaszki nie wiele wiemy. To, co opowiada on sam w swych pamiętnikach, nie może być przyjmowane bezkrytycznie, tem bardziej, że on sam przeczy sobie, raz mówiąc o dobroczynnem rusyfikatorskiem oddziaływaniu na niego Uniwersytetu Wileńskiego, innym znów razem stwierdzając, że mimowoli ulegał wpływom polskiego patriotyzmu. To ostatnie jest prawdopodobniejsze, jeżeli uprzytomnimy sobie, w jakim czasie studjował Siemaszko (1816—20) i jakie wówczas nurtowały prądy wśród młodzieży akademickiej. Ale pomimo to opuścił Siemaszko uniwersytet, nie wynosząc ani głębszych przeżyć, ani szlachetniejszej ideologii.

Nie będziemy obecnie zastanawiali się nad szczegółami biograficznymi oraz nad wszystkimi przejawami walki Siemaszki z katolicyzmem i polskością, zwrócimy uwagę tylko na momenty główniejsze i jaskrawsze.¹⁷

W postępowaniu Siemaszki uderza jakiś szalony, jakby rozpaczny ruch naprzód. Od pierwszego swego wystąpienia, od złożenia w r. 1827 carowi Mikołajowi memorjału w sprawie zlikwidowania Kościoła unickiego, zaczyna on zdecydowanie palić za sobą mosty, angażując się coraz bardziej i oddając się na usługi rządu rosyjskiego bez żadnych zastrzeżeń. Odrazu rozpoczyna hazardowną grę. Wie, że w razie niepowodzenia rząd odrzuci usługę, lecz niepożyteczną jednostkę zdrajcy własnego Kościoła — i to dodaje mu siły i wytrwałości. Choć bardzo pochlebnie charakteryzuje siebie samego, jako człowieka wyjątkowo prawego, prowadzi w pierwszym okresie grę fałszywą, kryjąc się wobec najbliższego otoczenia ze swemi zamiarami i świadomie okłamując jednostki mu potrzebne, lecz jeszcze niebardzo pewne.

Bardzo charakterystyczny pod tym względem był stosunek Siemaszki do swego ojca, starego parocha. Kiedy w r. 1828 dotarły do Kijowszczyzny pierwsze wieści o niewyraźnem postępowaniu Siemaszki, którego imię zaczęto łączyć z akcją schizmatycką, stary Siemaszko napisał długi list do syna. Mówił on w tym liście o „potwarzach”, rzucanych na obiecującego prałata, o nieprzyjemnościach, jakie sama z tej racji, o strasznej niepewności, trapiącej go. Tem bardziej się ucieszył on po otrzymaniu długo oczekiwanego listu od syna.

„Płakałem, czytając go, widząc z niego najszczerzą prawdę dla dobra naszego Kościoła, czernioną przez zajadłych nieprzyjaciół — były to łzy radości ze smutkiem zmieszane. Takimi to myślami ja

dziś trulem myśli moje, gdy w tym momencie przysłał mi szanowny nasz komisarz Filipowski Nr. 130 Gazety Wileńskiej, w którym opisano solenne odkrycie naszego Seminarjum Żyrowickiego, nie schizmy, jak oni roznoszą, lecz Greko-Słowiańskiego wyznania, zostającego w jedności z Kościołem rzymskim"...¹⁸

Kochający syn przejął się łzami starego ojca; otrzymany list przetłumaczył z polskiego na język rosyjski, uzupełnił komentarzami, wykazującemi dobitnie, iż stary Siemaszko jest ofiarą „łacinników”, — i taki elaborat złożył na ręce ministra Błudowa z prośbą o łaskawe otarcie łez staremu. Skutek był wspaniały: na mocy rozkazu cara otrzymał stary Siemaszko... dożywotnią pensję w wysokości rb. 600 sr. rocznie!... Wzorowy i troskliwy syn z dumą pisze w swych pamiętnikach:

„Rzecz godna uwagi, iż była to przez całe moje życie jedyna prośba osobista do władz zwierzchnich”...¹⁹

Z uzyskaniem mitry biskupiej (w 31 roku życia) nabiera Siemaszko większej pewności, a po objęciu diecezji Litewskiej (ma wówczas lat 35) rozpoczyna grę decydującą i coraz wyraźniejszą. Każę, np. już w r. 1834 nowym proboszczom, przy obejmowaniu stanowisk składać przysięgę na wierność nie papieżowi, jak było dotychczas, lecz... carowi i, wrywając Kościół unicki z „ucisku” Rzymu, oddaje pod rozkazy władcy Rosji, a raczej — faktycznego kierownika Cerkwi, ober-prokuratora św. Synodu, wówczas — pułkownika hr. Protasowa! Gdy później ten pułkownik awansuje na generała, nie zapomina Siemaszko wspomnieć o tem w liście do swego przyjaciela i pomocnika Zubki, ciesząc się z wysokiego odznaczenia omal nie głowy Cerkwi prawosławnej.

Obejmując diecezję, której stolicą były Żyrowice pod Słonimem, znalazł Siemaszko godnego pomocnika w osobie starego oficjała Tupalskiego, prezesa konsystorza, rządzącego diecezją od lat przeszło dwudziestu w zastępstwie niedołęznego metropolity Bułhaka. Tupalski znał nawyłot każdego parocha w diecezji, z jednostkami wybitniejszymi był nawet spokrewniony, — słowem, czuł się prawdziwym księciem udzielnym. Korzystając z wyjątkowo niezależnego stanowiska, zorganizował Tupalski system łapownictwa, nakładając daninę na każdego parocha przy byle okazji, przyczem, jako agentami posługiwał się wice-prezesami konsystorza. Siemaszko znalazł się w pewnym kłopotcie, gdy poznał żyrowickie stosunki, ale prędko rozwikłał sy-

tuację, zostawiając oficjała na dawnym stanowisku, lecz wyznaczając mu, jako rekompensatę za wyrzeczenie się łapówek, 1000 rb. sr. rocznie.²⁰

Ta piękna handlowa kombinacja widocznie niezupełnie przypadła do gustu sprytnemu „papie”, gdyż w korespondencji Siemaszki z r. 1835 znajdujemy wymowny poufny list jego do Tupalskiego z poleceniem niezwłocznego zwrotu „nieprawidłowo wziętych w różnych terminach z kasy seminarjum rb. 876, kop. 90 sr.”²¹ Nie wytrzymał „papa”...

Mając w Tupalskim posłuszne narzędzie, rozpoczął Siemaszko intensywną pracę nad likwidacją Kościoła, opanowując przede wszystkim jednostki kierownicze: cały konsystorz i zarząd seminarjum duchownego. Żadnej opozycji tu nie spotkał: nikt się nie zdobył na protest, biernie się poddając biegowi wypadków, kierowanych żelazną ręką energicznego biskupa. Z protestem spotkał się Siemaszko tylko na prowincji: wśród kleru (w stopniu mniejszym) i wśród ludności (w stopniu znaczniejszym).

Ale z taką opozycją łatwo było sobie dać radę zapomocą apostołów umundurowanych, a często i uzbrojonych!.. W powiecie dziśnieńskim, np. miał Siemaszko osobliwego pomocnika, radcę kolegjalnego Mielnikowa, dla którego prosił o order św. Anny II stopnia za „nawrócenie” na łono Cerkwi przeszło 5000 katolików!..²² Czy trzeba mówić o tem, jakich argumentów używał pan radca, aby osiągnąć tak wspaniałe rezultaty?

Podobnych pomocników miał Siemaszko poddostatkiem. Gorzej się przedstawiała sprawa z pomocnikami bardziej powołanymi: z popami. „Nawrócony” kler nie był dostatecznie pewny; nowi popi z miejscowej ludności: byli nauczyciele wiejscy, niedoszli seminarzyści, najdrobniejsi niegdyś urzędnicy lub dawna służba kościelna — popi, których kwalifikacje zaczynały się i kończyły na solennem przyrzeczeniu golenia brody i noszenia „riasy”, — ci popi byli tylko marjonetkami; sprowadzenie popów z centralnej Rosji nie dało dobrych rezultatów. Przysłani z Rosji popi-Rosjanie byli tak dobrani i stali moralnie na takiej wysokości, że biskup ledwie mógł się ich pozbyć i doszedł do przekonania, że sprowadzeni z Rosji apostołowie prawosławia „oprócz szkody mogliby tylko narobić... świństw!..²³ Metropolita moskiewski Filaret szczerze się przyznawał wobec Siemaszki, że nie ma wcale uczciwych i poważnych popów i że sam ma straszliwy kłopot z obsadzaniem stanowisk w swej metropolji.

Ta sytuacja zmuszała Siemaszkę do bardzo łagodnego kwalifikowania kandydatów na popów i do otaczania się jednostkami o przeszłości niewyraźnej. Bardzo ciekawy przykład tego mamy w stosunku do byłego księdza-dominikanina Bonawentury Turczyńskiego, który był w swoim czasie karany za defraudację pieniędzy, stanowiących własność biskupa Lipskiego oraz za ucieczkę z klasztoru. Ten zacny kapłan zaawansował u Siemaszki na urzędnika konsystorza, gdyż nagle odrodził się moralnie. Siemaszko tak pisał o nim do władz:

„Ja osobiście zauważyłem jego gorliwość, pilność i zdolności i przypuszczam, że będzie on pożytecznym urzędnikiem w konsystorzu. Charakter cnotliwy, albo przynajmniej poprawa, zostały stwierdzone piętnastomiesięczną próbą pod okiem władz diecezjalnych. Z drugiej strony uczucie ludzkości (sic!) nakazuje zaopiekować się człowiekiem, który szukał przytułku na łonie Cerkwi prawosławnej i który stale twierdzi, że przyczyną jego ucieczki z klasztoru był zamiar przyłączenia się do tej Cerkwi”... ²⁴

Przysparzając Cerkwi prawosławnej coraz więcej nowych adeptów, niekoniecznie olśniewających czystością swych dusz, a nawet i... rąk, walczył Siemaszko z wielkimi trudnościami i w łonie najbliższej swej rodziny. Znający rodzinę Siemaszków, duchowny prawosławny Aleksander Mackiewicz twierdzi, że stary Siemaszko stał się prawosławnym raczej tylko z imienia, że ślub Heleny Siemaszkówny z Wiktorem Homolickim, późniejszym protojerejem wileńskim, odbył się podług obrządku unickiego, że do brata Mikołaja nigdy nie ośmieilił się apostata pisać inaczej, niż po polsku etc. Pewne jest, że w rodzinie nie znalazł Siemaszko całkowitego uznania, a w bracie Janie, który był parochem unickim, miał zdecydowanego wroga. Ten Jan mawiał o swoim znakomitym bracie: „Przeklęty! i sam siebie potępił i naród zgubił!” — a kiedy pokazano mu portret Józefa, rzucił go wściekle i uciekł z pokoju. ²⁵

Podobnem uczuciem odpłacał swemu bratu potężny arcypasterz prawosławny. Gdy zameldowano mu o nieprawomyślności Jana, odpisał do gen. gubernatora Bibikowa, że Jan Siemaszko, chociaż ma zaledwie lat czterdzieści, lecz jest niespełna rozumu. ²⁶

I nie dał spokoju temu nierozumnemu bratu nawet po śmierci. Gdy, zgodnie z wolą księdza Jana, chciano go pochować na cmen-

tarzu katolickim, Siemaszko nie dopuścił do tego i popom, którzy „zdo-
byli” nieboszczyka, wyznaczył nagrody... pieniężne, ma się rozumieć!..

Nie tak łatwo więc odniósł zwycięstwo nad Kościołem unickim
Józef Siemaszko.

Znienawidzony przez tchórzliwie mu ulegających parochów-rene-
gatów, pogardzany przez Rosjan, pozostał on w ponurej samotności
aż do końca swego życia. Ale miał świadomość ogromu dokonanego
dzieła i... żądał coraz innych nagród i odznaczeń. Umiał wyzyskiwać
każdą sytuację i, wciąż narzekając na krzywdy, jakie mu się dzieją,
szedł naprzód po szczeblach hierarchji i zaszczytów.

Pięć razy groził dymisją, pięć razy stawiał sprawę na ostrzu
noża i zawsze wygrywał. Nie osiągnął coprawda tego, o czym
marzył, nie został metropolitą petersburskim, choć niejednokrotnie
wysuwano jego kandydaturę, ale zdobył jednak wszystko, co było
możliwe w jego warunkach. Pragnął jednak... sławy nieśmiertelnej.
I dlatego prosił o przeniesienie obrazu Matki Boskiej Ostrobramskiej
do cerkwi klasztoru prawosławnego, gdzie miał zawczasu przygoto-
wany grób, i dlatego przy otwarciu wileńskiego prawosławnego semi-
narjum duchownego w r. 1845, w przemówieniu do uczniów, jako na
wzór do naśladowania, wskazał na... siebie samego!..

Któż ze zwykłych śmiertelników może mieć takie poczucie swej
niezwykłej wielkości? Ze wszystkich bohaterów, likwidujących Unję,
Siemaszko sięgnął najdalej w zachłannem pragnieniu sławy i w apo-
teozowaniu siebie samego.

Czy wykazał tem świadomość swej wartości, czy dowiódł tylko
obłądnego dążenia do rozgłosu, bez względu na jego charakter, i do
zaszczytów, bez względu na ich źródło?..

Nie będziemy się nad tem zastanawiać i zamkniemy galerję ponu-
rych sylwetek głównych likwidatorów Unji kościelnej na wschodnich
ziemiach Rzeczypospolitej Polskiej.

JAK TO BYŁO W WILEJCE

Dzieje likwidacji Unji na ogromnym obszarze unickiej diecezji Litewskiej, obejmującej teren od Wilna aż do Wołynia i od Grodna do Mohylewa nad Dnieprem, — dzieje te nie są bogate w krwawe sceny rozpacznej walki unitów ze zbyt gorliwymi apostołami, przeważnie w mundurach policyjnych lub wojskowych, jak to było w ofiarnej Chełmszczyźnie, nie zaznaczyły się nawet większym ruchem protestu. Unja padła tu cicho, w jakimś ponurem milczeniu, tak, że obecnie rzadko kto wie, czem był na ziemiach wschodnich Rzplitej Kościół unicki i w jaki sposób tak prędko i tak gruntownie został zlikwidowany.

Podcięty u podstaw, runął Kościół unicki na Litwie, miażdżąc jednostki słabsze i szlachetniejsze. Sytuacja szeregowego parocha, cóż dopiero przeciętnego parafjanina, była wprost rozpaczliwa wobec powszechnej zdrady wiary ojców i wobec brutalnego przymusu ze strony arcypasterzy.

A jednak opór stawiano: beznadziejny, rozpaczliwy... Dziesiątki księży unickich poszły do monasterów rosyjskich na straszną poniewierkę, dziesiątki powędrowały gdzieś w głąb Rosji, inni suknię kapłańską porzucili, żeby móc pozostać przynajmniej uczciwymi ludźmi, jeżeli nie wolno być uczciwymi kapłanami.

Szare masy unitów również nie były całkiem bierne i bezczynne. Zdrada kapłanów dezorientowała, onieśmiała, demoralizowała i zniechęcała do walki; lecz tam, gdzie paroch nie ulegał odrazu rozkazom konsystorza, lub gdzie prawosławie było zaszczipiane przez duchownych prawosławnych, a tem bardziej przez policję lub kozaków, tam zawsze wytwarzały się rozruchy, walka uporczywa, zacięta trwała długo.

W wypadku pierwszym walka była zbyt utrudniona: konsystorz unicki niezwłocznie usuwał opornych księży, dawał do parafji „swego człowieka” i sprawa bywała prędko zlikwidowana.

Gorzej się powodziło prawosławnym, własnymi siłami zaszcze-

piającym wiarę prawosławną. Nawet w wypadku bezwzględnej siły po ich stronie (co było prawie zawsze), bezbronny, osaczony ze wszystkich stron lud unicki bronił swej wiary, chociażby tylko zapomocą zdecydowanego unikania cerkwi, bronił tak, że po wieloletnich wysiłkach zwycięzca konstatawał swą słabość, a często padał ofiarą niezwykle zagmatwanych stosunków.

Był przecież moment prawie w przeddzień ostatecznego zlikwidowania Unji (w końcu r. 1837), kiedy biskup unicki Siemaszko miał już zadać ostatni cios Unji, a kiedy gubernator miński tę Unję... krzewił!

Taka paradoksalna sytuacja wytworzyła się w Wilejce, której dzieje pod tym względem są bardzo pouczające.

Ludność Wilejki, wówczas powiatowego miasta gubernji mińskiej, składała się wyłącznie z łacinników i unitów, przyczem wielka ilość unitów przechodziła na obrządek rzymski, tak, że powiat wilejski pod tym względem zdecydowanie się wyróżniał z pośród innych. Przedstawiciele religji panującej poznano dopiero po powstaniu r. 1831, kiedy w Wilejce rozlokowano Szliselburski pułk jęgrów i założono maleńką drewnianą cerkiewkę. Popem pułkowym był Szymon Antonowicz, proboszczem cerkwi — Ignacy Niemszewicz.

Pierwszy nie mógł tak bardzo narzekać na swój los, gdyż, jako duchowny wojskowy, miał zapewniony kawałek chleba, natomiast drugiemu powodziło się znacznie gorzej, to też spoglądał on z uczuciem zazdrości na parocha unickiego Szelepin, który miał wcale okazałą, liczną i dość bogatą parafję. Nienajlepsze chyba były stosunki pomiędzy tymi proboszczami i, jeżeli nie dochodziło do starć, to może tylko dlatego, że Szelepin był człowiekiem starym i schorowanym, Niemszewicz zaś odznaczał się wielką rozważą i spokojem i czekał cierpliwie na ten czas, kiedy miłościwy Bóg udzieli strudzonemu parochowi wiecznego urlopu, dając honorowe probostwo w niebie, i kiedy w ten sposób przed duchownym prawosławnym zarysuje się piękna droga naprzód ku zaszczytom i bogactwu.

Cierpliwość popa Niemszewicza została wynagrodzona: 16 listopada 1834 r. wyzionął ducha paroch Szelepin, więc sprytny proboszcz porozumiał się z kim należało i już 23. XI wystosował poufne pismo Nr. 132 do arcybiskupa mińskiego i grodzieńskiego Nikanora, komunikując, że unici, nie mając po śmierci Szeleпина żadnego pasterza, chętnie przyjmą prawosławie, ku któremu oddawna już ciążą.

Arcybiskup nie marnował drogiego czasu: chciał kuć żelazo póki gorące, więc natychmiast, bo 3 grudnia wysłał dwa poufne listy, polecając różnym osobom opiekę nad świętą sprawą. List pierwszy był skierowany do gubernatora mińskiego z prośbą o wydanie zlecenia naczelnikowi policji wilejskiej, podpułkownikowi Czartoryskiemu, kapitanowi sprawnikowi Drobińskiemu oraz horodniczemu (burmistrzowi) Dziekońskiemu, aby zechcieli usuwać wszelkie przeszkody, które mogłyby zachwiać postanowienie obywateli, dążących do przejścia na prawosławie. Drugi list był adresowany do protojereja Jakóba Szymanowskiego, któremu arcybiskup polecał przeprowadzenie sprawy nawrócenia mieszczan wilejskich.

18 grudnia przybył do Wilejki delegat arcybiskupi, mając przy sobie asystę w celu podniesienia własnej powagi i zaznaczenia wielkości misji. Na życzenie delegata miejscowe władze spędziły ludność w celu wysłuchania apostołskiej nauki. Protojerej Szymanowski użył całej swej elokwencji, aby wytłumaczyć zebranym, że różnica między Kościołem unickim a Cerkwią prawosławną niema wcale, a więc... tylko Cerkiew jest jedynie nieomylną głosicielką i krzewicielką nauki Chrystusowej. Zebrani uważnie słuchali, uprzejmie się zgadzali z każdym słowem mińskiego protojereja, lecz kiedy on zażądał stanowczego oświadczenia zgody na przejście na prawosławie, nikt takiej deklaracji nie złożył...

Rozgoryczony na ciemny lud, na intrygi „panów”, na lekkomyślność Niemszewicza, na cały świat wreszcie, — po tygodniu daremnych wysiłków opuścił Szymanowski Wilejkę, nieczułą na przekonywające słowa o prawdzie prawosławia.

Kompromitacja, która spotkała Szymanowskiego, była wielka i dotkliwa, tem bardziej, że ośmieszała nietylko nieudolnego misjonarza, ale i to wyznanie, którego był niefortunnym apostołem.

Prawdopodobnie mieszkańcy Wilejki mieliby spokój przez dłuższy czas, gdyby nie energia i pomysłowość innego krzewiciela wiary prawosławnej, horodniczego Dziekońskiego. Ów przedstawiciel władzy miejskiej, obserwując wysiłki protojereja Szymanowskiego i nie podziеляjąc jego metod działania, postanowił działać inaczej, energiczniej i skuteczniej. To też 27 grudnia zademonstrował wspaniały triumf prawosławia w Wilejce. Korzystając z okresu świątecznego, a więc z większego skupienia modlących się, Dziekoński, mając do pomocy żołnierzy Szliselburskiego pułku, wdarł się podczas nabożeństwa do

kościół unickiego, rozpędził zebraną tam ludność, wyrzucił precz parocha, zamknął kościół, a klucz przekazał władzom pułkowym, którym zaproponował zabranie świątyni na cerkiew pułkową.

W Wilejce powstał popłoch wśród unitów i radość wielka wśród prawosławnych.

Gwałt był zbyt jaskrawy i brutalny, aby się dał ukryć,—trzeba więc było stworzyć jakiegokolwiek pozory dobrowolnego oddania kościoła unickiego przez samych unitów.

Dziekan unicki Konstanty Zabłocki niezwłocznie wysłał raport do Siemaszki, podając szczegóły zajścia; Siemaszko przesłał list Nr. 102 z 6.II. 1835 do wileńskiego wojennego gubernatora ks. Dołgorukowa z prośbą o zwrot kościoła, gdyż mieszkańcy Wilejki zostali pozbawieni jedynej świątyni, oraz o ukaranie gorliwego horodniczego.

Tymczasem bohaterski zdobywca kościoła apostołował dalej. Zapomocą żołnierzy spędzał Dziekoński do Wilejki chłopów z sąsiednich wiosek i, jak twierdził Zabłocki, poił ich wódką, w ten sposób demonstrując głęboką mądrość starożytniej maksymy—in vino veritas, bo ludzie nagle odzyskiwali wzrok duszy i poznawali światło prawdziwej wiary.

Znów został wezwany protojerej Szymanowski, który swą obecnością uświetnił wielką uroczystość przyjęcia pierwszych podań i deklaracji wierności nowej religji od świeżo-nawróconych unitów. Podanie i deklaracje zostały podpisane przez sześćdziesiąt osób. Wyraz „podpisane” trzeba przyjmować z pewnemi zastrzeżeniami, — oto na sześćdziesiąt osób pierwszych adeptów nowej religji, nie znalazło się ani jednego, któryby umiał podpisać swe nazwisko; co więcej: wszystkie dalsze podania również są znaczzone krzyżykami. Jakiś dziwny traf chciał, żeby dążenie do Cerkwi rosyjskiej zrodziło się wyłącznie wśród analfabetów, którzy, rzecz jeszcze dziwniejsza, podpisywali się potrójnemi krzyżykami w sposób tak uderzająco podobny, jakgdyby wszyscy ćwiczyli się przez dłuższy czas w celu ujednostajnienia rysunku krzyżyków. Ale odrzućmy wszelkie brzydkie wątpliwości; przecież autentyczność podpisów została urzędowo stwierdzona: zrobił to łaskawie wielce uprzejmy... pop Niemszewicz.

Redakcja podania, które posłużyło za wzór następnym, jest bardzo charakterystyczna i dowodzi wielkiej roztropności i talentu dyplomatycznego obywateli wilejskich z pod stu osiemdziesięciu krzyżyków. Oto przekład dosłowny:

„Do Najprzewielebniejszego Nikanora, arcybiskupa mińskiego i grodzieńskiego, kawalera orderów etc., mieszczan miasta Wilejki — uniżone podanie”.

„Przekonawszy się o prawdzie, zbawienności i zaletach wiary grecko-rosyjskiej, którą głosi nam protojerej mińskiego katedralnego soboru Jakób Szymanowski, starszy duchowny Szliselburskiego pułku jęgrów Szymon Antonowicz i wilejski proboszcz Ignacy Niemszewicz, którą gorliwie, energicznie, rozsądnie, przekonywująco, krótko i zbawiennie wpaja w nas zawsze troskliwy o nasze dobro wilejski horodniczy pan Jan, syn Romana, Dziekoński, oraz sekretarz zawsze przychylny tutejszej policji, Piotr Pontus, — oświadczamy nasze szczere życzenie powrócić wraz z rodzinami naszymi z cudzoziemskiego unickiego wyznania do miejscowej prawosławnej, przodków naszych grecko-rosyjskiej wiary i uniżenie prosimy Waszą Najprzewielebność o łaskawe wydanie odpowiednich zleceń celem urzeczywistnienia naszego pragnienia”.

Tak pisali do arcybiskupa mieszczenie z Wilejki; włościanie z wilejskiego rządowego starostwa pisali w sposób uderzająco podobny: „Przekonawszy się o czystości, prawdzie, świętości i zbawienności grecko-rosyjskiej Cerkwi, z którą nas zapoznali”... etc. bez zmian. Inne podania niewiele się różnią od poprzednich.

Działania pięciu wilejskich apostołów prawosławia były energiczne i skuteczne. Nowe owieczki otoczono jak najtroskliwszą opieką, pomyślano o usunięciu wszystkiego, coby mogło stać na przeszkodzie religijnej gorliwości świeżo nawróconych. A więc przedewszystkiem delegat arcybiskupa, protojerej Szymanowski pisze 16. II do swego przełożonego prośbę, aby się postarał o usunięcie z Wilejki drugiego parocha Sawickiego, jako wcale niepotrzebnego, oraz o zakaz parochom sąsiednich parafij udzielania jakichkolwiek posług prawosławnym. Wyraźnie zaznacza o co mu chodzi, prosząc o „wydanie rozporządzenia w celu obrony nowoprzyłączonych parafjan wilejskich przed kpinami i zarzutami, które na nich spadną za przyjęcie prawosławia”.

Po dwóch dniach, bo 18. II miński wice-gubernator Aleksy Siemienow wysyła list Nr. 3716 do wilejskiego horodniczego („apostoła”), polecając: 1) Zmusić parocha Sawickiego do niezwłocznego wyjazdu z Wilejki; 2) „Zważać, aby nikt z ludzi złej woli nie zaszczeniał w umysły prostaczków jakichkolwiek wątpliwości w celu zachwiania religji, dobrowolnie przez nich przyjętej, a z drugiej strony,

aby nie powstawały kpiny i zarzuty”; 3) Zobowiązać sąsiednich parochów, iż nie będą obsługiwać religijnie swych byłych parafjan i wszystkich wogóle, kogo nie znają dobrze i mają wątpliwości co do ich wyznania; 4) Polecieć dziekanowi unickiemu Zabłockiemu przekazać kościół i akta popowi Niemszewiczowi; 5) Przejąć również i kaplicę unicką na cmentarzu w Bilcewiczach. Zlecenia te wydawał miński wice-gubernator na własną rękę, nie pytając się konsystorza unickiego, który czuł się bezradnym wobec dokonywanych faktów.

Tymczasem Siemaszko, nie mogąc się doczekać odpowiedzi od generał-gubernatora Dołgorukowa, zwrócił się ze skargą na Dziekońskiego aż do ministra spraw wewnętrznych Błudowa (pismo Nr. 277, 26.IV 1835), ale już 5.V. tegoż roku (pismo Nr. 290) musiał przyznać rację wilejskim apostołom, mając tylko żal do Dziekońskiego.

„Obecnie wice-gubernator Siemienow komunikuje mi, że wilejscy parafjanie wyznania grecko-unickiego przeszli na prawosławie w ilości 223 domów i 2034 ludzi obojej płci. Ilość ta odpowiada ogólnej ilości parafjan wilejskiej grecko-katolickiej parafji, a więc na podstawie oświadczenia naczelnika gubernji o dokonaniem przyłączeniu unitów do prawosławia, uważam za obowiązek, zgodnie z żądaniem wice-gubernatora Siemienowa, przekazać formalnie prawosławnym władzom duchownym wilejski grecko-katolicki kościół, zabrany bezprawnie przez miejscowego horodniczego jeszcze przed faktycznem przejściem na prawosławie wszystkich parafjan”...

Stało się więc zadość życzeniom pana gubernatora, tem bardziej, że księża unicy otrzymali polecenie z konsystorza unickiego w Żyrowicach wykonać zlecenie władz, kościół i kaplicę niezwłocznie oddać prawosławnym, unikać obcowania z byłymi parafjanami, a i wogóle dobrze zważać, czy do kościołów nie zgłaszają się prawosławni.

W tym ostatnim wypadku niewszystko szło jak po maśle, bo nowi prawosławni w sposób dziwny i sprzeczny z dogmatami Kościołów łączyli wyznania, niewiele sobie robiąc z nowej swej roli. Nowy proboszcz, pop Niemszewicz nie mógł sobie dać rady i już 1. III w liście Nr. 29 zanosí skargę przed protojerejem Szymanowskim na swych parafjan.

„Wielu parafjan wilejskich — pisze on — a szczególnie kobiety, które ślubowały przystępować do komunji św. i spowiadać się u księży łacińskich — kilka razy na rok podczas odpustów, przedewszystkiem

w Miadziole i Budzie, czyli w Budzławiu, — postanowiły ślubu tego dokonywać i po przejściu na prawosławie”. Prosi więc Niemszewicz o interwencję.

Nieostrożna ta skarga wiele zaszkodziła Niemszewiczowi, gdyż protojerej Szymanowski zapalił się do walki z nienawistnym wrogiem, parę razy przyjeżdżał do Wilejki, pisał energiczne raporty, alarmował na wszystkie strony i robił taki ruch, że biedny Niemszewicz ścichł zupełnie i musiał tylko wciąż odpowiadać na groźne listy arcybiskupa, żądającego wykazów parafjan, którzy chodzą do spowiedzi do cerkwi.

Nim jednak powstał ten wielki ruch, zdążył Niemszewicz wysłać piękny raport (Nr. 48 — 12. III. 1835), meldując o nawróceniu w 214 domach 1056 „dusz” płci męskiej i 965 płci żeńskiej. Raport ten przesyła arcybiskup Nikanor do Nieczajewa, ober-prokuratora św. Synodu (Nr. 1430 — 13. IV. 1835) i już 20. V otrzymuje z Synodu (pismo Nr. 1947) carską podziękę: „Jego Cesarska Mość z przyjemnością przyjąć raczył tę wiadomość”.

Tymczasem Niemszewicz, nie wiedząc wówczas o wrażeniu, jakie zrobił jego list ze skargą na swych parafjan, postanawia ozdobić swe czoło zasłużonym wawrzynem i w sposób delikatny przedstawia arcybiskupowi rachuneczek za trudy apostolskie. W liście do arcybiskupa (Nr. 51 — 18. III. 1835) pisze, że wskutek wielkiego rozszerzenia się parafji protojerej Szymanowski ma dać mu do pomocy wikarego, ale we dwóch będzie ciężko pod względem materialnym i że w ten sposób będzie on pozbawiony „owoców pięcioletniego wysiłku w przyłączeniu do Cerkwi prawosławnej parafji wilejskiej”. Pyta się więc uprzejmie, czy nie mógłby liczyć, ze względu na swój wiek i słabe zdrowie, — na przeniesienie do innej parafji, — „do wygodniejszego miejsca, jakie się otwiera w Lidzie przy parafji i szkole”.

Nie udało się jednak Niemszewiczowi urządzić się w Lidzie, nie odpowiedziano mu nawet na ten raport, natomiast zjawił się do Wilejki Szymanowski, pełen energii i zapału — i zaczął działać.

Posypały się donosy, przesyłane przez arcybiskupa do gubernatora, a stamtąd do sprawnika...

Oto treść niektórych raportów protojereja Szymanowskiego:

23. III. 1835 r. Nr. 54 — donosi on, że włościanie ze wsi Bilcewicz Józef Szket i Grzegorz Gotówka nie chcą iść do spowiedzi do popa.

6. IV. 1835 r. Nr. 61 — skarży się na parocha z miasteczka Zarnocze Piekarskiego oraz buchaltera Sawickiego, którzy tłumaczyli chłopom, jakie następstwa pociągnie zerwanie z religją praojców i nawoływali do cofnięcia się.

25. IV. 1835 r. Nr. 71 — narzeka na księdza z Kurzeńca Starukutowicza, który wysyła swego wikariusza do Horodyszcz w celu odprawiania mszy w kaplicy cmentarnej (2 wiorsty od Wilejki), a robi to „jedynie poto, aby zdemoralizować i oderwać nowoprzyłączonych“.

15. VI. 1835 r. Nr. 96 — na podstawie słów chłopca z Wilejki Karpa Alfa melduje o straszliwej zbrodni parocha rzeckiego kościoła Gabrijela Szerbaszewicza, który przy spotkaniu się z chłopem ze wsi Zarzecze Żółtkiem powiedział pono, iż „wszystkich, którzy byli u nich (t. j. popów) u spowiedzi, będą wieszać!..“ Tegoż dnia — Nr. 99 denuncjuje nieznanego z nazwiska księdza, wikariusza kurzenieckiego, który na pogrzebie urzędnika Głębskiego miał ponownie święcić już święconą przez Niemszewicza wodę, mówiąc: „Jeżeli pop rosyjski ją święcił, to trzeba prześwięcić“...

Raporty Szymanowskiego zawsze odnosiły skutek: skarg jego słuchano uważnie, żądania wykonywano gorliwie. Trudności w tem nie było, gdyż główne zatargi były z unitami, porozumienie się zaś z konsystorzem unickim było więcej, niż łatwe. To też wiara prawosławna triumfowała, aczkolwiek nieszczęśliwy Niemszewicz wciąż nie mógł podać kompletnych wykazów nowych prawosławnych, którzy byli u spowiedzi. Już przestał nawet narzekać na krnąbrność swych parafjan, przeciwnie — staje w ich obronie, tłumacząc małą frekwencję na spowiedzi i w cerkwi.

27. III. 1835 r. Nr. 54 — pisze on do arcybiskupa, że chociaż niewszyscy jeszcze byli u spowiedzi, ale „ci, co nie dokonali jeszcze tego chrześcijańskiego obowiązku, przyrzekli chętnie go dokonać, lecz ze względu na nędzę i brak ubrania odkładają to na czas cieplejszy, t. j. wówczas, kiedy można będzie chodzić do cerkwi w letniem ubraniu“. A w lecie (26. VI. 1835 r. — Nr. 69) pisze znów, że ci, co nie byli dotychczas u spowiedzi, mieli potemu bardzo ważne przyczyny i załatwią to podczas postów letnich.

Były jednak jakieś inne, niż brak ubrania, choroby i wzmożona praca, przyczyny, które nie pozwalały obywatelom Wilejki stać się gorliwymi prawosławnymi, była raczej jedna przyczyna: brak pew-

ności każdego co do jego wyznania. Nie wiedzieli kim są ci, którzy niegdyś „podpisywali” prośby o przyjęcie na łono Cerkwi prawosławnej, nie wiedzieli parochowie, nie wiedział i proboszcz Niemszewicz, który jakoś nie mógł podać sprawdzonych spisów swych parafjan i rady dać nie mógł ze spowiedziami.

Zamęt, który się wytworzył, dotarł głośnem echem aż do gubernatora, który wystosował do arcybiskupa Nikanora pismo (Nr. 18187—14. VIII. 1835 r.) z prośbą o podanie dokładnych spisów prawosławnych, gdyż parochowie unicy skarżą się do swego konsystorza, bo nie wiedzą komu mogą, a komu nie mają prawa udzielać posług religijnych.

List gubernatora wywarł wielkie wrażenie. Zostało zwołane posiedzenie konsystorza prawosławnego (Protokół Nr. 11), które w dn. 26. VIII. 1835 r. na podstawie raportów horodniczego wilejskiego Dziekońskiego, członka sądu Poznańskiego, protojereja Szymanowskiego i popa Niemszewicza orzekło, że... cała parafia wilejska przyłączyła się do Cerkwi prawosławnej, że unitów w Wilejce i bliskich okolicach niema wcale i że skargi parochów dowodzą tylko ich złej woli i chęci intryg.

Urządowo został stwierdzony wspaniały triumf prawosławia.

Rok następny — 1836 przyniósł unitom wilejskim nowe prześladowania ze strony własnego konsystorza, który prowadził selekcję parochów i bardzo gorliwie badał ich prawomyślność. Za nieodpowiednich zostali wówczas uznani paroch Leśniewski z parafji Sitckiej i Klimontowicz — z Lembowskiej; obaj zostali usunięci i musieli aż do cara pisać, żeby pozostać na swych stanowiskach, naturalnie po „przeszkoleniu” w Żyrowicach.

Prawosławni w Wilejce w tym roku otrzymali wielki dowód łaski monarszej: pozwolił car na budowę nowej drewnianej na kamiennym fundamencie cerkwi na koszt rządu.

I mija jeszcze rok. Unja dogorywała, likwidowana zgóry. Już sędziwy dziekan wilejski Konstanty Zabłocki musiał w rok przed śmiercią (um. 31. VII. 1838 r.) nauczyć się na żądanie swego konsystorza pisać po rosyjsku; stał się „Zabłockij”, już coraz wyraźniej zarysowywał się bliski, a nieunikniony koniec.

Zdawałoby się, że młoda na gruncie wilejskim Cerkiew prawosławna nabierze szczególnych sił i rozkwitnie wspaniale wobec upadającego Kościoła unickiego; przecież początek „apostolstwa” był tak

efektowny, nawrócenie tak błyskawiczne, opieka zaś nad przyłączonymi do Cerkwi tak gorliwa i energiczna, że po dwu latach istnienia w Wilejce wielkiej parafji prawosławnej powinna była ta parafja stać się wzorem dla innych i naprawdę przewodzić w życiu duchowem.

Nie było jednak tak świetnie.

21.VI.1837 r. proboszcz nowozbudowanej cerkwi, tenże sam Niemszewicz (marzenia o Lidzie ziściły się dopiero w r. 1843) pisze do arcybiskupa skargę na naczelnika policji podpułkownika Szepelewa, który nie chce zmuszać parafjan do chodzenia do cerkwi, motywując to brakiem spisów prawosławnych. Oporni twierdzą, że są unitami i do cerkwi chodzić nie będą, a takich opornych „jest wiele”.

Po wspaniałym geście konsystorza prawosławnego, który jeszcze w r. 1835 stwierdził nieobecność unitów w Wilejce, jakże dziwnie brzmią słowa raportu niefortunnego krzewiciela wiary prawosławnej, proboszcza cerkwi, zbudowanej na pamiątkę triumfu prawosławia!

Sytuacja rzeczywiście była wcale przykra. Skonstatował to gubernator miński Dawydow, pisząc do arcybiskupa (23. XI. 1837 r. Nr. 20135) w ten sposób:

„Według posiadanych przeze mnie informacji większa część (sic!) parafjan byłej unickiej parochji wilejskiej, którzy w r. 1835 przeszli z Unji na prawosławie, nie bywają w cerkwi i nie chodzą do spowiedzi; znajdujący się zaś w okolicach księża unicy nie dopuszczają ich do spowiedzi ze względu na wyraźny zakaz, otrzymany przez nich; w ten sposób parafianie ci, pomimo wpajania zasad przez duchownego grecko-rosyjskiego, pozostają bez spowiedzi i wszelkich chrześcijańskich obrzędów”.

Spokojne słowa urzędowego pisma gubernatora zarysowują wyraźnie ponury obraz straszliwej rozterki duchowej i zdecydowanego upadku religijności wskutek zbyt gwałtownego i przymusowego przyłączenia unitów do Cerkwi panującej. Jest to stałe zjawisko w dziejach likwidacji Unji: najpierw borykanie się z losem, walka w granicach, na jakie pozwalają warunki, później — rezygnacja, zobojętnienie, a nawet lekceważenie religji wszelkich obrządków.

Opuszczeni przez swych pasterzy, jawnie zdradzających wiarę ojców, gwałceni przez władze, zmuszające do „zapisywania się” na prawosławie, tracili unicy bezpośrednią, naiwną i czystą wiarę, zaczęli traktować religję, jako czynność urzędową, jako środek do osiągnięcia pewnych przywilejów lub przynajmniej — gwarancję spokoju,

nie chodzili więc do cerkwi wcale, a jeśli szli, to z uczuciem zgoła innym, niż przedtem chodzili do kościołów unickich. Tak postępowała znaczna większość; mniejszość — energiczniejsza i duchowo wyrobiona długo się nie namyślała i prędko wybierała jedną z dwu stojących naprzeciw religij: zachodnią lub wschodnią.

Właściwie wybór dla głęboko wierzącego unity był jeden: Kościół łaciński. Dlatego też i w Wilejce ci unicy, którzy prędejsz się zorientowali w rozpaczliwej sytuacji i mocniejsze mieli przekonania, skorzystali z pewnego okresu — nie tolerancji, lecz raczej gapiostwa władzy i przeszli na obrządek łaciński.

O tem bardzo dobrze wiedział konsystorz grecko-unicki, który od r. 1836 prowadził sprawy z łacinnikami, wydzierając z łona Kościoła katolickiego byłych unitów. Właśnie w okresie największego triumfu prawosławia na gruncie wilejskim zażądano od dziekana Zabłockiego ścisłego imiennego wykazu wszystkich byłych unitów, którzy stali się łacinnikami. Gorliwi parochowie wykazali nie tylko tych, którzy przeszli na obrządek łaciński w r. 1835—36 (a takich była zdecydowana większość), lecz i tych, którzy dokonali tego wcześniej. Stąd ilość katolików łac. obrz. b. unitów jest w wykazie bardzo znaczna, a w porównaniu z ilością nawróconych na prawosławie — imponująca, bo mężczyzn — 2997, kobiet — 2289. Nie było prawie wcale parafji, z którejby choć kilkanaście osób nie przeszło na łaciński obrządek. Raport dziekana Zabłockiego (z dn. 27. IV 1836 r.—Nr. 193) podaje zestawienie łacinników — b. unitów podług gmin, dodając spisy imienne. Widzimy tam, że w parafji duniłowickiej takich łacinników było męż. 593, kob. 440, w krzywickiej — m. 367, k. 376, w norzyckiej — m. 367, k. 281, w kościeniewickiej — m. 279, k. 224, w hruzdowskiej — m. 176, k. 76, w miadziolskiej — m. 101, k. 61, w chożowskiej — m. 154, k. 89 etc. etc.

Mając o tem ścisłe informacje, gubernator Dawydow, nie wierzący bałamutnym, wykrętnym i sztucznie optymistycznym raportom konsystorza prawosławnego, zaczął działać na własną rękę, a mianowicie zmuszał łacinników, byłych unitów, do powrotu do Unji. W liście do arcybiskupa (Nr. 22848 — 15. XII. 1837 r.) zaznacza, że $\frac{3}{4}$ łacinników, b. unitów wróciło na łono swego właściwego Kościoła, reszta nie chce, lecz będzie zmuszona. Prosi jednak o pewne wskazówki, co do postępowania z tymi ponownymi unitami.

Wytworzyła się paradoksalna sytuacja, o charakterze prawie

komicznym, gdyby w grę nie wchodziły przeżywające mękę dusze ludzkie. Kościół unicki dogorywał i był likwidowany przez własnych biskupów; Cerkiew prawosławna triumfowała, głosząc uroczyscie o swych zwycięstwach, a jednocześnie dygnitarz państwa, Rosjanin z krwi i kości, zwiększał ilość wyznawców obrządku unickiego, wytwarzał konieczność zwiększenia ilości księży unickich, zorganizowania, ściślej — odrestaurowania parafij unickich. Władze cerkiewne poczuły się bezsilne. Wyjścia prawie nie było. Po rozmaitych próbach radykalniejszego załatwienia sprawy, zwrócono się wreszcie do konsystorza unickiego diecezji Litewskiej w Żyrowicach z prośbą o pomoc.

Prawa ręka Józefa Siemaszki, biskup Antoni Zubko, poradził dobrze i skutecznie.

W obszernym liście Nr. 308 z dn. 12. VI. 1838 r., narzekając na intrygi księży i wskazując na niedokładność spisów, wskutek czego niektórzy unicy mogą siebie uznawać za łacinników, uważa Zubko za konieczne „przydzielenie prawomyślnego parocha do jednej z cerkwi wilejskich, byłej unickiej i oddanie pod jego opiekę nieprzyłączonych dotychczas do prawosławia parafjan”. „Myśl tę — dodaje — niezwłocznie zakomunikuję biskupowi litewskiemu Józefowi celem uzgodnienia z dalszym planem działania w sprawach grecko-unickich”.

Na tem piśmie urywają się akta archiwalne, dotyczące nawracania unitów wilejskich na wiarę prawosławną. Na tem też właściwie kończy się historia borykania się unitów wilejskich z przeciwnościami. W niespełna rok — 12. II. 1839 r. — Unja na Litwie przestała istnieć. Rola „prawomyślnego parocha”, przysłanego z Żyrowic, nie była zbyt skomplikowana: zrobił to, co kazano i odszedł, lub może pozostał nadal, ale w nowej zgoła roli.

Wysiłki gorliwego gubernatora, popierającego mimowoli Kościół unicki, nie poszły na marne dla Cerkwi prawosławnej, kłopoty konsystorza prawosławnego skończyły się: wiara prawosławna zatriumfowała we wszystkich spisach statystycznych.

Ostatni cios Unji w Wilejce, cios w plecy, zadał nieznany „prawomyślny” paroch unicki, posłuszny rozkazom swych biskupów...

Kiedy na rozkaz najwyższych swych wodzów potężna twierdza poddała się nieprzyjacielowi sromotnie, bez boju, kiedy zdezerjentowani, przestraszeni, drżący o kawałek chleba i względny spokój osobisty dowódcy, posłuszni rozkazom zgóry, prowadzili za sobą rzesze cichych, w milczeniu cierpiących podwładnych,—słowem, kiedy upadała podstępnie i od szczytów likwidowana Unja, rozpoczęła się uporczywa walka na szanćach najdalszych, najmniej do obrony się nadających, walka, którą prowadził nie żołnierz wyćwiczony, nie pierwsza rezerwa, lecz ostatnie szeregi pospolitego ruszenia — kobiety.

Rola kobiet w obronie wiary katolickiej i walce z prawosławiem jest bardzo znaczna, niezwykle ciekawa, ale niestety trudna do wszechstronnego oświecenia, gdyż tak mało przechowało się dokumentów, bo rozterki, szamotania się duchowe i tragedje w większości wypadków nie przekroczyły granic rodziny, w której się odbywały.

Kobiety nie mogły pozostać bezczynne. Bardziej ekspansywne, mocniej związane z Kościołem i gorliwsze w praktykach religijnych, kobiety unitki, a tem bardziej łacinniczki, żony unitów, stanęły w obronie wiary ojców, staczając spóźnioną i beznadziejną walkę z przemocą. Trudno jest odtworzyć to, co się działo w przeciętnej rodzinie unickiej, „zapisywanej w prawosławie”, niesposób ustalić dokładnie jak wyglądał wysiłek kobiet, dążących do utrzymania dawnego swego obrządku, ale dane statystyczne, dotyczące ilości odpadających od Cerkwi prawosławnej byłych unitów, stale wykazują przewagę kobiet; we wszystkich zatargach z duchowieństwem prawosławnem i policją przodują kobiety, wśród aresztowanych podczas rozruchów pokaźną ilość stanowią kobiety.

Jedna grupa kobiet-unitek szczególnie się dała we znaki likwidatorom Unji, to żony parochów. Łączność obrządku unickiego z Kościołem łacińskim była dość ścisła, tak że nieraz rodzeni bracia byli kapłanami obu katolickich obrządków, parochowie żenili się z ła-

cinniczkami i w ten sposób ściśle łączyli się z rodzinami ultrakatolickimi rzymskimi. Od czasu więc podniesienia się poziomu intelektualnego parochów, wśród których byli i tacy, co kończyli wyższe studia teologiczne w Wilnie, duchowieństwo unickie nabierało coraz większego znaczenia, a że w życiu domowym i towarzyskiem było szczerze katolickie i czuło się polskiem, przeto, szczególnie na prowincji, zaczęło zastępować księży łacinników. Nawet zamożni polscy obywatele bywali częstymi gośćmi w domach biednych wiejskich parochów, ci zaś nierzadko bywali domowymi kapelanami we dworach oraz podtrzymywali dobre stosunki ze swymi kolatorami. Mocna pozycja społeczna i towarzyska, którą wywalczyło sobie duchowieństwo unickie, sprawiła, że już w okresie likwidacji Unji kapłani unicy energiczniej i zdecydowaniej bronili nie swej wiary, ale właśnie zdobyczy socjalnych, a nawet ich zewnętrznych oznak. Bez przesady można powiedzieć, że więcej walczono o prawo golenia brody i noszenia sutanny, niż o pozostawienie ołtarzy i organów w kościołach, a nawet o dogmaty wiary katolickiej!...

Najbliżsi współpracownicy Siemaszki, biskupi, prałaci i kanonicy — członkowie kapituły, bez protestu przyjęli jego plan zlikwidowania Kościoła i na długo przed pamiętnym aktem połockim powoli, lecz świadomie i konsekwentnie pracowali nad zniszczeniem obrządku unickiego. Lecz oto ci sami, którzy pozornie przynajmniej z lekkim sercem zmieniali religię, wprowadzali do kościołów ikonostasy, znosili organy i chóry, którzy z młodzieńczym zapałem walczyli z Rzymem i wyrzekali się wszystkiego, co katolickie, — ci sami jednak stawali w obronie rzeczy najmniej istotnych, lecz przywiązanych wyłącznie do zwyczajów katolickich — golonych bród i sutann.

Kiedy w r. 1834 zażądał Siemaszko od członków kapituły podpisania zobowiązań do przejścia na prawosławie, tylko niektórzy jak np. A. Tupalski, oficjał i prezes konsystorza, F. Homolicki, późniejszy rektor seminarjum, Tomasz Maliszewski, inspektor seminarjum, Bazyli Markiewicz, członek konsystorza, podpisali takie zobowiązania bez zastrzeżeń. Ekonom seminarjum Jan Szczęsnowicz pisał: „...od przyjęcia prawosławia nie odmawiam się, byleby tylko połączenie było ogólne, a nie częściowe”. Inni zaś mieli zastrzeżenia wyłącznie tylko z powodu brody i ubrania. Hołubowicz, przyszły arcybiskup miński, pisze: „Wezwanie Waszej Ekscelencji zgodne jest z memi przekonaniami, gotów jestem pójść za niem, przyłączając się do prawosławnej

grecko-rosyjskiej Cerkwi, byleby mi dozwolono do końca mego życia pozostawać bez brody i z zachowaniem obecnego mego stroju". W podobny sposób piszą zobowiązania wice-prezes konsystorza Jan Koniuszewski i asesor Teodor Horbacewicz, rektor zaś seminarjum, późniejszy archimandryta M. Szelepin stawia kwestję dość ostro, bo prosi w razie tylko częściowego przejścia unitów na prawosławie oraz nieuwzględnienia jego prośby, dotyczącej golenia brody i noszenia sutanny o zwolnienie go ze stanu duchownego!¹

Z odległości lat takie warunki kapłanów katolickich, gotowych w każdej chwili zdradzić swój Kościół i zmienić religję, lecz wzdrygających się na myśl zapuszczenia brody i włożenia szat duchownych prawosławnych wyglądają bardzo dziwnie. Zdawałoby się, że forma zewnętrzna jest niczem wobec wewnętrznej treści, że przy tak łatwej zmianie przekonań religijnych, nierównie łatwiej jest wyrzec się oznak, mogących każdego wprowadzić w błąd, a jednak brody i sutanny były argumentem stokroć bardziej ważkim, niż zagadnienie władzy papieskiej. Ale dziwić się temu zaudto nie można. Trzeba pamiętać, że zdecydowana większość księży unickich należała do szlachty i była wychowana w polskich tradycjach. Dla wielu broda była oznaką pochodzenia nieszlacheckiego, stanu podlejszego, była zbyt wielkiem poniżeniem. Popi prawosławni, którzy znaleźli się w Polsce w ilości znaczniejszej dopiero po rozbiarach, bynajmniej nie rozwiali tych przesądów o hańbie dla szlachcica noszenia brody: byli oni zbyt niepociągający, a często odrażający, aby unici, zdradzając Kościół katolicki, zechcieli w Cerkwi stać z nimi w jednym szeregu. Nawet wszechpotężny i zuchwały Siemaszko bał się przeciągnąć strunę i w sprawie bród i strojów postępował bardzo ostrożnie. Po zlikwidowaniu Unji, zaproponował on „w celu doświadczenia” biskupowi Zubce oraz prezesowi konsystorza Tupalskiemu zapuścić brody, sam zaś odważył się na to dopiero w r. 1842, gdyż, jak sam pisze we wspomnieniach, wcześniej nie było można, bo „wszyscyby się przestraszyli”.²

Rezygnując więc bez walki z religji ojców, nie chcieli kapłani unicy zrezygnować z oznak zewnętrznych swej odrębności... której niesposób określić. Duchowej? — lecz oni sami gorliwie i krzykliwe zapewniali o łączności duchowej z Cerkwią rosyjską. Narodowej? — lecz narodowości polskiej oni tchórzliwie się wyrzekali. — Kulturalnej? — lecz każda kultura ma podłoże duchowe i tylko tamte różnice

są istotne. Ale różnice jednak istniały, właśnie te, o których mówić nie wypadało: duchowe, narodowe, kulturalne...

Masowa zdrada kapłanów unickich, posłusznych rozkazom swych władz, wprowadziła ogromne zamieszanie i wywołała prawdziwe tragedje w rodzinach.

Kobiety zdecydowanie wystąpiły w obronie wiary i niezależności swych dzieci. Unitki zaczęły gremjalnie przechodzić na obrządek łaciński, dzieci zaś starano się nie oddawać do szkół duchownych, gdzie je wynarodawiano i zmuszano do apostazji. Siemaszko dobrze rozumiał znaczenie umiejętnie przeprowadzonego wychowania dzieci parochów, bo doceniał wartość posiadania naturalnej prawosławnej rezerwy, dlatego już na samym początku swej pasterskiej działalności, „dbając o rozpowszechnienie oświaty”, kazał wszystkim parochom oddawać synów do szkół duchownych. Zarządzenie to spotkało się z pewną opozycją tak ze strony parochów, przeczuwających zasadzkę, jak i tych, którzy myśleli o karierze świeckiej dla swych synów. W r. 1836 powstała korespondencja między Kuratorjum okręgu szkolnego Białoruskiego, a konsystorzem Litewskim grecko-unickim w Żyrowicach. Kurator (list nr. 2530 z dn. 24.IX. 1836 r.) zwraca się do konsystorza z zapytaniem, czy dzieci parochów-szlachciców, pragnące poświęcić się służbie państwowej, na którą im pozwala ich pochodzenie, mogą kształcić się nie w szkołach duchownych. Konsystorz wyjaśnia, że bez zgody władz kościelnych nawet dzieci szlachty nie mają prawa kształcić się w szkołach świeckich.³ Walka konsystorza z duchowieństwem, które nie kwapiło się z nadto do oddawania dzieci do szkół duchownych, kończy się dopiero w r. 1844, kiedy 6 grudnia wystosował Siemaszko do konsystorza polecenie nr. 2221, dotyczące bezwzględnego zmuszenia duchowieństwa, pod grozą kar, do oddawania dzieci do szkół duchownych.⁴

Z kobietami sprawa przedstawiała się znacznie gorzej, a walka z nimi napotykała niezwykle trudności. Żony parochów, łacinniczki, były szczególnie nieznosne, niezależne, wojownicze, stojące w przeciwnym obozie; były one, jako żony nowych popów, zjawiskiem wprost niesamowitem. Apostołowanie ze strony czułych mężów nie na wiele się zdało, groźby i kary, nakładane przez konsystorz na mężów, nie doprowadzały do skutku i demoralizowały duchowieństwo; pozostawały tylko kary policyjne za łada przewinienie, z czego korzystano skwapliwie.

Inna kategoria żon parochów — unitki z pochodzenia i przekonania, również nie były elementem pożądanym. Zmuszano je wprawdzie do powrotu na łono „prawość” Cerkwi prawosławnej, ale niewiasty broniły się zawzięcie i dowodziły, że z „babki-prababki” (bo kądziel w tych wypadkach jest dogodniejsza) były katoliczkami-łaciniczkami, skierowywano więc sprawę do sądu, lecz na rozprawę zjawiały się tłumy świadków, których zeznania tylko gmatwały sprawę i przeciągały ją latami całymi ku bezsilnej złości konsystorza i wielkiemu utrapieniu nieszczęśliwych małżonków, zmuszonych już pogodzić się z nową rolą prawosławnych popów.

Wreszcie kategoria trzecia, najprawomyslniejsza — żony-unitki, które razem z mężami przeszły na prawosławie, nie były bynajmniej czynnikiem pokoju i zgody. Zrezygnowawszy z dawnych tradycji i obyczajów, godziły się z nową wiarą, lecz jednego znieść stanowczo nie mogły: bród swych małżonków.

Te nieszczęśliwe długie rosyjskie brody stały się przyczyną niejednego dramatu i wyrosły do rozmiarów kardynalnego zagadnienia. Rząd carski nie miał odwagi narzucić ich nowym kapłanom prawosławnym. Po formalnem zlikwidowaniu Unji ober-prokurator św. Synodu, hr. Protasow, wystosował 30.IV.1839 r. poufny list nr. 566 do Siemaszki, w którym pisze tak:

„Jaśnie Wielmożny i Najprzewielebniejszy Biskupie Arcypasterzu!”

Z powodu przyłączenia tak zwanej w Rosji Grecko-Unickiej Cerkwi do świętej prawosławno-katolickiej⁵ Wschodniej Cerkwi i utworzenia niepodzielnej całości Cerkwi Wszechrosyjskiej, Cesarz Imperator, uwzględniając złożoną przeze mnie Jego Cesarskiej Mości najpoddaną prośbę biskupów Grecko-Unickiej (obecnie złączonej) Cerkwi z dn. 12 lutego r. b., rozkazać raczył, aby przyłączonemu duchowieństwu i ludowi dozwolono było nie zmieniać tradycyjnych miejscowych zwyczajów, niesprzecznych z istotą prawosławia, jak np. obecne nieliturgiczne stroje duchowieństwa, golenie bród, używane podczas postów potrawy i niektóre kościelne zwyczaje, nie gwałcące dogmatów wiary prawosławnej. O tej Najwyższej łasce mam honor podać Waszej Ekscelencji do wiadomości i zakomunikowania komu należy. Z należytytym szacunkiem”... etc.⁶

Siemaszko ukrył ten poufny list, który był znany tylko niektórym członkom konsystorza, i rozpoczął długą wojnę o brody.

Żeby zachęcić do noszenia brody, zaczął Siemaszko sprytnie

„udzielać pozwolenia” na zapuszczanie brody i to w drodze łaski, jako dowód szczególnego uznania. Wielu dało się złapać na taki koncept. Zaczęto ubiegać się o taką „nagrodę”; dobrotliwy biskup rzadko komu odmawiał, lecz skrzętnie notował nazwiska odznaczonych i po pewnym czasie żądał od dziekanów informacji, czy rzeczywiście tacy a tacy mają już brody. Brody jednak naogół rosły bardzo powoli, gdyż powstawały przeróżne przeszkody: ktoś już miał brodę, lecz wskutek wrzodu na podbródku zmuszony był ją zgolić, inny miał jeszcze piękniejszą brodę, lecz wskutek nieprzyzwyczajenia spalił ją przy kominku, trzeciemu ani rusz nie rośnie, więc się wybiera do doktora po radę, itp.

To zmusiło Siemaszkę do osobliwego kwalifikowania kandydatów na stanowiska popów. Tak kiedy po śmierci proboszcza w Bromli, protojereja Czerwiakowskiego, na stanowisko duchownego wysunął konsystorz dwie kandydatury: nauczyciela Malickiego i diakona Lwowicza, zażądał Siemaszko wyjaśnienia: „który z dwóch kandydatów zechce zapuścić brodę i włożyć „riase”, i jeżeli Malicki, to przesłać mi odpowiednią uchwałę o dopuszczenie go do przyjęcia święceń kapłańskich, jeżeli zaś Lwowicz, to zawiadomić mnie o tem w celu wydania odpowiedniego rozporządzenia”...⁷

Tak się działo w dwa lata po zlikwidowaniu Unji, bo w r. 1841. Ale i później nie było lepiej. W r. 1844 trafiło, na przykład, do rąk Siemaszki podanie młodego popa z Sokółki, Juljana Sakowicza, który prosił o pozwolenie noszenia przez pewien czas sutanny i golenia brody. Siemaszko się zirytował i na podaniu własnoręcznie napisał: „Nigdybym się nie spodziewał po Sakowiczu tej dziecinnady. Wciąż jest studentem: nie wie nawet, że nie parafja dla popa, lecz pop dla parafji. Mówiło mu się i w Petersburgu, i w Żyrowicach, że dla Sokółki potrzebny jest duchowny w stroju prawosławnym. On się zdecydował na to wówczas i, jak mi mówiono, zgodziła się na to obecna jego żona”...⁸ etc.

Otóż co do tego ostatniego szczegółu, widocznie biskup był źle poinformowany; opozycja co do brody wyszła od kochającej małżonki Sakowicza. Taka opozycja nie należała do bagatelnych, bo własnoręczna na podaniu adnotacja potężnego biskupa dowodzi, że z głosem żon popów należało się liczyć i że bodaj nie wystarczała zgoda samego popa, jeżeli nie było zgody na to jego żony.

I rzeczywiście walka żon popów z mężami trwała bardzo długo

i przybierała często formy gwałtowne. Różne były przyczyny tej walki: była beznadziejna, głęboka tragedia wierzącej duszy, czującej w przeobrażeniu, że wkrótce zatraci drogę i będzie musiała zginąć w beznadziejnej walce ze sobą samą; była i pogarda — nieposkromiona, gwałtowna — dla męża, którego się nagle zobaczyło w świetle ponurem, jako postać nędzną i nikczemną; był wreszcie wstręt fizyczny do twarzy zarosniętej, do głowy kudłatej.

W aktach archiwalnych konsystorza pounickiego przechowuje się wiele takich spraw „niewieścich”. Pomimo wielkiej różnorodności szczegółów, ustalił się jakiś szablon. Przeciętą sprawą wygląda w ten sposób. Pewnego niefortunnego dnia powstawała sprzeczka małżeńska. Krewka małżonka przemawiała dobitnie na temat „koziej brody” lubi „miotły” (zależnie od stopnia szpetnego zarostu), później poruszała drażliwe zagadnienie apostazji i wypowiadała w sposób zbyt stanowczy i niedwuznaczny swój pogląd na schizmę. Ten wyraz „schizma” był uważany przez wszystkich renegatów za największą obelgę i doprowadzał tych, pod którym adresem był skierowany, do pasji, a później — do wspólnej katastrofy. Często sam małżonek miał dość dosadnej elokwencji żony, częściej nie mógł wytrzymać jakiś szlachetny świadek. Pisano więc denuncjację do konsystorza, konsystorz skierowywał sprawę do policji, policja — do sądu. Znajdowały się serdeczne przyjaciółki oskarżonej, które stwierdzały, że przeciwniczka schizmy jest nałogową pijaczką, nierządnicą, prawdziwym szatanem w spodnicy; inni zaś świadkowie stwierdzali pod przysięgą nienaganność prowadzenia niewiasty, będącej ofiarą swego nieponia męża, który „choć już prawosławny obecnie”, ale... i tam dalej... W grę wchodziły czynniki zupełnie postronne: ktoś reflektował na miejsce, które zajmował niefortunny małżonek w „riasie”, ktoś kogoś popierał, ktoś z kimś załatwiał przy sposobności prywatne porachunki. Sprawa się gmatwała, tonąc w straszliwym brudzie małomiasteczkowych, nikczemnych intryg. Konsystorz wówczas degradował popa, wysyłając go do jakiejś głodowej parafji na stanowisko wikariusza. Biedny pop znajdował się wówczas między młotem a kowadłem: z jednej strony — żona, która nie mogła wybaczyć rozdmuchania sprawy, z drugiej, — proboszcz, nie mogący znieść „darmozjadów”. Wzięty w dwa ognie, zaczynał nieszczególny wyznawca wiary prawosławnej pisać rozpaczliwe podania do konsystorza, do arcybiskupa, do samego cara. Dawano mu do zrozumienia, że jednak żona-katoliczka, a tem bardziej awanturnica, jest wielką

przeszkodą do uwzględnienia jego prośby o powrót na dawne stanowisko; więc pop zaczynał „przekonywać” swą małżonkę (mniejsza w jaki sposób!) o zbawienności dogmatów Cerkwi wschodniej; tamta się po pewnym czasie nawracała, przyjmując prawosławie, pop wracał do swej parafji, sprawa sądowa kończyła się pomyślnie, gdyż obrona korzystała z usług oskarżycieli: stwierdzano chętnie, że „popadja” jest rzeczywiście pijaczką, awanturnicą, histeryczką lub epileptyczką, a więc działała w stanie niepoczytalnym.

Ponure to i jakże smutne sprawy—te beznadziejne walki kobiet z otoczeniem. Wszystko w nich jest: i ból bezgraniczny subtelnej istoty, która nagle traci grunt pod nogami i widzi walące się w gruzy ołtarze, przed którymi tak gorliwie umiała się modlić, — i złość dzika, niepohamowana, obłędna jak wściekłość zwierzęcia, osaczonego przez psiarnię, — i rezygnacja wreszcie, ta najstraszliwsza rezygnacja, którą znają tylko kobiety: takie tragiczne, pozbawione wszelkiej nadziei na ratunek, „wszystko jedno”, po którym następuje haniebny upadek...

Gdyby kto chciał poznać całą okropność gwałtownego i podstępного zlikwidowania Unji oraz jego demoralizujące skutki, musiałyby przypatrzyć się nie tym kapłanom, którzy umierali w klasztornych więzieniach, i nie tym, co szli od zaszczytów do zaszczytów, a później, jako dostojnicy zwycięskiej Cerkwi, ulegali haniebnym nałogom lub kończyli życie samobójstwem, nie samym nawet masom unickim, to upokarzająco biernym, to ślepo buntowniczym, — ale właśnie rodzinom szarych, szeregowych parochów. Tu się rozgrywały może największe tragedje, tu się odzwierciedlało najdokładniej całe życie, od momentów zawrotnie wzniosłych do odchłannie nikczemnych.

Rolę czynną w tych dramatach rodzinnych miały kobiety, one prowadziły beznadziejną walkę z nowymi prądami, one naosłep, bezrozumnie buntowały się nawet wówczas, kiedy walka była zdecydowanie przegrana.

Wśród wielu spraw, związanych z walką kobiet na ostatnim szafcu padającej Unji, jedna, której rozwiązania nie znamy, wysuwa się na czoło, jako najbardziej jaskrawa i charakterystyczna: jest to sprawa żony dziekana słuckiego Mikołaja Narkiewicza. Dowiadujemy się o niej ze wspomnień Siemaszki, który zgromadził sporo bardzo wymownych dokumentów, dotyczących swej epoki. Znajdujemy tam następujący niezwykle ciekawy list Siemaszki z dn. 26.V. 1838 r. do hr. Protasowa, ober-prokuratora św. Synodu.

„Pijaństwo, cudzołóstwo, zaniedbanie gospodarstwa i nieskończone łajanie swego męża, czego świadkiem podczas wizytacji cerkwi był sam wikariusz diecezji Litewskiej — biskup brzeski Antoni, zmusiły tego biskupa do zaproponowania konsystorzowi skomunikowania się, podług ustalonych zwyczajów, z konsystorzem rzymsko-katolickim w celu ukarania zamknięciem w klasztorze, zgodnie z prośbą dziekana słuckiego Narkiewicza, jego żony, która należy do Kościoła rzymsko-katolickiego, z tem, żeby ona, żona dziekana Narkiewicza, była zabrana bez rozgłosu, gdyż w przeciwnym razie mogłaby ona zdecydować się na zbrodnię kryminalną, gdyż jest obecnie szczególnie zła na męża za noszenie „riasy” i zapuszczenie brody: ale konsystorz rzymsko-katolicki nie przychylił się do tego załatwienia i żądał formalnego dochodzenia”.

„Tymczasem dziekan Narkiewicz ponownie złożył biskupowi Antoniemu oświadczenie, iż żona jego publicznie potępia prawosławie i łaje go, Narkiewicza, nie wykazując poprawy i w innych stosunkach”.

„W celu uniknięcia pokusy i ośmieszenia się, co może tak łatwo stać się przy formalnym dochodzeniu, przeprowadzanem przez duchowieństwo rzymsko-katolickie, on, biskup skomunikował się z mińskim cywilnym gubernatorem i prosił, aby tamten poufnie zarządził zbadać wyżej wymienionych czynów żony dziekana Narkiewicza — razem z duchownym deputatem wice-diekanem Markiewiczem oraz żeby zamknął ją do więzienia aż do poprawy; oprócz tego prosi mego pośrednictwa, aby w przyszłości władze grecko-unickie mogły same zastosowywać środki poprawcze względem żon i córek grecko-unickich duchownych, chociażby te osoby wyznawały religję rzymsko-katolicką”...⁹

Nie trzeba mówić, że Siemaszko całkowicie poparł ten projekt Zubki i prosił ze swej strony, aby występne żony i córki parochów, łacinniczki, podlegały władzy konsystorza unickiego. Jeżeli w r. 1838 ubiegał się jeszcze Siemaszko o takie prawo, to po zlikwidowaniu Unji, czyli już w roku następnym, miał na krnąbrne żony inne środki — w wielkiej rozmaitości. Sprawa żony parocha Narkiewicza jest niezwykle ciekawa ze względu na stosunek do niej władzy biskupiej unickiej. Zubko najwyraźniej zaznacza, że dochodzenie formalne może ośmieszyć oskarżycieli i stać się pokusą dla innych do lekceważenia władz unickich; prosi więc gubernatora o poufne dochodzenie, którzyby mieli przeprowadzić urzędnicy gubernatora i z wice-diekanem

(wyjątkowo bezstronni sędziowie!); nie wątpi, że rezultat będzie bardzo pomyslny, więc prosi gubernatora nie tylko o tę komisję, ale jednocześnie o uwięzienie krnąbrnej łacinniczki, przesądając w ten sposób wynik dochodzenia i zgóry wyznaczając karę „aż do poprawy”, czyli żąda oddania nieszczęśliwej kobiety na łaskę lub niełaskę władz kościelnych obcego wyznania. Tak zdecydowane stanowisko zajmuje Zubko, a za nim Siemaszko na skutek skargi Narkiewicza, przyczem z pierwszych słów raportu Siemaszki wnioskować można, iż Zubko był „świadkiem” nie tylko awantur Narkiewiczowej, ale nawet i cudzołóstwa!... W niezwykle drażliwej kwestji stosunków małżeńskich stają obaj biskupi po stronie męża, popierając nawet tak nikczemne jego projekty, jak wywiezienie niewiasty do klasztoru — znienacka i cichaczem!

Kimże był ów Narkiewicz, cieszący się tak bezgranicznem zaufaniem swoich przełożonych? Nie próbujmy odtwarzać jego charakteru na podstawie licznych denuncjacji, których on był autorem; nie będziemy zastanawiać się nad jego wartością, studjując częste a hojne nagrody, jakie na niego spadały, — posłuchajmy samego Siemaszki.

List do ober-prokuratora w sprawie Narkiewiczowej wysłał Siemaszko 26 maja 1838 r., a 14 czerwca tegoż roku przesyła list nr. 290 do samego Narkiewicza. Cóż pisze wszechwładny biskup do swego zaufanego dziekana?

„W r. zeszłym i obecnym otrzymywałem od biskupa Antoniego bardzo niekorzystne doniesienia, dotyczące waszego stosunku do podległego waszej władzy duchowieństwa. Ów biskup, jak również ja, mieliśmy dla was pewne względy, szanując waszą gorliwość. Pomimo to jednak uważam za obowiązek uprzedzić was, ojcze dziekanie, iż ja wymagam od dziekanów nie tylko gorliwości, ale również przykładania się do spraw poważnych, bezstronnego stosunku do podwładnych, a szczególnie — uczciwości. (Nawet i tego brakowało szlachetnemu dziekanowi!) Radzę wam po ojcowsku zwrócić szczególną uwagę na usunięcie zauważonych u was wad; w przeciwnym razie włożony na mnie obowiązek służbowy zmusi mnie do zastąpienia was innym dziekanem, bardziej godnym”...¹⁰

Takie to były czasy...

Siemaszko z dumą mówi o sobie. „Posiadałem sprawiedliwość jakby wrodzoną! Starałem się być sprawiedliwym tak w stosunku do obcych, jak i do swoich. Wskutek tego pierwsi, choć mnie nie lubili,

bywali rozbrajani, drudzy zaś przekonywali się o bezskuteczności wszelkich intryg"...¹¹ Ta sprawiedliwość, którą z taką chlubą nosił Siemaszko w swem sercu, pozwoliła mu stanąć bezwzględnie po stronie człowieka o wyrobionej opinii brutala i despoty, któremu, jak sam stwierdza, brakowało nawet... zwykłej uczciwości. Za cóż bez sądu, bez dochodzeń, na podstawie niecnej denuncjacji, chciał biskup miażdżyć słabą, bezbronną kobietę? Czy rzeczywiście biskup Zubko był świadkiem nawet jej cudzołóstwa?... Więc czemuż nie chciał oddać przestępczyni w ręce sądu?... Nie! Nie o takie „drobiazgi” jak pijaństwo, próżniactwo, cudzołóstwo chodziło dygnitarzom zgangrenowanego wówczas konsystorza unickiego, ale o to tylko, że głos zabierała łacinniczka, że kobieta: zwykła, przeciętna kobiecina, miała tyle siły ducha, tchniętego w nią przez Kościół, iż śmiała się przeciwstawiać zbawiennym poczynaniom likwidatorów.

A la guerre — comme à la guerre! Nie może być żadnego sentymentu, żadnych skrupułów. Wroga się miażdży, żeby nie być przez niego zmiażdżonym samemu! Kobiety-Polki i katolicki, pragnące pozostać nadal przy Kościele rzymskim, prowadzące rozpaczliwą, nie zorganizowaną walkę o wolność swego sumienia, nie wiedziały, nie przypuszczały nawet, jakiego miały przed sobą wroga.

A jednak walczyły. Już nie z myślą o zwycięstwie, lecz w obrobie własnego honoru, w celu zaznaczenia protestu.

I kiedy bez boju, w ponurej ciszy, padła potężna twierdza, przez długie, długie lata toczyła się bezsilna, rozpaczliwa walka na ostatnich, najdalszych szancach... We dwadzieścia przeszło lat po zlikwidowaniu Unji wielki triumfator — metropolita prawosławny Józef Siemaszko kreślił w kwietniu 1861 r. takie słowa w swym pamiętniku: „Żony parochów okazały opór największy, tak, że sprawy ich trwały przez długie lata, a co do niektórych — trwają i do dziś dnia”...¹²

Obecnie któż pamięta o tej nierównej, beznadziejnej walce?

MAKRYNA MIECZYSŁAWSKA

Makryna Mieczysławska! Oto imię, które dla naszych ojców i dziadów było sztandarem, było symbolem wszystkiego, co jest w Polsce szlachetnego, wzniosłego, męczeńskiego. W niej przecież widział „usymbolizowaną Polskę” Adam Mickiewicz, najistotniejszy i najprawowitszy reprezentant narodu polskiego. Ona przez długie lata była na emigracji postacią wyjątkowo ciekawą, niezwykłą, bardzo wpływową. O niej w całej Europie krążyły wieści, powstawała literatura w wielu językach, rodziła się legenda...

Makryna Mieczysławska! Oto imię, które obecnie już nie budzi w nas entuzjazmu i zapału, nie wyciska łez, nie każe zaciskać pięści i rzucać przekleństw pod adresem brutalnego wroga, lecz jednak dobrze jest znane każdemu inteligentnemu Polakowi, gdyż jest na zawsze nierozzerwalnie związane z dwoma wielkimi utworami Słowackiego i Wyspiańskiego.

Poemat Słowackiego p. t. „Makryna Mieczysławska” jest utworem wyjątkowym w wielkim dorobku twórczym genialnego poety.¹ Zdobywa się w nim Słowacki na niezwykłą dla niego skrucę i pokorę.

„Słyszac, że głos jej nożami przenikał,
Gdy swe bolesne męki powiadała,
Szedłem — nie przeto, abym ran dotykał,
Ani rozdrażniał zranionego ciała,
Ani świadectwo wydawał o ranach;
Ale był wierny — jak syn na kolanach,
Który dwojaki ma kadzidło w darze:
Łzy albo zemstę — co matka rozkaże”...

Proste, raczej prostackie opowiadanie Makryny o jej mękach stara się poeta jak najwierniej oddać w języku poetyckim, łagodząc tylko brutalność słów kobiety, która robiła na nim wrażenie jakiejś ochmistrzyni ze szlacheckiego dworku, lecz w której pomimo to dozukiwał się podobieństwa do ukochanej matki.

„Znalazłem w cichym siedzącą klasztorze,
U suchych, obcych ludzi na gościnie,

Prostą niewiastę, rzekłbyś: gospodynię
Siedzącą sobie na szlacheckim dworze,
Kędy zarządza dziateczek hałasem,
W czepcu, w rańtuchu, z kluczami za pasem.
Wszakże pomimo tak wielką prostotę
I dziwne z matką moją podobieństwo,
Na twarzy jasne widziałem męczeństwo,
Jakieś męczeństwo wielkie, boże, złote,
Które mię z góry uderzyło w ciemię,
Jak Pan, gdy rzuca zbrodniarzem o ziemię”.

I oto on — poeta dumny, pewny swej wielkości, nie znający sobie równych, — tu wobec prostej, starej kobiety nagle maleje, upokarza się jak przed duchem potężnym a świętym i na jej pytanie: „Jak godność?” — rzuca znamienne, otchłannie szczere, pełne ogromnego bólu słowa: „Godności nie mam — przed męką uciekłem”...

Myli się poeta: nie uciekł przed męką, bo tę mękę — beznadziejną, bezbrzeżną ma w sobie i zatruwa się nią, i skrzydła natchnionego ducha wiąże, aż sam się buntuje, szamoce, załamuje... Oto on, gryzący się tem, że nie wziął należytego udziału w wysiłku zbrojnym narodu, stoi przed kobietą, w której wszyscy widzą świętą, — przed męczennicą, która przeszła przez piekło i zachowała pogodę i siłę ducha, dającą wiarę w lepszą przyszłość. I czuje poeta swą małość i słabość wobec starej zakonnicy, która ma udzielić mu sił do cierpień lub walki. Ona — niezwykła, wielka niewiasta, jedyna z pośród milionów, nie jest jednak tak osamotniona, jak stojący przed nią wielki poeta, bo ją otacza cały naród — katowany i uginający się pod ciosami. Ta skromna mniszka jest jakby przywódcą wszystkich cierpiących w Polsce; idzie na czele, wyprzedziła wszystkich, jeszcze parę kroków i, zdaje się, stanie przed obliczem Boga i złoży Mu w ofierze od narodu polskiego łyzy krwawe, rozpaczne...

Patrząc na szarą postać skromnej bazylianki, uświadamia sobie poeta przerażający ogrom cierpień i klęsk narodu polskiego.

„...Matko, powiedz, proszę,
Czyś ty do boskich nie zaniósła tronów
Skargi na tyle polskich milionów!
Dwadzieścia!!! Gdyby to miedziane grosze —
Świat prawie kupić! — gdyby pozespalać,
A każdy dał krwi maleńką kropelkę,
O! na Chrystusa i na Zbawicielkę,
Świat możnaby tą krwią czerwoną zalać!
Gdyby błysnęły wszystkim ognie z lica,
Świat można spalić!”...

Opowiadanie Makryny odtwarza Słowacki wyjątkowo ściśle, nie chce nic dodać, chowa się sam w cień wobec jaśniejszej blaskiem męczeństwa zakonnicy, a jednocześnie tyle daje ze swej duszy, jest tak bez zastrzeżeń szczery, że utwór ten staje się jakby spowiedzią samego poety, mierzącego siłę swego ducha siłą ducha Makryny, nazywanej przez niego „męczennicą Pańską”.

Wyspiański podchodzi do Makryny nieco inaczej, niż Słowacki. Urodzony w roku śmierci Makryny, nie mógł Wyspiański znać jej uroku i siły oddziaływania na ludzi, lecz Makryna była mu znana i bliska, jako osoba, która pozostawiała tak wielki ślad w dziejach emigracji polskiej i która miała wpływ na szereg najwybitniejszych osobistości. Stąd, przyjmując określenie mickiewiczowskie, widzi Wyspiański w Makrynie symbol Polski, wyolbrzymia postać przełożonej bazylianek mińskich i w scenach dramatycznych p. t. „Legjon” każe jej w Watykanie wobec papieża spotkać się oko w oko z carem Mikołajem I.

Matka Makryna i car Mikołaj! Dwa światy, dwa bieguny! To coś ze sceny spotkania się księdza Piotra z Senatorem w III części „Dziadów”, ale wyolbrzymione, bardziej zdecydowane. Potęga materialna, pozornie triumfująca i potęga duchowa, naprawdę zwyciężająca!

Wyspiański zmusza cara do kapitulacji wobec zakonnicy, idącej do niego z podniesionym krzyżem. Car może tylko wymówić: „To ona z krzyżem kroczy”, później — „głowę opuszcza ku ziemi, ustępując przed idącą zakonnicą — wylękły, wyblady, nie pozdrawiając nikogo, ucieka”. Wtedy Makryna:

„Trony powalę i Moce,
złe miasta, złe ludowiska:
strącę je w Odmęt i Noce,
w czelusć, na Piekieł ogniska;
Chrystusa jeno wychwałę.
Trony, Mocarze powalę;
strącę je w Noce, w Odmęty.
Przeklęty, przeklęty, przeklęty!”...

Chór mniszek zamyka scenę:

„Bóg — Słowo zwyciężyło!
Oto znak niebios widomy:
pod czas jednaki do Romy
dwoje ich przybyło z Północy:
Car z potęgą piekielną przemocą
i Ona z przekleństw siłą!”

Taka Makryna Mieczysławska na zawsze utrwaliła się w naszej wielkiej poezji: Makryna — duch potężny, Makryna — reprezentantka cierpiącego narodu.

Czy jednak ten obraz odpowiada rzeczywistości? Czy poeci, a przede wszystkim Słowacki, przekazali nam duchowy obraz męczennicy-bazyłjanki, czy też tworzyli legendę, korzystając z ciekawych przeżyć zakonnic? I tu odrazu należy stwierdzić, iż poetyckie ujęcie postaci Makryny całkowicie odpowiada temu, co wówczas o niej myślano, mówiono i pisano.

Przypomnijmy sobie dzieje matki Makryny. W sierpniu r. 1845 w Poznaniu zjawiała się kobieta, podająca się za byłą przełożoną bazyłjanek mińskich i opowiadająca o cudownem uratowaniu się od prześladowań rosyjskich. W jaki sposób przekroczyła Makryna granicę, jak odbyła dość daleką podróż z Wilna, gdzie ostatnio mieszkała, do Poznania, czyje wreszcie posiadała listy polecające, które zwróciły na nią uwagę arcybiskupa Przyłuskiego, — nie wiemy. Musiała jednak Makryna posiadać możnych opiekunów, którzy ułatwili jej dość uciążliwą podróż incognito, a co główna — polecili ją opiece arcybiskupa poznańskiego, który przejął się losem nieszczęśliwej ofiary, kazał spisać jej zeznania, a później wysłał ją do Paryża, tego centrum emigracji polskiej.

Poznański protokół zeznań Makryny Mieczysławskiej, sporządzony 14-VIII 1845 r. i ogłoszony dopiero w r. 1928,² szczegółowo zarysowuje dzieje męczeństwa przełożonej bazyłjanek mińskich. Rozpoczęła się jej kalwarja w r. 1837, kiedy biskup Siemaszko zażądał od zakonnic zdrady wiary i przejścia na prawosławie. Zakonnice odmówiły stanowczo. Wówczas Siemaszko dał im pięć miesięcy czasu do namysłu, lecz już po trzech dniach znów kategorycznie zażądał od nich zgody na przyjęcie prawosławia, po odmowie zaś kazał skuć zakonnic łańcuchami po dwie i pędzić je prosto do Witebska. Siostra Laudańska, sześćdziesięcioletnia staruszka, nawet nie rozpoczęła podróży: umarła, modląc się przed wyjściem w drogę. W Witebsku znajdowały się bazyłjanki dwa lata w klasztorze prawosławnym. Mniszki rosyjskie pastwiły się nad polskimi zakonnicami, używając je do najcięższych robót i ciągle poniewierając swemi ofiarami. Jedna Rosjanka gorącą głownią wypaliła oko siostrze Rozalji Żółkiewskiej, tak, że tamta wkrótce umarła. Umarło jeszcze kilka zakonnic. Trzy razy przyjeżdżał do nich Siemaszko, pragnąc się przekonać, czy upór

zakonnice został przełamany, gdy jednak dotychczasowe kary skutku nie odniosły, popędził je (znów pieszo) do Połocka i przydzielił do robót przy budowie pałacu biskupiego. Katusze zakonnice jeszcze się zwiększyły: karmiono je śledziami, nie dając wody do picia, co środę i piątek bito różgami, dając po 50 różeg, wreszcie puszczono na nie pijanych diakonów, aby im odebrać niewinność. Nic jednak nie pomogło: zakonnice trwały w swej wierze, a kiedy pewnego dnia zobaczyły przechodzącego Siemaszkę, jedna z nich porwała od pracujących cieśli pień i rzuciła pod nogi biskupowi, Makryna zaś podała mu topór, mówiąc: „Oto masz topór, ścinaj nam głowy, bo te tylko mogą być rzucone do cerkwi, której progów nasze nogi nie przestąpią”. Siemaszko odrzucił topór i ręką tak mocno uderzył Makrynę w twarz, że się wyłamał ząb. Po pewnym czasie popędzono bazyłjanki dalej, tym razem do Miadziołu, leżącym wpobliżu wielkich jezior. Tam wymyślono nową kaźń, a mianowicie: pławiono zakonnice. Ubrawszy je w długie koszule i zadzierzgnawszy powrozy na szyję, wpędzano je do wody; na łódkach wyjeżdżano dalej od brzegu, ciągnąc za sobą katowane niewiasty i pytając się, czy nie namyśliły się przyjąć prawosławia. Później półmartwe, drżące z zimna, mokre pędzono na roboty. Z Miadziołu uciekła Makryna i jeszcze trzy siostry; co się stało z niemi i gdzie one są, Makryna nic nie wie. Sama ona przez Żmudź przekradła się zagranicę, aby zawiadomić wszystkich o tem, co się dzieje w kraju, jak się pastwi renegat biskup Siemaszko.

Zeznanie Makryny, spisane w Poznaniu przez ks. Ludwika Urbanowicza w obecności arcybiskupiego delegata ks. Albina Thinela, zrobiło wielkie wrażenie. To też, jak mówiliśmy, arcybiskup Przyłuski skierował Makrynę do Paryża, dokąd przybyła ona 10 września tegoż roku.

Łatwo sobie wyobrazić, jak została przyjęta Makryna w stolicy świata. W gazetach polskich i francuskich ukazały się obszerne i często sprzeczne opisy męczeństwa bazyłjanek, streszczano skwapliwie opowiadania Makryny, podając coraz więcej szczegółów. Popularność Makryny rosła z każdym dniem, tłumy dobijały się posłuchania u niej, rozpowszechniły się pogłoski o niezwyklej świętobliwości Makryny oraz o jej cudownym wpływie na ludzi.

W październiku 1845 r. Makryna w towarzystwie ks. Aleksandra Jełowickiego udała się w podróż do Rzymu. Był to właściwie trium-

falny pochód. Niepotrzebne były listy polecające i znajomości: sława polskiej zakonnicy sięgała dalekich stron, więc wszędzie spotykano ją z wyjątkowymi honorami i roztaczano troskliwą opiekę. W Lion kardynał arcybiskup de Bonald wysłał na spotkanie podróżujących własny powóz, ofiarował wszelkie usługi i otworzył wstęp do wszystkich klasztorów. Makrynę rozchwytywano, zapraszano na zgromadzenia w różnych klasztorach, proszono o szczegółowe opowiadanie o swych mękach. Ks. Jełowicki ledwie mógł nadążyć z tłumaczeniem, gdyż Makryna języków obcych nie posiadała. W Avignon, Aix, Marsylii—wszędzie to samo: entuzjazm tłumów, składających hołdy męczennicy i szukających jej błogosławieństwa, oraz korny szacunek ze strony duchowieństwa.

Ks. Jełowicki, który w swych listach, pisanych podczas podróży, przekazał nam wiele ciekawych szczegółów, zarysowuje np. taką scenę z pobytu w Marsylii:

„Na pierwszym kazaniu był biskup, który po błogosławieństwie N. Sakramentu, a wszystko za Polskę, uprowadził ksienię z pośród tłumu do zakrystji i tam ją obok siebie posadziwszy, kazał przepuszczać lud cały, który klękał, całował pierścień biskupa i krzyż ksieni i wnet wychodził. Ta procesja trwała półtorej godziny”.³

Poprzedzona skrzydlatą legendą, w pierwszych dniach listopada przyjechała Makryna do Rzymu i odrazu uzyskała posłuchanie u papieża Grzegorza XVI. Ojciec św. był wzruszony opowiadaniem o cierpieniach bazylijanek i kazał ks. Jełowickiemu spisać zeznania Makryny. Działo się to przed samym przyjazdem do Rzymu cara Mikołaja I, tem większe zainteresowanie budziła osoba polskiej zakonnicy. Czy rozmawiał papież z carem na temat Makryny i prześladowania Unji w Rosji, nie wiemy. Współcześni temu zdarzeniu ludzie stanowczo twierdzili, że tak, natomiast nowsze badania wykazują, że raczej podobnej rozmowy nie było wcale. Tak czy owak, Makryna Mieczysławska stała się w Rzymie osobą najpopularniejszą i najznakomitszą. Wierzano powszechnie w jej świętość. Generał Skrzynecki pisał: „Cały dom nasz korzy się przed nią”. Ks. Adam Czartoryski zaznacza „swoje i wszystkich swoich uwielbienie i czułe przywiązanie”. Znany misjonarz, ks. Maksymiljan Ryłło, umierając w Abisynji, przesyła Makrynie swój krzyż misyjny. Kardynałowie Gizzi, Feretti, Newman proszą Makrynę o modlitwę dla siebie. Błogosławiony Liberman poleca modlitwom Makryny całe swoje zgromadzenie...⁴ Papież Pius IX jest

wyjątkowo łaskaw dla Makryny: sam odwiedził ją w klasztorze della Trinità dei Monti a po paru dniach przyjął Makrynę na audjencji. Ks. Jełowicki tak opisuje ostatnie chwile posłuchania u papieża:

„Odszedłszy już papież jeszcze się obrócił ku nam i z najłaskawszym poruszeniem ręki przesłodko zawołał: *Addio, Madre Makryna*.

„Patrzeliśmy za nim ze łzami, aż nam zniknął z oczu. Późem, gdy wychodzącej matce Makrynie służba i straż papieska z wielkiem uczczeniem kłaniała się, ona w prostocie swego ducha, jak gdyby w swym klasztorze w Mińsku, na prawo i na lewo im błogosławiła, czego w papieskim pałacu ani biskupi nie czynią. A wszyscy na to jej błogosławienie pobożnie się żegnali, mając ją za świętą”.⁵

Posiadając tak wielki rozgłos i budząc powszechny podziw i szacunek, Makryna łatwo uzyskała stanowisko przełożonej w zorganizowanym dla niej klasztorze, coraz wzmacniała swe wpływy w społeczeństwie polskim a w wielu wypadkach była czynnikiem decydującym. Do niej z prośbą o pociechę lub radę przychodzili swoi i obcy, pod jej kierownictwem w r. 1848 panie polskie haftowały sztandar dla legjonu, tworzonego przez Mickiewicza. A gdy 11.II. 1869 rozstała się Makryna z tym światem, mówiono, iż umarła *in odore sanctitatis*.

I oto po raz drugi trzeba zadać pytanie: czy taka Makryna Mieczysławska jest istotą rzeczywistą, czy też tylko fikcją; czy jej przeżycia naprawdę były tak wzniosłe i święte, czy też zostały upiękkszzone, a może zmyśłone?

Na te pytania dał już wyczerpującą odpowiedź ks. Jan Urban w swem głębokiem studjum p. t. „Makryna Mieczysławska w świetle prawdy”. Ks. Urban zastanowił się przede wszystkim nad zeznaniami Makryny, złożonemi w Paryżu i Rzymie i odrazu ustalił szereg rażących sprzeczności. Dziś, kiedy jest znany tekst protokołu poznańskiego, sprzeczności te występują jeszcze jaskrawiej. Makryna płące daty, nazwiska, inaczej oświetla te same fakty, przenosi pewne zdarzenia z jednego miejsca na drugie i t. p. Zestawienie nazwisk bazylijanek, wymienianych w opowiadaniach Makryny, z nazwiskami z urzędowych spisów rosyjskich, pozwala twierdzić, iż wszystkie bez wyjątku nazwiska w opowiadaniach Makryny są zmyśłone! Tak samo zresztą, jak i jej własne. Takiej przełożonej bazylijanek nie było wcale, klasztor miński w r. 1837 nie istniał, o męczeństwie bazylijanek nie przechowało się żadnych świadectw. Zeznania poznańskie podpisała Mieczys-

sławska jako Julja-Makryna, później zaś figurowała jako Irena-Makryna; pochodziła ona, jak twierdziła, ze znakomitej starej szlachty, spokrewnionej z domem książęcym Witgenstejnów, ale o takiej szlachcie nie wiedzą nasi heraldycy; urodziła się ona w zamku rodowym w Stokliszkach, w dawnym województwie trockiem, ale próżnobyśmy szukali śladu tego zamku!

I oto ks. Urban, wnikliwie zastanawiając się nad każdym najdrobniejszym faktem, nie waha się nazwać Makryny — oszustką; idzie nawet dalej, stara się zdemaskować ją do końca i wskazuje na dość podejrzaną konduity kucharkę bernardynek święto-michalskich w Wilnie, jako na późniejszą bohaterkę, znaną pod imieniem Makryny Mieczyśławskiej.

A więc — oszustka?! Nie duch wielki, jasny, lecz — sprytna awanturnica? Nie męczennica narodowa, lecz nikczemna kobieta, która w policji otrzymywała różgi za włóczęgostwo i szachrajstwa? I przed nią korzył się Słowacki, przed nią klękał Mickiewicz, jej brudne ręce całowały tysiące najszlachetniejszych osób! Myśleć się nie chce o tem.

A jednak trzeba nie tylko skończyć z legendą o męczeństwie Makryny, lecz i zrozumieć przyczyny powodzenia jej potwornej gry, jak również zastanowić się nad skutkami oszustwa.

Zaznaczyć należy, iż za życia Makryny były dokonywane próby zdemaskowania awanturnicy lub przynajmniej z zastrzeżeniem przyjmowano jej opowiadania. Rząd rosyjski dwa razy w ciągu r. 1846 występował z oświadczeniem, zadając kłam zeznaniom Makryny. Ale te oświadczenia, wydane anonimowo i zredagowane niedołącznie, przebrzmiały bez echa, wywołując raczej tylko niesmak, gdyż zarzuty nie były dostatecznie poparte dowodami i pozwalały sądzić, iż jest to pospolity wykręt rządu rosyjskiego, bojącego się opinii Europy. Ale i samo opowiadanie oraz zachowanie się Makryny nieraz budziło podejrzenia. Nieinteligentna, prostacka, brutalna „arystokratka”, zarozumiała, nietaktowna, sadystycznie lubująca się w zarysowywaniu ohydnych scen — „męczennica”, despotyczna i bezwzględna ksieni, której wkońcu musiano odebrać stanowisko przełożonej klasztoru rzymskich bazylijanek, — była Makryna zjawiskiem dziwnem i w innych warunkach zostałaby prędko zdemaskowana. Ale wówczas, na tragicznej emigracji, jaśniała ona blaskiem, którego źródło było w duszach i sercach nieszczęśliwych tułaczy. Była Makryna jak brudna kałuża, mieniąca się wszystkimi blaskami tęczy pod promieniami słońca: wyrosła

ona z bezbrzeżnej męki i tęsknoty dziesiątków tysięcy ludzi, oderwanych od kraju ojczystego i mających w swych sercach zakłęty ból męczeńskiej ziemi. Makryna — to raczej mit, wyśniony przez zbolałych, zrozpaczonych, w ogniu miłości i cierpień spalających się bezdomnych tułaczy. To jak ze Słowackim: oczy widzą ordynarną twarz kobiety z pospólstwa, uszy słyszą mowę niezgrabną, brutalną, lecz serce widzi oblicze ukochanej matki, dusza słyszy mowę cudną bez słów...

Utwór Słowackiego o Makrynie — oto prawdziwa miara tęsknoty i męczarni emigrantów. Makryna, jako postać — oto straszliwe świadectwo naszej nieznajomości własnych dziejów oraz przeżyć i psychiki milionów „nawracanych” unitów. Państwo polskie, tylekroć wykreślane z mapy Europy, traciło na zawsze ogromne obszary ziem, naród polski oddzielano murem od milionów ludzi, korzystających z dorobku kultury polskiej, Polaków wynarodawiano, Kościół unicki, katolicki został zlikwidowany, — myśmy zaś nic o tem nie wiedzieli, nie rozumieliśmy powagi dokonanych zdarzeń, nie zdawaliśmy sprawy z nieprawdziwości opowiadań „Makryny”.

Fałsz polegał nie na zarysowaniu barbarzyństwa Moskali, którzy, pastwiąc się później nad chełmskimi unitami, dopuszczali się większych zbrodni, niż zmyśliła Makryna (zresztą i za czasów Siemaszki, jak stwierdza on sam, nieraz wysyłano oddziały wojskowe z armatami w celu zdobywania... kościołów unickich ⁷⁾), fałsz polegał na zbytciem zacieśnianiu granic zjawiska.

Zakon bazylianów w chwili likwidacji Unji był całkowicie obywatelniony, prawie nie istniał, wszyscy zaś wiedzieli tylko o męczeństwie nieistniejących bazylijanek; Siemaszko prowadził piekielną grę i wprowadzał w życie plan, mający nieobliczalne następstwa, wszyscy zaś oburzali się na to, jak on wybił Makrynie dziesięć zębów (w Poznaniu była mowa o jednym zębie); wydzierano wiarę milionom, wydzierano w sposób najohydniejszy, bo podstępem, wszyscy zaś ręce załamywali nad barbarzyństwem Moskali, czyhających na cnotę sześćdziesięcioletniej dziewicy, która była szczególnie przez wrogów atakowana, ale broniła się niezwykle dzielnie.

„Ja byłam ukąszona trzy razy, a miałam bok tak rozdarty, iż, jak mi siostry mówiły, wnętrzości tylko samą błonką były przytrzymywane. Zaś głowę rozbito mi tak, iż kość w czaszce wówczas przełamaną utraciłam, a w tem miejscu sama tylko skóra mózg przykrywa”...

Rozgrywała się olbrzymia tragedia, której bohaterami były setki i setki tysięcy ludzi, dokonywały się decydujące przeobrażenia, ważyły się losy wielu pokoleń polskich, lecz wszystko to przesłoniła sobą marna postać pseudo-męczennicy. Zagadnienie likwidacji Unji zostało dziecinnie uproszczone, uwaga kilku pokoleń Polaków — skierowana na rzeczy jaskrawe, lecz mniej istotne, a wskutek tego sparaliżowano wysiłek, potrzebny do ratowania ginących placówek.

Trzeba było długich lat, aby wreszcie rozległ się głos człowieka, który pierwszy ogarnął ogrom klęski. W r. 1867 w kościele św. Atanazego w Rzymie mowę na cześć św. Józefata Kuncewicza wygłosił krzewiciel Unji kościelnej w Bułgarji, niegdyś znany poeta i żołnierz, uczestnik powstania listopadowego i zdecydowany przeciwnik powstania styczniowego, ks. Hieronim Kajsiowicz.

W mowie tej, zastanawiając się nad znaczeniem Unji i nad jej dziejami w Polsce, wypowiedział Kajsiowicz taką myśl:

„O, gdyby Polacy, pracując nad poprawą wewnętrzną, umysłową, obyczajową i społeczną (czego właśnie Bóg się od nich domagał, odbierając im byt polityczny), gdyby obrócili byli na ratowanie Unji i bronienie Kościoła w ogólności tylko setną część patriotyzmu, zachodu, pieniędzy i krwi, które zmarnowali na niewczesne zbrojne powstania, niewątpliwie byłiby już odzyskali naczelne miejsce wśród narodów słowiańskich!”...⁸

Echa mowy rzymskiej polskiego kapłana nie dotarły do szerszych mas społeczeństwa polskiego i gdy w pięć lat po jej wygłoszeniu rozpoczęli Moskale krwawą likwidację Kościoła unickiego na Chełmszczyźnie i Podlasiu, nie byliśmy przygotowani do skoordynowanych czynów, ani nawet do zrozumienia istoty rozgrywających się zdarzeń.

Przeszło trzydzieści lat (1872—1905) trwał barbarzyński ucisk unitów chełmskich i podlaskich, nawracanych na wiarę prawosławną zapomocą nahajów i karabinów. Straszne, fantastyczne rozgrywały się sceny, niebывały hart ducha wykazały jednostki, zdawało się, słabe i małe. Toczyła się walka nierówna, beznadziejna, nie znająca kompromisów.

Dopiero w ciągu tej walki zaczął naród polski uświadamiać sobie ogrom zarysowującej się klęski, a wskutek tego zgodnie stanął w obronie męczeńskich wyznawców wiary grecko-katolickiej.

Ale im lepiej rozumiano to, co się działo na Podlasiu, tem gruntowniej zapominano o tem, co się już dokonało na Litwie i Białej

Rusi; im szerzej obejmowano przyczyny, skutki i przejawy walk unitów podlaskich, tem więcej zacieśniano granice zjawiska likwidacji Unji na ziemiach północno-wschodnich. Aż wreszcie wszystkie serca polskie zaczęły drgać na dźwięk wyrazów: Chełmszczyzna i Podlasie i nikt już nie wiedział prawdy o tragedji setek tysięcy unitów, którzy pierwsi padli ofiarą zdrady i gwałtów.

Dzieje likwidacji Unji kościelnej na Litwie i Białej Rusi przesłonił ponury cień pseudo-męczennicy Makryny Mieczysławskiej.

TRAGICZNE DZIESIĘCIOLECIE

Czwarty dziesiętek lat ubiegłego stulecia jest niezawodnie jednym z najtragiczniejszych okresów naszych dziejów. Te straszne dziesięć lat — od r. 1830 do r. 1840 stały się jakby wielkim skrótem naszej historii: kazały narodowi przeżyć w tym czasie to, co przeżywały całe pokolenia; wydobyły z Polaków wszystkie ich cnoty, a jednocześnie ujawniły wszystkie wady narodowe; postawiły naród wobec możliwości najwznioślejszych czynów, lecz obezwładniły go i sprawiły, że w momentach najważniejszych był on bezradnym i beczynnym świadkiem rozgrywających się wielkich wypadków; zarysowały wreszcie olśniewające horyzonty i straciły później cały naród w tak ciemną i bezdenną otchłań, że zbladły i zmały nawet obłędne tragedje rozbiorów... Upadkiem niedołącznie zorganizowanego, lecz wspaniale się zapowiadającego powstania rozpoczęło się to dziesięciolecie, upadkiem Unji kościelnej ponuro się zakończyło. Dwie klęski, które wyrosły na gruncie setek drobnych klęsk, dwie olbrzymie, zawrotne katastrofy, w niejednym podobne do siebie, dwie samobójcze zbrodnie, popełnione na narodzie polskim przez sam naród, — zaważyły na dalszych losach męczeńskiej Polski, na nowe drogi, na nowe bezdroża skierowały bieg spraw. Późniejsze wypadki przesłoniły te dwa wielkie zdarzenia: krwawy rok 1863 pozostawił w duszach polskich głębszy ślad, niż rok 1831, w półlegendarne męczeństwo unitów podlaskich od r. 1872 zaćmiło ból i beznadziejną rozterkę ich starszych braci z nad Niemna, Dźwiny i Dniepru. Wskutek tego zaczęto nie doceniać ogromnej wagi podstawowych zdarzeń i dotychczas nie mamy historycznego dzieła, któreby wykazało decydujące wpływy tragicznego dziesięciolecia (a więc z uwzględnieniem likwidacji Unji), nie tylko na sprawy polityczne, narodowe i społeczne, lecz i na kształtowanie się psychiki zbiorowej.

Na decydujące znaczenie w naszych dziejach powstania listopadowego bodaj pierwszy zwrócił uwagę Stanisław Tarnowski, który niezmiernie trafnie powiedział: „Kiedyś głównym i rozstrzygającym

faktem naszej historii XIX wieku wyda się nie r. 1815, ani 1863, ale 1830, a jak naszych czynów i ksiązek, tak naszych ludzi nikt bez niego zrozumieć nie zdoła".¹

I rzeczywiście: rok 1830 wywołał w narodzie olbrzymi wstrząs: rozkołysał nadzieje i zmiażdżył resztki polskiej państwowości. Nawet po trzecim rozbiore sytuacja nie była tak beznadziejna, jak wówczas, gdyż u nóg zwycięzcy legła Polska nie tylko pokonana, lecz i ogołociona z ducha ze względu na masową emigrację elementu najbardziej twórczego. Wytworzyła się jakaś straszliwa próżnia: wróg rządził, nie spotykając opozycji w narodzie, wyczerpanym i niezdolnym narazie do zorganizowania nowej siły; naród jakgdyby przestał istnieć.

Ostateczna utrata państwowości polskiej pociągnęła za sobą wprost nieobliczalne skutki: grunt pod nogami utracili właściwi kierownicy państwa: ludzie myśli państwowej, kierownictwo nad narodem objęła wielka, natchniona poezja, prowadząca naród ku Polsce idealnej, Polsce—marzenia, Polsce jutrzejszej, w niczem niepodobnej do Polski dnia dzisiejszego i wczorajszego. Naród zaczął się kształcić w szkole cierpień i marzeń, coraz dalej odsuwając się od rzeczywistości, coraz gruntowniej zapominając o tem, na jakich fundamentach budują się państwa i jaki istnieje związek między państwowością a narodowością. Dążono do wychowania narodu Mesjasza i zapominano o idei państwa mocarstwowego. Wyrabiał się i stopniowo zapanaował powszechnie uczuciowy stosunek do historii: stopniem cierpienia mierzono fakty historyczne, szczególnie — bliższe w czasie, nie doceniano, nie uznawano najdonioślejszych wypadków dziejowych, jeżeli nie były one oprawione w ramy z szubienic i kajdan, nie zostały obficie zroszone krwią i łzami.

Jeżeli upadek powstania r. 1831 zadał wielki cios Koronie, to na Litwie miał skutki, graniczące z ostateczną klęską. Litwa, od szeregu wieków ściśle zespolona z Koroną, czerpała stamtąd wielką moc duchową, której źródłem była nie tylko kultura polska, lecz i polska państwowość. Dla Litwy nie było alternatywy: albo — albo, Polska taka lub owaka; istniała tylko jedna konieczność — Polska mocarstwowa. Tylko Polska potężna dawała rękojmię spokojnego życia i normalnego rozwoju; wszelka inna sytuacja mogła być tylko stanem przejściowym, lub się stawała katastrofą. Stale żywotna na Litwie idea mocarstwowej Polski sprawiła, że właśnie na ziemiach litewskich wyrastały lub znakomicie się rozwijały wielkie postacie wybit-

nych mężów o lotnej, śmiałej, państwowotwórczej myśli i że po klęskach rozbiorów i przegranej wojnie francuskiej właśnie w oderwaniem od centralnej Polski Wilnie jasnym płomieniem zapłonęły najbardziej polskie serca rdzennie litewskiej (nie w dzisiejszym rozumieniu) młodzieży filomackiej i filareckiej, godnej spadkobierczyni wielkiej idei narodowej i państwowej.

Powstanie r. 1831 zaskoczyło Litwę zupełnie nieprzygotowaną do wystąpienia zbrojnego; grasująca wówczas epidemia cholery tem bardziej zwiększała ogólny zamęt i zdenerwowanie, lecz gdy wreszcie sytuacja zaczęła się wyjaśniać i ziemie wschodnie sposobiły się do czynu orężnego na wielką skalę, w Koronie rozgrywały się decydujące wypadki, los powstania był przesądzony. Upadek powstania dla Litwy był prawdziwą katastrofą: żywioł rosyjski, od kilku dziesięcioleci bezskutecznie atakujący polskość ziem wschodnich, z nową siłą i większą pewnością zwycięstwa uderzył w główne ognisko kultury polskiej na Litwie — w Uniwersytet Wileński, przekształcając go na dwie specjalne uczelnie: akademię duchowną i medycyną, — i rozpoczął likwidację wszelkich urządzeń, mających charakter państwowy polski. Jednocześnie gorączkowo, choć wciąż w ukryciu podpiłowywano podstawy, na których się trzymał Kościół unicki.

Przekreślenie istnienia państwa polskiego, chociażby w tak niedoskonałej postaci, jak Królestwo Kongresowe, oraz utrata wszelkiej nadziei na ponowne uzyskanie nawet iluzorycznej samodzielności, postawiły Litwę w sytuację rozpaczliwą.

Trzeba było albo się zdobyć na jakiś olbrzymi wysiłek samodzielny, albo wybrać drogę niepewną i uciążliwą: przez wielką i potężną Rosję do wielkiej i potężnej Polski. Pierwsze wyjście nie mogło doprowadzić do ostatecznego zwycięstwa: nikt przecie nie myślał o stworzeniu samodzielnego bytu politycznego litewskich ziem Polski, ale do pewnego stopnia weszły na tę drogę jednostki ruchliwsze i energiczniejsze, pracując nad „samowystarczalnością” Litwy pod względem ekonomicznym i literackim. Szczególnie to się zaznaczyło w ruchu literackim: Wilno znów stało się ośrodkiem ruchu umysłowego i kulturalnego północno-wschodnich ziem Rzplitej, zajmując pod względem wydawniczym jedno z naczelných miejsc w Polsce; powstała wreszcie dość wojownicza i płodna grupa pisarzy „litewskich”, gorliwie i z zapałem zastępujących najtęższe siły, które Polskę opuściły. Ale główną uwagę, często nawet podświadomie, jednostki czo-

łowe skierowywały na odnalezienie sposobu współżycia z Rosją, coby pozwoliło w przyszłości znów i już na stałe połączyć się z Polską. Orientacja t. zw. rosyjska zaznaczyła się wyraźnie w okresie wojen napoleońskich i ślad trwalszy pozostawiła po sobie na czas dłuższy; po r. 1831 znacznej siły nabrał ruch słowianofilski, chętnie popierany przez Rosję, rozpoczęło się szukanie nowych, lepszych dróg, zapanowała pewna dezorientacja, a wskutek tego — osłabienie ogólnej odporności na gwałty i podstępny zaborcy.

Trzy ewentualności zarysowywały się wówczas przed społeczeństwem polskim wogóle, na ziemiach zaś byłego Wielkiego Księstwa Litewskiego w szczególności: walka, kompromis lub rezygnacja. O walce czyż można było myśleć? Wysiłek zbrojny tak niedawno zakończył się katastrofą, walka duchowa była niezwykle utrudniona, gdyż brakowało do niej ludzi i powszechnej wiary w zwycięstwo. Pomimo to myślano o walce i choć nieliczne jednostki stawiały na apel, rozlegający się z emigracji. Pozostawały dla szerszego ogółu dwa niby — wyjścia: kompromis, wymagający wyjątkowego hartu ducha, aby się nie załamać i nie zgnuśnić, oraz klęska najstraszliwsza — rezygnacja, ponury los słabych dusz, niezdolnych do lotu, nie mających wiary...

I oto po r. 1831 na ziemiach polskich zapanował okres powszechnego kompromisu. Rozmaicie wkraczano na tę drogę: jedni kierowali się rozsądkiem, snując najprzeróżniejsze plany i tworząc najfantastyczniejsze nieraz teorie, mające w sposób niezawodny uratować naród; — inni zmuszali swe serca do żywszego tętna na myśl o „braciach-słowianach” i, kierując się uczuciem, budowali świetlaną przyszłość, opromienioną zgodnym współżyciem pogodzonych i naprawdę zbratanych na wieki narodów słowiańskich; — byli i tacy, którzy wkraczali na drogę kompromisu wskutek braku siły lub wskutek najpospolitszego tchórzostwa; szukali wreszcie kompromisu i tacy, którzy czuli w sobie moc wielką, lecz pragnęli ją ukryć przed wrogiem.

Stary to jest sposób ratowania sytuacji zapomocą wzajemnych, a najczęściej jednostronnych ustępstw oraz zmniejszania celów... Próbowaliśmy tego środka wiele razy i przed fatalnym rokiem 1831. Okres wojen napoleońskich, lata rozbiorów, epoka stanisławowska, czasy saskie i jeszcze wstecz — tyle razy wówczas pobudką naszych czynów, nieraz mających decydować o przyszłości narodu, była wiara w niezawodną skuteczność kompromisu! I prawie zawsze ten nasz państwowy i narodowy kompromis był nie ideą, rodzącą się w du-

szach ludzi silnych, lecz ucieczką przed dalszem niebezpieczeństwem po jakiejś wielkiej klęsce lub po nagłym przerażeniu z powodu przesadnej oceny „niezlomnej” potęgi wroga. Pod tym względem w ciągu wieków zaszła kardynalna zmiana w naszym stosunku do wielkich zagadnień: zapomnieliśmy o czasach, kiedy, stając wobec konieczności zrobienia ustępstw i zrezygnowania z pewnych praw, godziliśmy się na to tylko wówczas, kiedyśmy czuli w sobie moc największą. Królowie Sasi i Stanisław Poniatowski odzwyczaili nas od gestów unijnych Jagiellonów... I stało się tak, że rękę do wrogów lub obcych zaczęliśmy wyciągać wówczas, gdy sami nie mieliśmy sił... I gdy tak postępowaliśmy względem obcych i obojętnych nam narodów, nie zachodziły żadne zmiany w naszej sytuacji: ktoś się zdziwił, ktoś wzruszył ramionami, ktoś się uśmiechnął szyderczo — i wszystko szło w niepamięć. Gorzej było, gdyśmy tak postępowali wobec wroga: nieprzyjaciel skwapliwie korzystał z dobrej okazji, chwycił, zabierał co się dało i na cały głos triumfująco krzyczał o naszej słabości, o naszej klęsce.

Po czwartym dziesięcioleciu wkroczyliśmy jeszcze raz na tę drogę kompromisów, wypływających z wewnętrznej rozterki, niedoceny własnych sił i przeceniania sił wroga. Po klęsce wojennej i politycznej takie postępowanie jest zupełnie naturalne, gdyż niesposób jest ocenić bezstronnie sił nieprzyjaciela, dziwnem natomiast może się wydać, iż widmo potęgi Rosji, straszące kilka pokoleń Polaków, w pewnym przedpowstaniowym roku stanęło nagle przed trzema wyjątkowo silnymi i biegunowo do siebie niepodobnymi jednostkami i wydobyło trzy głosy — różne, dziwne, ale jednakowo stwierdzające siłę państwa carów.

Tym rokiem był r. 1827. Osoby o których mowa: Mickiewicz, Siemaszko i Hoene-Wrońskl...

Gdyby kto chciał znaleźć trzy jednostki nic a nic ze sobą wspólnego nie mające (z wyjątkiem temperamentu i energii), nie znalazłby lepszego przykładu. To są trzy różne struktury psychiczne, trzy odrębne światy. Tem większego znaczenia oraz jaskrawości nabierają ich jednoczesne, choć absolutnie niezależne od siebie, wystąpienia w roku 1827.

O Mickiewiczu i Siemaszce jużśmy mówili. Pozostaje tylko dodać parę słów.

W r. 1827 Mickiewicz napisał „Konrada Wallenroda”. Było to nie tylko zdarzenie literackie, lecz zdarzenie narodowe. Poeta, który

był i jest najdoskonalszym przedstawicielem narodu, gdyż w duszy swej miał wszystkie pierwiastki duszy zbiorowej narodu, — poeta ten zetknął się oko w oko z potęgą carów. Mickiewicz znał przedtem Rosję w minjaturze, czyli tę Rosję, która brutalnie, lecz niedołąźnie panowała się na ziemi ojczyściej, wykazując więcej złości, niż siły. Dopiero na tułaczce poznał Mickiewicz Rosję w skali bez porównania większej, przekonał się, że car i jego otoczenie, to nie wileński gubernator Korsakow, to nie Nowosilcow, Bajkow i setki innych dygnitarzy, szukających pomimo wszystko względów Polaków (przynajmniej arystokracji polskiej): rządy carskie to coś większego, niż despotyzm i swawola gubernatorów i generałów w Wilnie i Nowogródku. Poznał Mickiewicz potworny system rządów despoty-cara, władającego tłumami przerażonych niewolników, mających smutny zaszczyt być obywatelami imperjum rosyjskiego; zobaczył na własne oczy źródło siły cara — wojsko — karne szeregi nowoczesnych gladiatorów; poznał całe społeczeństwo rosyjskie albo nie umiejące myśleć, albo się bojące, albo nie chcące. Jak ściana granitowo-zimna, spokojna, bezduszną stanęła przed oczyma poety potęga Rosji, przesłaniając jasne horyzonty. I stąd ten wybuch wallenrodyczny. Trzeba czynu, trzeba walki, lecz wróg albo nie przyjmie wyzwania, albo — zmiażdży walecznego. Więc zamknąć oczy i walić w ten mur, podminowywać, rozsadzać, byle wywołać wybuch, byle pękł martwy granit i zarysowały się szczyrby. „Konrad Wallenrod” to nie program narodowy, nawet nie drogowskaz dla jednostki, — to wybuch gniewu żołnierza, któremu wytracono z rąk broń, to przekleństwo, rzucone przez człowieka, skutego łańcuchami w okresie, kiedy walka musi rozgorzeć na dobre. Ale „Konrad Wallenrod” nie jest również wyrazem nastroju jednostki, lecz odzwierciadła nastrój całego narodu: gdzieś głęboko w podświadomości błąkały się te same myśli i uczucia, które w formie poetyckiej odtworzył Mickiewicz, — i dlatego poemat miał tak niezwykle powodzenie u czytelników, dlatego zrodził, a raczej zbudził ze snu dziesiątki, a bodaj setki Konradów Wallenrodów, nie odróżniających przekleństwa od hasła, pogrożki od programu. „Konrad Wallenrod” to tragiczny dokument rozterki duszy polskiej, ogarniającej cały ogrom niebezpieczeństwa, pragnącej zdecydowanego czynu, lecz... nie posiadającej narazie planu działania, nie widzącej wyjścia...

W r. 1827 prałat Siemaszko złożył carowi Mikołajowi poufny projekt zlikwidowania Unji. Nie od razu przyszedł Siemaszko do tego

projektu, nie zaraz po przyjeździe do Petersburga opracował swój nikczemny plan. Trzeba było pięciu lat pobytu w stolicy Rosji, aby taki plan dojrzał, nabrał kształtów realnych. Siemaszko przedtem nie znał Rosji, i nie posiadał języka rosyjskiego. Co przeżywał on w Rosji, jakie miał wrażenia, jakie się rodziły w nim uczucia i myśli — nie wiemy. O tem w swoich zapiskach mówi on zbyt pobieżnie, jakby niechętnie. Przyjąć za pewne należy tylko to, że po przyjeździe do Petersburga młody prałat zamknął się w swoim pokoju i zaczął pochłaniać rosyjskie książki, pragnąc poznać język rosyjski, — czy tylko język? Łapczywie czytał, co się mu tylko trafiło pod rękę; w ciągu pierwszego roku przeczytał przeszło czterysta książek. Czego szukał on w tych książkach? Czy poznał kulturę rosyjską i duszę Rosjanina? Czy pod wpływem lektury rzeczywiście „spokrewnił się duchowo z Rosją i Cerkwią prawosławną”, jak o tem mówi we wspomnieniach, czy też wyciągnął jakieś wnioski po zgłębieniu znajomości Rosji?...² Nie wiemy. Gdy po pewnym czasie przyjechał do Petersburga uniwersytecki kolega Siemaszki, Antoni Zubko, zarzucił Siemaszko książki i zaczął prowadzić bardziej wesołe życie. Często, bardzo często bywał w teatrach, aż się gorszyli poważni, ponurzy popi petersburscy, odwiedzał dawnych znajomych, zawierał znajomości nowe. Czy pragnął tylko rozrywek? Czy też otwierał szeroko oczy na całokształt życia rosyjskiego, ważył potęgę Rosji i zastanawiał się nad dalszą drogą nie tylko dla siebie...

Nie wiemy i tego. Ale z pewnością twierdzić możemy, że wyjeżdżając w r. 1822 do Petersburga, nie miał Siemaszko gotowego planu likwidacji Unji. Jak doszedł do tego planu i dlaczego doszedł? Szukał kariery? — Ależ miał ją zapewnioną. Pragnął pieniędzy i zaszczytów? — Mógł mieć to, nie zdradzając religii. Uznał wyższość dogmatów Cerkwi prawosławnej? — Lecz wówczas stałby się otwartym głosicielem wiary prawosławnej i nie podsuwałby carowi planu podstępного likwidowania Unji. Tak czy owak, myśl apostazji zrodziła się i dojrzała w Petersburgu, w obliczu całej potęgi Rosji. Władzy i zaszczytów pragnął Siemaszko napewno w skali zawrotnej: może chciał być faktycznym zwierzchnikiem Cerkwi prawosławnej, najbliższym pomocnikiem i doradcą cara, niekoronowanym władcą Rosji, — i to były pragnienia jego osobiste, ściśle prywatne; wszelkie zaś inne jego myśli, dążenia i uczucia miały w sobie coś z myśli, dążeń i uczuć — niejasnych, niewypowiedzianych — setek osób. Strach przed potęgą

Rosji, niewiara we własne siły, brak mocnego oparcia, jakie daje szczerza i głęboka religijność, to, co tkwiło w skarłanych duszach setek unickich księży—oto sprzymierzeńcy Siemaszki w dziele likwidacji Unji. Siemaszko, kryjący się ze zdradą, był pomimo wszystko reprezentantem szerszych mas; jego czyn jest nie tylko świadectwem nikczemności jednostki, lecz jednocześnie wymownym dokumentem wykolejenia się dusz, zapominających lub nie zdających sobie sprawy z istnienia potęgi większej od potęgi carów...

W r. 1827, w styczniu, znajdujący się poza granicami kraju były oficer kościuszkowski, później—dziewiętnastoletni podpułkownik armii rosyjskiej, znakomity filozof Hoene-Wroński wystosował list do papieża Leona XII. W liście tym, kreśląc przyszłość Europy i mówiąc o zadaniach, jakie ma przed sobą ludzkość, zaznaczył Wroński, iż kierownictwo sprawami ludzkości obok Kościoła i państwa ma objąć Unja bezwzględna (Union absolue), której przypadnie praca przygotowania ludzkości do wielkich czynów. „Unja bezwzględna utworzy się w łonie ludów słowiańskich; stanowi to ich posłannictwo mesjańskie. Protektorem Unji ma być cesarz rosyjski. Pod jej wpływem nastąpi zlanie Kościoła wschodniego z zachodnim; głową Kościoła pozostanie papież”...³ Mamy się uśmiechnąć na fantastyczny projekt filozofa, nie liczącego się z rzeczywistością? Ależ projekt Wrońskiego, pomimo całą swoją nierealność, jest jednak echem jakichś drgnień duszy polskiej, pragnącej szerszych horyzontów i możliwości głębszego oddechu. Od niego do słynnego listu towiańczyków prosta prowadzi droga...

Mickiewicz, Siemaszko, Hoene-Wroński... Poeta, kapłan i filozof... Trzej tak niepodobni do siebie ludzie, którzy zbliżeni przyjrzeni się Rosji, w sposób jednakowo stanowczy skonstatowali potęgę Rosji, całkowicie różne wyciągając wnioski.

Poeta odczuł w Rosji siłę ogromną, lecz bezduszną, miazdzącą. Car — despota azjatycki — to narzędzie szatana, bodaj sam szatan w ludzkiej postaci. Trzeba siłę szatana zwalczyć, zniszczyć, trzeba się jej przeciwstawić natychmiast, nie czekając na zbiorowy wysiłek narodowy. Carowi potężnemu pokazuje poeta ponure widmo Konrada Wallenroda...

Kapłan zna ogrom potęgi cara. Czy twórcą tej potęgi jest Bóg, czy też szatan, niewiele to obchodzi kapłana katolickiego: carowi oddaje on przeszło milion katolików; cara uznaje za głowę narodu i Kościoła.

Filozof chce sięgnąć do źródeł potęgi cara. Jest przekonany, że Rosja ma do spełnienia misję opatrnościową, iż ona właśnie jest powołana do pielęgnowania idei mesjanicznych, że Polacy nigdy nie odbudują swego państwa, — więc oddaje naród polski pod władzę cara, Cerkiew zaś carską, prawosławną — pod władzę papieża...

Możemy nazwać to przypadkiem, jeszcze jednym „zbiegiem okoliczności”, lub jakoś inaczej, ale zawsze uderzać będą te trzy jednocześnie głosy, świadczące o tragicznej rozterce duszy polskiej i pozostawione potomnym przez trzech tak niepodobnych do siebie ludzi, którzy wpływ wielki, choć niejednakowy wywierali na otoczenie. Coś się załamywało w duszy narodu polskiego jeszcze przed powstaniem listopadowym, dokonywały się jakieś przemiany, o których nie wiedzieli i z którymi się nie liczyli przywódcy walk 1831 r.

Likwidacja Unji, jako zdarzenie dziejowe, ma ścisłą łączność z upadkiem powstania listopadowego i jest może najjaskrawszym przykładem manowców duszy polskiej. Kler unicki po powstaniu był szczególnie słaby; zakon bazylianów został zlikwidowany i to odrazu dało się we znaki. Bazylijanie w ostatnich latach w. XVIII i na początku w. XIX zdecydowanie się zbliżyli do Kościoła łacińskiego: wymagały tego uchwały soboru Zamojskiego, sprzyjała temu sytuacja polityczna oraz praca oświatowa, prowadzona wówczas przez bazylianów na większą skalę. Zacieraly się różnice pomiędzy parochem unickim, a księdzem łacińskim; zewnętrznych różnic nie było wcale. To sprawiło, że do zakonu bazylianów zaczęli się zgłaszać łacinnicy, a że stanowili oni element światlejszy, byli przyjmowani do zakonu coraz chętniej. Kiedy biskup Żarski przeprowadził w r. 1832 wizytację 37 klasztorów unickich, znalazł w nich na ogólną ilość 313 zakonników — 129 łacinników, czyli 41,2⁰%. W niektórych klasztorach łacinnicy stanowili nawet większość zakonników. Tak np. w klasztorze boruńskim było 4 unitów i 7 łacinników, w wileńskim — 5 unitów i 9 łacinników, w witebskim — 5 unitów i 6 łacinników, w antopolskim — 2 unitów i 6 łacinników, w ładańskim — 3 unitów i 6 łacinników, w różańskim — 1 unita i 4 łacinników, w orszańskim — 1 unita i 4 łacinników, w białostockim po 3-ch i t. d.⁴

Takie stosunki wpływały na wzmocnienie pozycji społecznej oraz na odpowiednie ukształtowanie psychiki bazylianów. Czuli się oni księżmi naprawdę katolickimi i polskimi; byli Polakami, a jednocześnie członkami wielkiej międzynarodowej rodziny kleru rzymskiego, reprezentantami państwa kościelnego, mającego niezależny byt i posia-

dającego władzę nieraz większą, niż ta, którą posiadają królowie i cesarze. Z Rzymem mieli bazyłjanie stałą łączność, posiadając tam własny kościół della Madonna del Pascolo oraz klasztor, znajdujący się pod zarządem bazyłjanów—Polaków, pochodzących z północno-wschodnich ziem Rzeczypospolitej. Wskutek takiej świadomości i takich stosunków wyrabiała się stopniowo większa niezależność i pewność siebie, cechujące kler katolicki, oraz zdolność do czynów—kapłańskich i narodowych — bardziej zdecydowanych.

Kler świecki tego poczucia nie miał. Wrośnięty w ziemię, na której siedział z dziada-pradziada, skoligacony z wielką ilością rodzin, miał ten kler przedewszystkiem silne poczucie państwowości. Obecność własnych licznych rodzin wytwarzała konieczność prowadzenia stałej walki o byt, co zasadniczo różniło księży świeckich unickich od księży bezżennych, robiło ich bardziej wrażliwymi na zagadnienia polityczne i społeczne i zmuszało do liczenia się z władzą świecką w stopniu często większym, niż z władzą duchowną. Dlatego też księża unicy mogli być i przez długi czas byli poważnym czynnikiem państwowym polskim. Rozbiory nieco osłabiły odporność kleru unickiego na zakusy krzewicieli schizmy, ale jednak tradycje były tak silne, kultura polska kraju tak wyraźna, nadzieje na wskrzeszenie państwa polskiego wciąż tak żywe, iż kler unicki trwał na swym postęunku, nie zmieniając zasadniczych poglądów i kokietując Rosjan tylko w celu skuteczniejszej walki z bazyłjanami, którzy zagarniali wielkie dobra, coraz to wzmacniali swe wpływy i, nie rozumiejąc warunków, w jakich się znajdował kler świecki, odsuwali się od niego, nie dbając o tak ważne kształcenie dzieci parochów. Po upadku powstania listopadowego grunt się zachwiał pod nogami kleru unickiego, który zaczął oglądać się za nową siłą państwową, ściśle—uważniej przyglądać się państwowości rosyjskiej. Kierownicy likwidacji, trzeba im to przyznać, postępowali bardzo zręcznie i ze znajomością psychiki kleru unickiego. Mówiło się o nowem odświeżeniu Kościoła zapomocą przywrócenia dawnych obyczajów, dążono pozornie do niedrażnienia tylko Moskwy, do silniejszego oparcia się na państwowości rosyjskiej. Rząd rosyjski ze swej strony zdecydowanie podkreślał swoją lojalność wobec Kościoła unickiego, po jego zaś likwidacji — do ex-unitów. Zagadnienie różnic dogmatycznych sprowadzało się zwykle do kwestji władzy papieskiej, czyli do kwestji mało obchodzącej szersze masy parochów, dla których papież był raczej symbolem, niż żywą istotą.

Dziejów likwidacji Unji nie można rozpatrywać, jako wielkiej afery kilku nikczemników, za pieniądze lub dla zaszczytów podkopywujących istnienie Kościoła i oddających miliony katolików pod władzę Cerkwi, — niesposób znowuż potępiać w czambuł wszystkich parochów, oskarżając ich o indyferentyzm religijny i brak etyki. Z całą pewnością wielu uczestników w dziele likwidacji uważało swój czyn za pewien kompromis, którego celem jest wytworzenie dobrych stosunków pomiędzy Rosją a Polską.

Stworzenie na ziemiach polskich osobliwego Kościoła prawosławnego, tradycjami ściśle związanego z Polską i kierowanego przez popów o wygładzie księży katolickich, mogło skierować na nowe tory sprawę spółzycia narodów polskiego z rosyjskim. Uczucia narodowe kleru były mocne, szukanie punktu oparcia w strukturze państwowej zbyt wyraźne, dlatego umiejętnie pokierowany dał się ten kler zaprowadzić na manowce.

Zastanawiając się nad upadkiem Unji kościelnej, możnaby bez końca robić przypuszczenia na temat: co by było, gdyby i t. d. Co by było, gdyby nie istniał Siemaszko, lub gdyby on nie wyjeżdżał do Petersburga; gdyby nie tak prędko poumierali wszyscy starzy biskupi, — gdyby w Żyrowicach nie było „papy”, otoczonego liczną rodziną, — gdyby bazyłjanie wporę naprawili swe błędy i potrafili wychować nowe pokolenie parochów, bezwzględnie oddanych swej religji, gdyby w Seminarjum Głównem w Wilnie inne panowały stosunki, — gdyby i t. d. i t. d. aż do ostatniego: gdyby powstanie 1831 zakończyło się zwycięstwem Polski? To ostatnie „gdyby” jest najważniejsze, gdyż w roku 1831 ważyły się losy Unji, jak się ważyły losy całego narodu. Dzieje likwidacji Unji nie są tylko dziejami Kościoła, łączą one tyle przeróżnych zagadnień, że się wytwarza niezwykle spłot, w którym zagadnienia religijne nietylko nie górują, lecz często ustępują miejsca zagadnieniom państwowym, narodowym, społecznym, ekonomicznym, psychologicznym i t. p. Dlatego właśnie przez dłuższy czas nie orjentowano się w dokonywującej się likwidacji Unji, nie zauważono ostatecznego jej upadku. Nawet unici nie zdawali sobie dobrze sprawy z tego, co się dzieje, cóż dopiero łacinnicy, których cała uwaga była pochłonięta sprawami narodowymi i politycznymi, przesłaniającymi starannie ukrywaną tragedję Kościoła unickiego.

Rok likwidacji Unji był przecie rokiem smutku i klęski na Litwie: odbywał się wówczas i bezwzględny wyrok zakończył się

wileński proces Szymona Konarskiego. Jeszcze przedtem emisariusze, przygotowujący grunt do nowego powstania, zaczęli wpadać w ręce Moskali. W Białymstoku został stracony Adam Piszczatowski, w Grodnie — Michał Wołłowicz... Ale proces Konarskiego zatoczył szersze kręgi, większego nabrał rozgłosu ze względu na osobę bohatera oraz na wielką ilość oskarżonych. Właśnie w dniu podpisywania w Połocku przez trzech unickich biskupów słynnego aktu likwidacyjnego, 12. II. 1839 z Wilna wywożono na Kaukaz zamieszanych w procesie Konarskiego uczniów akademji i gimnazjum. 27 lutego publicznie rozstrzelano Konarskiego...

Naród polski znów się okrył żałobą. Były to przecież czasy, kiedy niemal każda rodzina kogoś opłakiwała, za kimś tęskniła. Myślą szukano osób najbliższych, najdroższych szukano gdzieś hen: w dalekim Paryżu, we Włoszech lub, może nawet częściej—na Kaukazie czy też Syberji... Nikt więc nie uświadamiał sobie, nikt nie wiedział o bliskim ciosie, wymierzonym przeciwko Kościołowi katolickiemu i narodowi polskiemu. Nawet kiedy we wrześniu 1839 spotkali się w Wilnie trzej prawosławni biskupowie: Izydor, biskup połocki i mohylewski oraz renegaci — Siemaszko i Zubko, — nawet wówczas nie zwrócono na to większej uwagi, choć Siemaszko zachowywał się prowokacyjnie. Urządzono solenne nabożeństwo w starym bazylijskim klasztorze św. Trójcy, znajdującym się przy klasztorze, który tak się zaznaczył w dziejach walk o wolność ojczyzny. Biskupi zjawili się w otoczeniu dwunastu duchownych, przyczem Siemaszko dobrał do asysty ludzi, najbardziej znanych w Wilnie: Tupalskiego, Ferdynanda Homolickiego (brata emerytowanego profesora Uniwersytetu Wileńskiego — Michała Homolickiego) oraz swego dawnego nauczyciela, byłego profesora Uniwersytetu, ks. Michała Bobrowskiego, człowieka niegdyś bardzo popularnego i powszechnie szanowanego.

Demonstracja, urządzona przez Siemaszkę, zasadniczo nie udała się: nie zrodziła ona ani protestu, ani zachwyty. Coprawda, ludzie, nie znający się na nabożeństwie unickim i prawosławnym, nie mogli zrozumieć o co chodzi, gdyż apostości zachowywali wówczas swój dawny strój i wygląd księży katolickich, wspólne więc z prawosławnymi odprawianie nabożeństwa nie mogło budzić specjalnych obaw. Wówczas nie było tej strasznej przepaści pomiędzy Cerkwią a Kościołem, jaka się zarysowała w drugiej połowie w. XIX wskutek prześladowań katolicyzmu i zbyt ścisłej łączności Cerkwi z rządem rosyjskim; w pierw-

szej połowie ubiegłego stulecia rozróżniano jeszcze Cerkiew „ich” i „naszą”: tamta była wroga, a przedewszystkiem kompletnie obca, ta zaś miała w dziejach polskich wcale ładne tradycje. Jaki stosunek panował przez długie lata pomiędzy Cerkwią a Kościołem, świadczyć może najwymowniejszy, najpiękniejszy i najefektowniejszy dokument w postaci wileńskiej prawosławnej świątyni pod wezwaniem św. Ducha. Cerkiew ta została zbudowana w w. XVIII podług wzorów jezuickiego kościoła św. Kazimierza, w ozdobach zaś wnętrza odzwierciedliła ówczesny gust artystyczny Europy. Rokokowe wnętrze barokowej świątyni prawosławnej—oto najchlubniejsze świadectwo zgodnego współżycia Kościołów, oto drogowskaz na przyszłość!

Ale w czwartym dziesięcioleciu w. XIX nawet te piękne tradycje polskiej tolerancji religijnej miały swą złą stronę, gdyż przeszkadzały zrozumieniu sytuacji, ułatwiały Siemaszce jego politykę i przyczyniały się do zwiększenia klęski. Dopiero, gdy w r. 1841 zabrali prawosławni, ex-unici kościół św. Kazimierza i przerobili go na wschodnią cerkiew, zrywając przedewszystkiem koronę królewską, wieńczącą dumną kopułę, kiedy Siemaszko wygłosił publicznie programową mowę, wyraźnie zaznaczając swój program, i kiedy w r. 1895 przyjechali z Żyrowic do Wilna już brodaci i w „riasach” ex-prałaci i kanonicy, członkowie konsystorza, gdy Siemaszko i jego satelici zaczęli się popisywać wykoszlawioną mową rosyjską i rosyjską prawomyślnością, — wówczas dopiero dowiedziały się szersze masy katolików, o tem, co się stało, i zrozumiały, jaki cios spadł na Kościół katolicki i naród polski. I wówczas właśnie wyjechała z Wilna zagranicę Makryna Mieczysławska...⁵.

Emigracja posłyszała o likwidacji Unji właśnie od Makryny. Jej męczeństwo olśniło wszystkich, więc jej opowiadania nabierały szczególnej siły i znaczenia, ale ponieważ informowała ona wciąż o męczeństwie bazylijanek mińskich, przeto nikt nie mógł nawet w przybliżeniu dowiedzieć się prawdy. Zresztą na emigracji partja „księdza Bonifata”, która szczególnie się zaopiekowała Makryną, nie posiadała decydujących wpływów, „chudy żołnierz Skartabela” podziwiał cierpienia zakonnic, lecz nie zanadto się niemi przejmował, mając przed sobą tyle wysiłków, „graf Skir” zaś pragnął skorzystać z opowiadań bazylijanki jako z atutu w walce dyplomatycznej. Dlatego też nikt poważniej się nie zainteresował losem unitów polskich, nie znalazło się żadnego poważnego obrońcy ich wiary, żadnego piewcy ich

niedoli. Z trójcy wieszczów tylko Słowacki utrwalił w poezji rozmowę z Makryną, podając w ten sposób fragment z dziejów likwidacji Unji, niezgodny z rzeczywistością nie z winy autora...

Krasiński wcale się nie interesował przeżyciami szerszych mas ludu, stanowiących zdecydowaną większość wyznawców Kościoła unickiego,—zresztą wogóle nie orjentował się w wyznaniu ludu. Przecież nawet pod Tarnowem znalazł on schizmatyków, bo pod wrażeniem wieści o rzezi galicyjskiej skreślił takie słowa: „Dzika to bestja lud rozpasany, a do tego schizmatycki!”...⁶.

Mickiewicz mógł najlepiej zrozumieć sytuację. Unitów dobrze znał, w stosunkach dobrze się orjentował. Nie przypadkowo kazał poeta Gustawowi prowadzić rozmowę z księdzem unickim, w liście „do przyjaciół galicyjskich” podkreślił konieczność sprawiedliwego, nie pogardliwego traktowania dzieci parochów, w prelekcjach trafnie scharakteryzował zakon bazylianów,—pomimo to nie wypowiedział się szerzej w sprawie unitów. A nawet, kiedy z ust papieża Piusa IX posłyszał, iż Polska pokutuje przede wszystkim za trzy swoje główne grzechy: za rozwody, ucisk ludu i ciemnienie unitów, nie zdobył się poeta ani wówczas, ani później na słowo wyjaśnienia lub obrony, choć właśnie w sprawie Unji, zdawałoby się, miał wiele do powiedzenia⁷.

Słowacki był jedynym poetą, który poruszył sprawę prześladowania unitów, Słowacki również mimochodem zarysował sylwetkę osoby, której nie znał nawet z imienia, a która była związana z Kościołem unickim i nielada rozterkę musiała przeżywać.

Nazwisko biskupa z „Anhellego”, ustalone w formie przypuszczenia przez prof. H. Hahna i coraz częściej powtarzane, obecnie należy przyjąć za pewnik. Biskupem łuckim, dokonyującym publicznej degradacji księdza-powstańca, był Michał Piwnicki. Sąd krytyki i czytelników potępił biskupa, zaprzedanego Moskalom, nie uwzględniając jego zależności od rządu rosyjskiego i tego wypuszczenia z rąk pasterału po dokonaniu strasznego obrzędu. Piwnicki był postacią osobliwą: syn parocha unickiego, przeszedł on na obrządek łaciński i po pewnym czasie dosięgnął wyższych szczebli hierarchji kościelnej, będąc jedynym biskupem rzymskim z unitów. Jego rodzony brat Jan pozostał unitą i był prałatem kapituły łuckiej. A więc dwaj rodzeni bracia, należąc do dwu katolickich kapituł w Łucku — greckiej i rzymskiej, pracowali na tym samym terenie. Sytuacja biskupa Piwnickiego była dość kłopotliwa ze względu na jego ścisłą łączność

z unitami, których przez pewien czas wcale nieświetnie reprezentował arcybiskup Krassowski i na których nieraz krzywem okiem spoglądało duchowieństwo łacińskie. Mając naokoło wielką ilość krewnych i bliskich znajomych, pochłoniętych troską o byt, Michał Piwnicki, czuł się na tronie biskupim tak, jak się czuje paroch na nędznej parafii: bał się narazić władzom, z którymi przesadnie się liczył, starał się jak mógł politykować i wskutek tego robił posunięcia napewno niezgodne z jego przekonaniem.

W r. 1831 politykowanie wobec władz było koniecznością. Unicki biskup Sierociński został oddany pod sąd za sprzyjanie powstańcom, na kapitułę unicką władze rosyjskie spoglądały nieufnie, rzymski biskup — ex unita łatwo mógł się narazić... Nie chciał tego, bał się, dlatego dokonał publicznie degradacji księdza i dlatego też na żądanie wołyńskiego generał-gubernatora wydał w r. 1833 zarządzenie, zabraniające dopuszczania księży unickich do odprawiania mszy św. w kościołach łacińskich!

O likwidacji Unji wówczas nikt jeszcze nic nie mówił i nie wiedział; to też nawet Tupalski zaprotestował przeciwko inowacji, wprowadzonej przez biskupa Piwnickiego. Wysłał Tupalski skargę do metropolity Bułhaka, zaznaczając, że ze względu na stosunkowo małą ilość kościołów unickich, niektórzy parochowie będą mieli zbyt utrudnione warunki obsługiwanian unitów¹.

Taki to był straszny biskup z „Anhellego”...

Ale zastanawiając się nad biskupem Piwnickim, znów wkraczamy w dziedzinę skutków upadku powstania i utraty resztki państwowości polskiej. Piwnicki niezawodnie jest wykolejencem, ale nie należy do osób najsłabszych lub najnikczemniejszych. Rok 31 tysiącom jednostek usunął grunt z pod nóg, tragiczne dziesięciolecie pętami krępowało dusze, zatruwało serca, przesłaniało oczy czarną mgłą rozpacz i niewiary. Naród polski wkraczał na beznadziejne manowce... Załamywały się jednostki najtęższe, sztandary narodowe zdradzali ci, co przewodzić mieli.

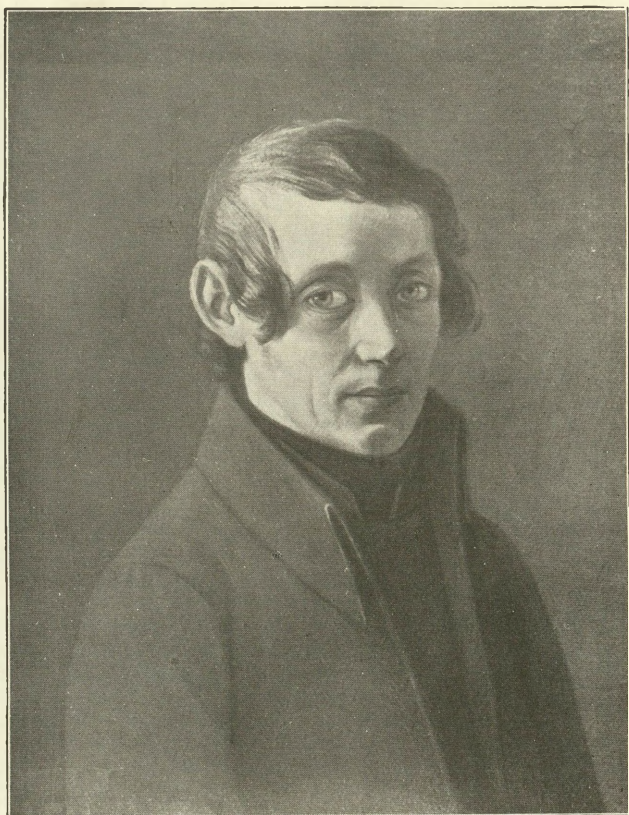
W samym tylko świecie literackim — ileż to było załamywań się! Sękowski i Bułharyn zaprzędają się Moskałom, Rzewuski, Grabowski robią czasem nikczemne posunięcia, ks. Jucewicz zdradza religię, Gurowski, Przecławski, Kirkor prowadzą niewyraźną grę, Czajkowski wykoleja się beznadziejnie... A nawet Odyniec, nawet Chodźko, nawet Pol spotykają się z oskarżeniami — niestety, uzasadnionemi!...

Zbyt ciężką próbę przeszedł naród polski w czwartym dziesiątku lat ubiegłego stulecia, nie dziw, że nieraz załamywał się, padał, z trudem powstawał i szedł dalej ku jasnej przyszłości.

Dziś naród nasz wyszedł na jasną, szeroką drogę. Czas więc, aby historycy spokojnie wzięli pod lupę i skalpel tragiczne dziesięciolecie i pokazali prawdziwy obraz zapomnianych przeżyć — ku przestrodze następnych pokoleń.



JÓZEF SIEMASZKO



PLACYD JANKOWSKI



MAKRYNA MIECZYŚLAWSKA

P R Z Y P I S Y
INDEKS NAZWISK
SPIS RZECZY

THE NEW YORK
PUBLIC LIBRARY
ASTOR LENOX TILDEN FOUNDATION
1215 BROADWAY
NEW YORK

DWIE TWIERDZE (str. 1—39)

Artykuł ten w nieco odmiennym kształcie był drukowany w „Przeglądzie Powszechnym” w t. 176 i 177 z 1927 i 1928 r.

- 1 Michaił de Pule (de Poulet). „St. A. Poniatowski w Grodnie i Litwie w 1794—1797 godach”. Petersburg, 1871, str. 4.
- 2 J. Pistor — ówczesny rosyjski generał-kwaternistrz i pisarz.
- 3 Nikołaj Kostomarov. „Poslednije gody Rieczy Pospolitoj”. Petersburg, 1866, t. II, str. 484, 485.
- 4 Ib. t. I, str. 146.
- 5 De Poulet — str. 141.
- 6 Zapiski D. B. Mertwaho. „Russkij Archiw” r. 1867, str. 134.
- 7, 8 Zapiski Dobrynina. „Wilenskiej Sbornik”, 1869, str. 21, 22, 23.
- 9 Chłopów i ziemię otrzymali: Hr. Ignacy Potocki (3407 „dusz”), hr. Branicka (3167), żona i dzieci ks. Czetwertyńskiego (2887), żona i dzieci hr. Ożarówskiego (2018), „generał Józef Poniatowski” (1536), hr. Manuzzi (1856), hetmanowa Zabiellowa (976), synowie gen.-lejt. Patryka (971), spadkobiercy marszałka wileńskiego Szwejkowskiego (501) oraz kowieński klasztor ss. bernardynek (388). De Poulet... str. 139.
- 10, 11 Ib. str. 143, 144.
- 12 Po śmierci cara Pawła I jego następcą, Aleksander I w r. 1801 ułaskawił wszystkich skazanych.
- 13 Ks. Faustyn Ciecierski pozostawił bardzo ciekawe wspomnienia, wydane we Lwowie, w r. 1865, p. t. „Pamiętnik Xiędza Ciecierskiego, Przeora Dominikanów wileńskich, zawierające jego i towarzyszków jego przygody, doznane na Sybirze w latach 1797—1801”. Ze wspomnień tych widać, że najstraszliwszą karą dla Ciecierskiego, a chyba i dla innych księży, była właśnie ta okropna degradacja, uroczyste dokonana przez zbyt usłużnego wobec carów metropolitę Siestrzencewicza. Patrz również M. Janika „Dzieje Polaków na Syberji” str. 82 i nast.
- 14 Mowa tu o Józefie-Auguście hr. Ilińskim, b. generale inspektorze kawalerji koronnej, a w służbie carskiej rzeczywistym szambelanie i generał-majorze, oraz o Sewerynie hr. Potockim.
- 15 Zapiski G. Dierżawina. Moskwa, 1860, str. 425—5.
- 16 „Russkij Archiw” r. 1869, Nr 6, str. 583.
- 17 W czasopiśmie p. t. „Russkij Archiw” (r. 1869, Nr 6, str. 1082) jest podana ciekawa historia atamana bandytów, syna popa, „Michała Niedźwiedzia”. Mówi się tam m. in., że po urzędzonej przez dzieci popa bójce z robotnikami fa-

brycznymi, właściciel fabryki „cudzoziemiec Ignacy Szyrman” najpierw złapał i zakuł w kajdany jednego z synów popa, przyszłego atamana bandytów, później zaś — „Szyrman kazał złapać i jego (popa) i po zakuciu obu w kajdany, przywiózł ich do swego domu w Moskwie”.

- 18 P. Znamienskij. „Cztenija iz istorii russkoj cerkwi”. „Prawosławnyj Sobiesiednik”, czerwiec, 1885 r., str. 197.
- 19 „Russkij Archiw”, r. 1868, Nr 9, str. 1359. Użyte w raporcie Karniejewa określenie Cerkwi prawosławnej jako „grecko-katolickiej” jest często używane przez prawosławnych. Aby odróżnić jednak od katolickiego Kościoła i wyznania używają prawosławni nieco zmienionego wyrazu, a mianowicie, mówią z nowo-grecka „kafoliceskaja Cerkow”, lecz „katoliceskaja wiera”.
- 20 Płakid Jankowskij. „Na rubieże”, „Litowskija Jeparchialnaja Wiedomosti”, r. 1868, Nr 10, str. 442. O biskupie Piwnickim nieco szczegółów w artykule p. t. „Tragiczne dziesięciolecie”.
- 21 De Poulet. „P. Jankowskij”, „Drewniaja i Nowaja Rossija”, r. 1876, Nr. 8, str. 324.
- 22 Płakid Jankowskij. „Słuczaj-li?”, „Litowskija Jeparchialnaja Wiedomosti”, 1864, str. 798.
- 23 O życiu i twórczości Placyda Jankowskiego patrz monografię Walerjana Charkiewicza p. t. „Placyd Jankowski”. Wilno, 1928.

WALAĆ SIĘ MURY (str. 40—62)

- 1 Ciekawe pamiątki ks. G. Micewicza ogłosił ks. prof. Chotkowski. „Grzegorz Micewicz. Z męczeńskich dziejów Unji”. Poznań, 1888.
- 2 Akta b. Uniwersytetu Wileńskiego Nr 146 z r. 1826, znajdujące się w archiwum Państwowem w Wilnie. Pismo Szyszkowa Nr 3428.
- 3 Do główniejszych uchwał Soboru Zamojskiego należą: ustanowienie uroczystości Bożego Ciała i podniesienie czci sakramentu ołtarza, wprowadzenie kazań w kościele, pozwolenie na urządzenie w kościołach większej ilości ołtarzy oraz na msze ciche obok śpiewanych, zwrócenie uwagi na poziom wykształcenia kleru oraz na należytą powagę biskupów etc.
- 4 Oto kilka ważniejszych punktów z Ukazu Rządzącemu Senatowi, podpisanego przez cara Aleksandra I w dniu 18.VII.1803. „p. 2—2. Na utrzymanie tego Seminarjum naznaczyć piętnaście tysięcy rubli. 3. Ta suma każdego roku ma być zbierana z dochodów obojg pici tych klasztorów, które mają nieruchome dobra lub kapitał; wyjąwszy: a) wszystkie klasztory Jezuickiego Towarzystwa, Pijarów, Zgromadzenia Misjonarzów ś. Wincentego, Braci Miłosierdzia, czyli Bonifratrów; żeńskiej pici zaś klasztory: Wizytek i Sióstr Miłosierdzia, b) każdy klasztor w szczególności, któremu teraz lub napotem będzie poruczone od Kuratora Wileńskiego Uniwersytetu utrzymanie gimnazjum lub powiatowej szkoły i c) klasztory, znajdujące się w Wilnie, z których wedle doniesienia Uniwersytetu swemu kuratorowi i potwierdzenia jego, będzie utrzymywać się pewna liczba młodzieży, któraby poświęciwszy się zakonnemu powołaniu, słuchała przepisanych porządków kursów w Wileńskim Uniwersytecie i na egzaminach okazywała żądane postępy w naukach. 6—6. Główne Seminarjum znajduje się pod bezpośrednim dozorem i rządem Komitetu, składającego się

- z trzech profesorów Fakultetu Teologicznego, z dwóch członków kapituły i jednego prałata unickiego, wybieranych każdorocznie przez Uniwersytet i kapitułę. 9. Duchowni, którzy nie przeznaczają się do wyższych obowiązków, mogą być wybierani, skoro tylko odbyli nauki w diecezjalnych seminarjach; lecz jako wyższe powołania konieczne potrzebują wyższych wiadomości, tak po upływie 10 lat od ustanowienia przy Wileńskim Uniwersytecie Głównego Seminarjum, nikt z rzymsko-katolickiego duchowieństwa nie może być biskupem, prałatem, asesorem w rzymsko-katolickim kolegium, oficjałem, sędzią, ani kaznodzieją przy katedrach i innych miejskich parafjach, który się nie uczył w Głównym Seminarjum; wyjąwszy tych, którzy otrzymają stopień doktora teologii albo prawa w Wileńskim Uniwersytecie, lub złożą patentu na ten stopień ufności godne”.
- 5 Dość nieoczekiwane zainteresowanie się Tupalskiego sprawami naukowymi znacząco zbiegło się z upłynięciem dziesięciolecia od chwili zorganizowania Seminarjum Głównego (r. 1808). O terminie egzaminów doktorskich Tupalskiego mówi Paweł Bobrowskij („Litowskija Jeparchialnija Wiedomosti”, r. 1889, Nr 1—2, str. 5). Z niefortunnych planów niedoszłego biskupa popkpiwa M. Kojalowicz („Cerkownyj Wiestnik”, r. 1889, Nr. 12, str. 214). Życiorys Tupalskiego, bardzo pobieżny, podał Placyd Jankowski („Lit. Jeparch. Wied.”, r. 1863, Nr 6, str. 185).
- 6 Zapiski Iosifa Metropolita Litowskiego. Petersburg 1883, t. I, str. 42.
- 7 O Żyrowicach — broszurka Walerjana Charkiewicza p. t. „U grobu Unji Kościelnej”, Kraków, 1926 (wyczerpane). W przygotowaniu — praca poważniejsza, poświęcona Żyrowicom i cudownemu obrazowi N. M. P.
- 8 „Pieśń o Najświętszej Pannie Żyrowickiej na jej koronację koncypowana w r. 1720” kończy się taką zwrotką:
- „Ty, Słonimie i ty, Rzymie,
Pieśń Maryi śpiewajcie,
Jej stolicę — Żyrowice
Serdecznie wychwalajcie!”
- 9 Krótki zarys dziejów Seminarjum Żyrowickiego w opracowaniu Walerjana Charkiewicza został umieszczony w czasopiśmie „Analecta Ordinis s. Basilii Magni”, r. 1928, t. III, zes. 1—2, str. 213. Ciekawe i bogate materiały zebrał, choć dość nieumiejętnie opracował prof. J. Jurkiewicz w artykule „Istoriczeskij очерк Lit. jeparch. Sieminarii”, „Litowskija Jeparchialnija Wiedomosti” r. 1866, str. 481.
- 10 Zapiski Iosifa etc. t. I, str. 659.
- 11 A. Zubko. „Litowskija Jeparchialnija Wiedomosti”, r. 1884, Nr 6—7, str. 48.
- 12 I. Czystowicz. „Piatidiesiatiletije wozsojedinienija z prawosławnoju cerkowju zap.-rus. uniatów”. Petersburg, w drukarni św. Synodu, 1889, str. 9.
- 13 „Krynice”. Z wspomnień i gawęd z samym sobą. Autora dawnego autoramentu Wilno, 1853.
- 14 „Słowo protojereja Ippolita Homolickago”, „Lit. Jeparch. Wied.” r. 1866, Nr 13, str. 516.

15, 16 Zapiski Iosifa etc. t. III, str. 85, 607.

17 Biskup E. Likowski. Dzieje Kościoła Unickiego. Warszawa, 1906, t. II, str. 122.

OGNIE Z POD ŚNIEGU (str. 63—72)

Artykuł ten był drukowany w „Źródłach Mocy” Nr 1, r. 1927 oraz został wyzyskany w pierwszym rozdziale monografii o Placydzie Jankowskim.

1 Zapiski Iosifa etc. t. I, str. 17.

2 Ib. str. 269. Trynopol, o którym wspomina Siemaszko, jest to wileńska podmiejska miejscowość, niegdyś siedziba trynitarzy. Rząd rosyjski skonfiskował kościół i klasztor i przeznaczył Trynopol na letnią rezydencję archijerejów. Obecnie kościół wrócił do katolików, Trynopol zaś został własnością kurji arcybiskupiej.

3 De Poulet. „Drewniaja i Nowaja Rossija” r. 1876, Nr 8.

4 Zapiski etc. t. I, str. 45.

5 O tem w następnym artykule p. t. „Testament Siemaszki”.

TESTAMENT SIEMASZKI (str. 73—75)

Artykuł ten był drukowany w „Źródłach Mocy” Nr 2, r. 1927.

1 Dr Władysław Zahorski. „Legenda o trzech męczennikach wileńskich”. „Źródła Mocy” 1927 r., Nr 2, str. 68.

2 Zapiski Iosifa etc. t. I, str. 259.

BOHATERZY I TRIUMFATORZY (str. 76—94)

1 M. Kojalowicz. „O pocziwsem arch. Łużyńskom”. „Cerkownyj Wiestnik”, r. 1879, Nr 5.

2, 3 Zapiski Wasilija Łużyńskiego, arch. Połockago. „Prawosławnyj Sobiesiednik”, r. 1885, str. 176, 420.

4 Zapiski Iosifa etc. t. II, str. 94.

5, 6 Zapiski Wasilija etc. „P. S.” r. 1885, str. 177, 180.

7 Ib. „P. S.” r. 1884, str. 40. Czy rzeczywiście Łużyński zrobił tak wiele dobrego chociażby dla Rosjan, można sądzić już z tego, że Kojalowicz nie powstrzymał się nawet w nekrologu Łużyńskiego od takiej uwagi: „Bez wątpienia historia surowo osądzi wiele czynów nieboszczyka...” Łużyński był jedną z najbardziej ujemnych postaci wśród likwidatorów.

8 Legendę o likwidatorskich zamiarach Lisowskiego i Krassowskiego stanowczo obala Kojalowicz (K przedstojaszczemu 50-letiju wozsojedinienia zap. - rus. uniatow. „Cerkownyj Wiestnik” r. 1889, Nr 10, str. 173 i nast.). Pod tym względem Kojalowicz jest w zgodzie z A. Zubką i D. Tołstojem.

9, 10 Zapiski Iosifa etc. t. I, str. 53, 296.

11, 12 Korespondencja A. Zubki z M. Murawiewym. „Litowskija Jeparchialnyja Wiedomosti”, r. 1901, Nr 5, str. 36 i nast.

13 „Piśmo arch. Antonija”, „Lit. Jeparch. Wied.”, r. 1884, Nr. 6—7, str. 70.

14 „Poślednije dni żyżni... Antonija”, „Lit. Jeparch. Wied.”, r. 1884, Nr 8, str. 75.

15 Zapiski Iosifa etc. t. I, str. 1, 4, 28, 29, 30, 91, 92, 108, 109.

- 16 Siemaszko tak pisze o losie swego dziada (t. I, str. 1): „Dziwny był jego los. Za czasów Polski był on więziony i tylko dzięki przypadkowemu wstawiennictwu uniknął szubienicy, jako zwolennik Rosjan, lecz po przyłączeniu tego kraju do Rosji został pozbawiony parafji, pozostając z rodziną w Unji, chociaż miejscowa ludność z małemi wyjątkami powróciła na łono Cerkwi prawosławnej”. Czy dziadowi Siemaszki rzeczywiście groziła szubienica i zaco, trudno dociec, ale w okresie walk konfederatów barskich było o to nietrudno.
- 17 Działalność Siemaszki na podstawie jego pamiętników zarysował ks. prof. Wł. Chotkowski w dziele p. t.: „Dzieje zniweczenia Unji św. na Białorusi i Litwie w świetle pamiętników Siemaszki”, Kraków 1898.
- 18, 19, 20 Zapiski Iosifa etc. t. I, str. 505, 64, 85.
- 21, 22 Ib. t. III, str. 235, 602.
- 23 Ib. t. I, str. 143.
- 24 Ib. t. III, str. 723.
- 25 Protojerej A. Mackiewicz. O mitropolicie Iosifie Siemaszkie. „Lit. Jeparch. Wied.”, r. 1885, Nr 26—7, str. 223.
- 26 Zapiski Iosifa etc. t. III. str. 529.

JAK TO BYŁO W WILEJCE (str. 95—106)

Artykuł ten bez uwzględnienia pamiętników Siemaszki był drukowany w „Przeglądzie Powszechnym” we wrześniu r. 1927 p. t.: „Jak likwidowano Unję w Wilejce”. Artykuł został opracowany na podstawie akt archiwalnych b. konsystorza unickiego w Żyrowicach, przechowywanych obecnie w Archiwum państwowem w Wilnie (akta nieskatalogowane), z uwzględnieniem korespondencji Siemaszki, znajdujące się w jego Zapiskach, t. III, str. 31, 141, 156, 158, 191, 192, 193.

NA OSTATNIM SZAŃCU (str. 107—117)

Artykuł ten był drukowany w „Przeglądzie Powszechnym” w czerwcu 1928 r.

- 1, 2 Zapiski Iosifa etc. t. I, str. 686-7, 142.
- 3 Z akt b. Uniwersytetu Wileńskiego w Archiwum państwowem w Wilnie.
- 4 Zapiski Iosifa etc. t. II, str. 266.
- 5 O wyrazach rosyjskich: „kafoliczeskij” i „katoliczeskij” p. uwagę na str. 148.
- 6 Zapiski Iosifa etc. t. II, str. 93.
- 7, 8, 9, 10 Ib. t. III, str. 551, 789, 371-3, 377.
- 11, 12 Ib. t. I, str. 92, 111

MAKRYNA MIECZYŚLAWSKA (str. 118—128)

- 1 „Makryna Mieczysławska” Słowackiego znajduje się w osobnem wydaniu z objaśnieniami (mało krytycznemi) Henryka Biegeleisena. Lwów, 1902. Tenże utwór w opracowaniu (również bezkrytycznem) Ignacego Peszki wydała w r. 1915 Wolna Biblioteka Polska w Warszawie.
- 2 „Analecta Ordinis S. Basilii Magni”, 1928, t. III, zes. 1—2, str. 76. Przedtem były znane tylko zeznania Makryny, złożone w Paryżu oraz w Rzymie.

- 3 Ks. P. Smolikowski. „Historja Zgromadzenia Zmartwychwstania Pańskiego” Kraków, 1895, t. III, str. 233. Tamże (str. 224) znajduje się bardzo ciekawy portret ołówkowy Makryny, przesadnie odmłodzonej i wyidealizowanej.
- 4, 5 Ib. str. 282, 292.
- 6 Ks. Jan Urban T. J. „Makryna Mieczysławska w świetle prawdy”, Kraków, 1923.
- 7 Zapiski Iosifa etc. t. I, str. 51.
- 8 Hieronim Kajsiwicz. Pisma, t. II, str. 65, Berlin, 1870.

TRAGICZNE DZIESIĘCIOLECIE (str. 129—144)

- 1 St. Tarnowski. Rozprawy i sprawozdania, Kraków, 1897, t. III, str. 12.
- 2 Sam Siemaszko tak pisze o tem: (t. I, str. 22, 23) „...w pierwszym roku przeczytałem przeszło czterysta książek, biorąc je z biblioteki Głazunowa. Wszystkie dziedziny ludzkiej wiedzy stały się przedmiotem chociaż prędkich i dość pobieżnych, lecz gorliwych i rzetelnych moich studjów. Szczególną uwagę zwróciłem na książki rosyjskie, przedtem zupełnie dla mnie niedostępne. Przeczytałem wszystko co tylko mogłem znaleźć i spokrewniłem się duchowo z Rosją i Cerkwią prawosławną. Lektura ta posunęła również moją znajomość języka rosyjskiego, o ile to jest możliwe bez żywego kierownika. Niestety metropolita i wszyscy członkowie Kolegium mieszkali w jednym domu. W rozmowach myśmy zawsze używali języka polskiego. Prawie wszyscy urzędnicy Kolegium oraz służba mówili w tymże języku. Dlatego też, nauczwszy się wcale nieźle pisać, ja dotychczas (pisał to w r. 1850) nie bez trudów mówię po rosyjsku, szczególnie w kwestjach życia codziennego. Robię również błędy w akcentowaniu i wymawianiu wyrazów i często po rozmowie z Rosjanami z bólem myślę, iż oni tylko wskutek tego mogą uważać mnie za obcego... mnie zawsze oddanego Rosji duszą i sercem, być może, więcej, niż oni sami”...
- 3 S. Dickstein. Hoene-Wroński — jego życie i prace, Kraków, 1896, str. 107. Jeszcze wyraźniej zaznaczył Hoene-Wroński swoje stanowisko względem Rosji w liście do ks. A. Czartoryskiego. „Epitre á Son Altesse le Prince Czartoryski”, Paris, Novembre, 1848.
- 4 Dane te są wzięte z raportu bp. Żarskiego, o którym mówi I. A. Chicz w artykule p. t.: „Diejatielnost’ prowincyała litowskich bazylijskich monastyrej, w pośledstwii jepiskopa pinskago Iosifa Żarskago” (Litowskija Jeparchijalnyja Wiedomosti r. 1895, str. 282). W klasztorach wołyńskich i podolskich wyraźnie zaznacza się przewaga unitów: w klasztorze włodzimierskim—un. 12, łac. 1, w zahorowskim—un. 11, łac. 2, w krzemienieckim—un. 14, łac. 4 w humańskim—un. 10, łac. 3 etc.
- 5 Siemaszko w swych wspomnieniach (t. II, str. 596) podkreśla łączność tych dwóch zdarzeń: przeniesienia jego stolicy biskupiej z Żywot do Wilna oraz ukazania się zagranicą pseudo-bazyłjanki. Uważa on Makrynę za narzędzie w ręku partji katolickiej, która w ten sposób chciała go skompromitować, mówi o wielkim spisku w Wilnie, podaje nieprawdopodobne szczegóły. Nie wiedząc całej prawdy o Makrynie, nie można sądzić ile jest słuszności w słowach Siemaszki.

- 6 Z. Krasiński. Listy do Cieszkowskiego, Kraków, 1912, t. I, str. 178.
- 7 Przed paru laty d-r A. Lewak przypomniał społeczeństwu polskiemu artykuł p. t. „De l'action politique de l'eglise russe”, drukowany w r. 1835 w paryskim miesięczniku „Le Polonais”. D-r Lewak dowodzi (wcale przekonywająco), iż autorem tego artykułu był A. Mickiewicz; pogląd ten podziela również prof. St. Pigoń („Przegląd Warsz.” 1922, t. III, str. 414). W artykule tym Mickiewicz zastanawia się nad zasadniczymi cechami Kościołów wschodniego i zachodniego i zarysowuje ich odmienne wpływy na społeczeństwo: wpływ pierwszego—ujemny, drugiego dodatni. Jeżeli autorstwo Mickiewicza przyjąć za pewnik, tem bardziej dziwić się należy milczeniu poety w okresie, kiedy na drogach i bliskich mu ziemiach padł Kościół katolicki, ustępując miejsce schizmie.
- 8 Opisanije archiwa zap.-rus. uniat. mitropolitow, Petersburg, 1907, t. II, str. 951, § 3294.

P O R T R E T Y

Z bogatej i ciekawej galerii portretów likwidatorów Unji zamieszczamy obecnie trzy, jako najbardziej charakterystyczne: Siemaszki, Tupalskiego i Jankowskiego. Oto są trzy zasadnicze typy renegatów, reprezentujące siłę, przebiegłość i słabość. Nie trzeba być zbyt wielkim psychologiem, aby od razu określić kto z tych bohaterów miażdżył przeciwników, kto pływał, nie czując wstrętu do mętnej wody, kto wreszcie był zmiażdżony, dał się zmiażdżyć...

JÓZEF SIEMASZKO — jako biskup unicki. Z reprodukcji olejnego portretu, umieszczonej w 1 tomie jego wspomnień.

ANTONI TUPALSKI — jako starszy soborny protojerej. Rysunek Stanisława Matusiaka z reprodukcji portretu, malowanego przez Jana Chruckiego. Portret ten znajdował się w prywatnych apartamentach Siemaszki; gdzie jest obecnie, nie wiadomo.

PLACYD JANKOWSKI — jako młodszy soborny protojerej, proboszcz cerkwi św. Mikołaja w Wilnie. Z portretu Jana Chruckiego, znajdującego się obecnie w Muzeum Narodowym w Krakowie. Portret ten na stronie odwrotnej ma datę wykończenia: „1847, Lut. 2”.

MAKRYNA MIECZYŚLAWSKA — z portretu nieznanego malarza. Portret ten, będący darem Stefana Łozińskiego, znajduje się obecnie w Muzeum X. X. Lubomirskich we Lwowie.

I N D E K S N A Z W I S K

- A**gatonow — 80
 Alejewcew — 8
 Aleksander I — 20, 28, 147, 148
 Alfer Karp — 102
 Antonowicz Szymon — 96, 99
 August II — 53
 August III — 53

Bajkow — 134
 Bibikow Dymitr — 93
 Biegeleisen Henryk — 149
 Błudow Dymitr — 60
 Bobrowski Michał — 29, 46, 48, 49, 58, 140
 Bobrowskij Paweł — 147
 Boczkowski — 89
 Borowski Leon — 38, 67
 Branicka — 145
 Bukaty Franciszek — 12
 Bułhak Józefat — 47—51, 55, 59, 83, 143
 Bułhakow — 6, 15, 18
 Bułharyn Tadeusz — 143

Charkiewicz Walerjan — 148, 149
 Chodźko Ignacy — 143
 Chomiński Ksawery — 12, 13
 Chotkowski Władysław — 148, 151
 Chwoszczyński Paweł — 80
 Ciechanowski Ferdynand — 32
 Ciecierski Faustyn — 15, 17, 147
 Ciecierski Sebastjan — 15, 17
 Cieszkowski August — 153
 Czajkowski Michał — 143
 Czarnowski — 17
 Czartoryski Adam — 123, 152
 Czerniawski Jan — 66, 67
 Czetwertyńscy — 147

Daszkiewicz — 12, 13
 Dawydow Sergiusz — 104, 105
 Dąbrowski Aurelján — 15, 17
 De Pontmartin — 10
 De Poulet Michał — 147, 148, 149
 Dickstein S. — 152
 Dierzawin Gabrijel — 17, 18, 147
 Dobrochotow Paweł — 58, 59
 Dobrochotowa Henrjetta — 58, 59
 Dobrynin — 147
 Dobszewicz Tomasz — 38
 Dołgorukow Mikołaj — 100
 Drobiński — 97
 Dziekoński Jan — 97, 98, 100 103

Fersen Jan — 2, 9
 Filaret — 92
 Filozofow — 13
 Filipowski — 91
 Fryzel Jan — 16, 18

Garczyński Stefan — 70
 Głębicki — 102
 Godebski Cyprjan — 16
 Golicyn Aleksander — 83, 84
 Gotówka Grzegorz — 101
 Grabowski Michał — 17, 38, 143
 Grodeck Ernest — 67
 Grzegorz XVI — 123
 Gurowski Adam — 143

Hahn Wiktor — 142
 Herbersztejn — 1
 Hłybowski Jan — 47
 Hoene-Wronski Józef — 133, 136, 152
 Hołowiński Ignacy — 38
 Hołownia Adrian — 49, 51, 55

Hołubowicz Michał — 47, 58, 108
 Hołubowiczowa Agata — 58
 Homolicki Ferdynand — 37, 47, 57, 58,
 60, 61, 108, 140, 149
 Homolicki Mamert — 58
 Homolicki Michał — 140
 Homolicki Mikołaj — 58
 Homolicki Wiktor — 58, 93
 Homolicka Helena — 58, 93
 Homolicka Katarzyna — 58
 Horbacewicz Teodor — 109

Igelström Józef — 9
 Ihnatowicz Jan — 79
 Ihnatowicz Konstanty — 47
 Iliński Józef-August — 18, 147

Jan-Kazimierz — 53
 Jankowska Helena — 58
 Jankowska Katarzyna — patrz Homo-
 licka Katarzyna
 Jankowski Gabryel — 48, 49, 58
 Jankowski Jan — 32, 37, 38, 39, 49
 Jankowski Placyd — 29, 37, 38, 39, 47,
 57, 58, 148, 149, 154
 Jaworowski Leon — 49, 51, 55
 Jeleński — 13
 Jelowicki Aleksander — 122, 123, 124
 Jucewicz Ludwik — 143
 Judycki Józef — 12
 Judycki Stanisław — 15, 17
 Jurkiewicz Jan — 147

Kajsiewicz Hieronim — 127, 150
 Kandidow Aleksander — 58, 59
 Kamieński Cezary — 41, 42, 58
 Karniejew Z. — 22, 27, 34, 148
 Kartaszewski Grzegorz — 50
 Katarzyna II — 2, 3, 13, 89
 Kirkor Adam — 143
 Klimontowicz — 103
 Kojałowicz Michał — 76, 78, 149, 150
 Konarski Szymon — 140
 Kondratowicz — 19
 Koniuszewski Jan — 109
 Konstanty, w. ks. — 32

Kopecki Benedykt — 79
 Korsakow Aleksander — 134
 Korzeniecki Ignacy — 12
 Kościuszko Tadeusz — 2
 Kostomarow Mikołaj — 4, 147
 Krasieński Zygmunt — 142, 151
 Krassowski Jan — 49, 50, 51, 82, 84,
 143, 150
 Kraszewski J. I. — 38
 Kuncewicz Józefat — 16, 43, 53
 Kuźmiński — 7

Lelewel Joachim — 67
 Leon XII — 136
 Leśniewski — 103
 Lewak Adam — 153
 Likowski Edward — 150
 Lipski Mateusz — 93
 Lisowski-Odrował Iraklijusz — 82, 83,
 84, 150
 Lwowicz — 112

Łukaszewicz Józef — 46
 Łużyński Bazyli — 37, 46, 55, 59, 62,
 76—81, 84, 85, 150

Mackiewicz Aleksander — 93, 151
 Majewski Tadeusz — 48
 Maliszewski Tomasz — 108
 Manuzzi — 147
 Markiewicz Bazyli — 49, 84, 108, 115
 Martusewicz - Okiełło Jakób - Adam —
 49, 50, 51, 55
 Massalski Józef — 32
 Matusiak Stanisław — 154
 Mertwaho D. — 7, 147
 Micewicz Grzegorz — 41, 148
 Mickiewicz Adam — 41, 63—72, 125,
 133, 134, 136, 142, 153
 Mieczysławska Makryna — 118—128,
 141, 151, 152, 154
 Mikołaj I — 43, 49, 60, 87, 88, 90, 120,
 123, 134
 Murawjew Michał — 86, 87, 150
 Narkiewicz Mikołaj — 114, 115, 116
 Nieczajew Stefan — 101

Niemszewicz Ignacy — 96, 98—104

Nikanor — 96, 97, 99, 103

Nowosilcow Mikołaj — 43, 134

Odyniec Antoni-Edward — 143

Onacewicz Ignacy — 49

Orłow Grzegorz — 20

Osieciński — 13

Ożarowscy — 145

Patryk — 147

Paweł I — 11, 20, 28, 147

Paździński — 17

Pelikan Wacław — 43

Peszke Ignacy — 151

Piekarski — 102

Pigoń Stanisław — 65, 153

Pistor J. — 4, 145

Piszczatowski Adam — 140

Pius IX — 123, 124, 142

Piwnicki Jan — 142

Piwnicki Michał — 29, 142, 143

Pol Wincenty — 143

Poniatowski Józef — 147

Pontus Piotr — 99

Potiemkin Hiob — 26

Potocki Ignacy — 145

Potocki Seweryn — 18, 147

Protasow Mikołaj — 79, 80, 91, 111, 114

Przeclawski Józef — 143

Przyłuski Leon — 121

Radziwiłł Michał — 12

Rejtan — 13

Repnin Mikołaj — 2, 6, 10, 11, 12

Reszka Ignacy — 42

Rodzewski — 7

Rousseau J. I. — 20

Rumiancow Piotr — 9

Ryłło Maksymilian — 123

Rzewuski Henryk — 38, 143

Sakowicz Julian — 112

Sanguszko — 89

Sawicki — 99, 102

Sękowski Józef — 143

Siemaszko Aleksander — 66

Siemaszko Jan — 93

Siemaszko Józef, ojciec — 89, 90, 91

Siemaszko Józef, syn — 36, 37, 43, 46, 49—62, 63—72, 73—75, 77—94, 96, 106, 108—117, 121, 122, 133—136, 139, 140, 141, 147—154

Siemaszko Mikołaj — 93

Siemaszkówna Helena — patrz Homolicka Helena

Siemienow Aleksy — 99, 100

Sierociński Cyryl — 51, 54

Siestrzenecwicz Bohusz-Stanisław — 17

Siestrzewitowscy — 17

Skrzyński Jan-Zygmunt — 123

Słowacki Juliusz — 118, 119, 120, 121, 125, 142

Smaragd — 56

Smolikowski Paweł — 152

Sobieski Jan — 53

Sobieski Jakób — 53

Sosnowska Teofila — 58

Sosnowski Antoni — 46, 47, 48, 49, 58

Sosnowski Platon — 29, 46, 47, 49, 58

Stackelberg Otto — 5

Stanisław-August — 14, 53

Starkutowicz — 102

Suworow Aleksander — 2, 9, 10

Szczęsnowicz Jan — 108

Szelepin Michał — 46, 79, 109

Szepiłow Teodor — 6

Szerbaszewicz Gabrijel — 102

Szket Józef — 101

Sztakelberg Otto — patrz Stackelberg

Szwejkowscy — 145

Szymanowski Jakób — 97, 98, 99, 101, 103

Szyrman Ignacy — 148

Szyszkow Aleksander — 43, 69

Tarnawski — 80

Tarnowski Stanisław — 129, 150

Thinel Albin — 122

Tomkowicz Adam — 79

Tupalska Agata — patrz Hołubowiczowa Agata

Tupalska Helena — patrz Jankowska Helena

Tupalska Henrjetta — patrz Dobrochotowa Henrjetta

Tupalska Teofila — patrz Sosnowska Teofila

Tupalska Zofja — patrz Wrońska Zofja

Tupalski Antoni — 37, 47, 48, 58, 60, 61, 91, 92, 108, 109, 140, 143, 149, 154

Turczyński Bonawentura — 93

Urban Jan — 124, 125, 152

Urbanowicz Ludwik — 122

Wańkiewicz — 13

Wilczyński Józef — 12

Władysław IV — 53

Wołowicz Michał — 140

Wołodkiewicz — 13

Wrońska Zofja — 58

Wroński-Hoene — patrz Hoene-Wroński Józef-Marja

Wroński Karol — 58

Wróblewski — 7

Wyspiański Stanisław — 118, 120

Zabiello — 145

Zabłocki Konstanty — 98, 100, 103, 105

Zacharewicz Stefan — 58

Zahorski Władysław — 150

Zenowicz — 13

Ziółkowski Wacław — 15, 17

Znamieskij Piotr — 148

Zubko Antoni — 46, 54, 55, 56, 57, 59, 77, 85—88, 106, 109, 115, 116, 117, 135, 140, 149, 150

Zubow Walerjan — 9

Żarski Józefat — 55, 56, 59, 137, 152

Żelazowski Ignacy — 47

Żółtek — 102

S P I S R Z E C Z Y

1. Dwie twierdze	1
2. Walące się mury	40
3. Ogień z pod śniegu	63
4. Testament Siemaszki	73
5. Bohaterzy i triumfatorzy	76
6. Jak to było w Wilejce	95
7. Na ostatnim szanecu	107
8. Makryna Mieczysławska	118
9. Tragiczne dziesięciolecie	129
Przypisy	147
Indeks nazwisk	155





33109/

2